

# MARCIN WROŃSKI



CZAS HERKULESÓW

MROČNA  
SERIA

# MARCIN WROŃSKI



CZAS HERKULESÓW

w  
ab

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Katarzyna Arbaczewska-Matys  
Korekta: Paulina Stoparek, Małgorzata Denys

Adiustacja: Zuzanna Żółtowska

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl  
Logo cyklu: aorta.com.pl

Logo serii: Marek Goebel  
Fotografia na I stronie okładki: Władysław Maksymiak,  
zapaśnik  
(Narodowe Archiwum Cyfrowe)

Skład i łamanie: d2d.pl s.c., Kraków

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54  
biuro@gwfoksal.pl  
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4459-3

Copyright © by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Wydanie I  
*Warszawa*

*Czas Herkulesów i Krotonów przeszedł  
i w sporcie zaczyna triumfować Ulisses.*

Teodor Sztekker, *W potrójnym nelsonie*, 1928

## Rozdział 1

### – Jedzie do nas rewizor!

*Chełm, sobota 14 maja 1938 roku*

## 👉 CYRK SPORTOWY 👈

NAJLEPSI ZAPASNICY POLSKI PRZEJAZDEM NA TURNIEJ DO LWOWA  
W. BAJOREK – J. PUCIATA – W. SZURAJ I IN.

A TAKŻE

WALKI AMATORSKIE POD NADZOREM UZNANYCH SĘDZIÓW P. Z. A.  
W NAMIOCIE W NOWYM PARKU MIEJSKIM – WEJŚCIE OD STAROŚCIŃSKIEJ

Danyło Sidoruk urwał pół plakatu i pobiegł dalej.

Nie żeby jako Rusina razily go nazwiska polskich atletów albo nienawidził sportu. Przeciwnie, umyślnie został w Chełmie do nocy, żeby obejrzeć zawody, chociaż bilet kosztował aż trzy złote, a do swojego gospodarstwa w Wołkowianach miał prawie dwadzieścia kilometrów dziurawej szosy. Sidoruk po prostu pośliznął się na końskim łajnie i łapiąc równowagę, trafił spracowaną, sękatą dłonią na afisz przyczepiony pluskiewkami do drzwi GOSPODY „TARGOWICA”, PIERWSZORZĘDNEGO LOKALU CHRZEŚCIJAŃSKIEGO.

– *Ludy, Żydy, dopomożit!* – krzyczał, nie zatrzymując się. – *Ubyły ludynu!*

Na rogu prowadzącej ku targowisku Lwowskiej wciąż trwała giełda. Luftmensze w wyświechtanych marynarkach albo czarnych kapotach zlecieli się do latarni i okien domów, byle dawały trochę światła, wdzięczni niebiosom za zachód słońca i koniec szabasu. Znów mogli targować się w swoim

gardłowym żargonie, liczyć pieniądze i przyklepywać transakcje, chociaż żaden nie miał ze sobą towaru. Danyło nie rozumiał, skąd te Ż

ydy brały pieniądze, jednakże tamci chyba rozumieli wołanie rusińskiego chłopca, bo poznawali w bramach. Tylko stary dozorca przy kościele Rozesłania Świętych Apostołów zachował się po chrześcijańsku. Wystawił łeb nad parkanem i zaświecił Sidorukowi w oczy latarką karbidową.

– I czegoś drzesz mordę, chachłaku? I po kiego lecisz na Hrubieszów? Tamój! – Wskazał palcem w przeciwną stronę. – Tamój jest komisariat. Idź zameldować jak Pan Bóg przykazał.

Danyło zrobił w tył zwrot i pobiegł. Rzeczywiście parę kroków za szkołą widział duży biały budynek z czerwoną tablicą i orłem, tylko w nerwach wszystko mu się pokręciło.

Dozorca zaś, w lewej ręce trzymając latarkę, a w prawej międląc poczerniały różaniec, kontynuował swój obchód na tyłach kościoła.

– Zabili człowieka, zabili człowieka... – mrucał pod nosem. – Ot wymyślił! Pewno leży uchłany jak to przy sobocie, a un się drze jak stare prześcieradło, chachłak durny... Przeżegnać się dobrze nie umi, ino jak mańkut, to co un może wiedzieć, jełop schizmatycki...

\*

*Tegoż dnia wcześniej*

Pierwszy, zwalisty chłop z kwadratową szczęką, wyszczerzał zęby w głupkowatym uśmiechu. Czterech pozostałych osiłków miało kamienne, skupione twarze. Ich powaga była całkiem na miejscu. Cała piątka nie żyła.

Komisarz Zygmunt Maciejewski odłożył zdjęcia na biurko. Były niewyraźne i tylko dwóch denatów fachowo skadrował policyjny fotograf. Pozostałe miały na odwrocie pieczęcie: „FOTO-KUPŚ” – CHRZEŚC. SALON ARTYST., CHEŁM, UL. LUBELSKA 75, TEL. 110. Zasadne, bo ktokolwiek stał za aparatem, obszedł się ze zwłokami po chrześcijańsku, z szacunkiem dobrym może do rodzinnego albumu, ale nie do

akt śledczych. Żadnych detali pomocnych w identyfikacji, obrażenia już całkiem niewidoczne... Pan Kupś zadbał tylko, by przy trupach mógł artystycznie zapozować komisarz Józef Hejwowski, kierownik miejscowego Wydziału Śledczego.

– Uprzedzałem pana, panie Zygmuncie, że zdjęcia niewiele panu powiedzą – odezwał się teraz, wycierając spraną chustką spocony kark. – Za to w protokołach wszystko jest szczegółowo wyszczególnione. Przyzna pan, że było nie było, nasza praca stoi na protokole. Pan mnie przecież zna nie od dzisiaj.

Maciejewski kiwnął głową. Znali się nawet nie od wczoraj: to właśnie Hejwowski był pierwszym przełożonym Zygi, gdy ten świeżo po szkole dla oficerów policji dostał przydział do Zamościa. Obaj nie mieli powodów, by dobrze się wspominać. Zakrawało więc na upiorny chichot losu, że mianowanemu ledwie z początkiem marca oficerowi inspekcyjnemu przyszło skontrolować właśnie placówkę dawnego zwierzchnika.

– Jeżeli w protokołach jest wszystko, to dlaczego sprawca nie w areszcie? – burknął Zyga. Słowotok Hejwowskiego z wiekiem zrobił się nie do zniesienia, gorzej niż u kobiety! – Ofiary co do jednej w wieku do lat dwudziestu pięciu... Pasuje, młode byczki chętniej wdają się w bójki i czasem mają pecha. Tylko dlaczego do dzisiaj każdy jest NN? Żadnego nikt nie znał? Gdzie rozpoznanie środowiskowe?

– Przecież tutaj! – Kierownik wydziału wskazał leżące przed nimi teczki z aktami. Znów otarł pot, tym razem z głowy porośniętej rzadkimi siwymi kosmykami.

– Ma pan na myśli to, panie komisarzu? – Maciejewski dotknął palcem karteluszki formatu połowy zeszytu szkolnego, wyciągniętej z jednej z chudych teczek. Manię oszczędzania papieru Hejwowskiego dobrze poznał już w Zamościu, w Chełmie po ponad dziesięciu latach najwyraźniej nie osłabła.

– A co mogliśmy więcej zrobić, zdaniem pana inspektora? – zapytał stary glina ze spokojem, mimo że dotknięty do żywego.

Zyga skrzywił się nie tylko dlatego, że drażniły go wygodnictwo i głupota dawnego przełożonego. Stanowisko, o które wcale się nie prosił, to też była czysta złośliwość: kop

w górę, by co najmniej kilku zazdrosnych oficerów mogło śledzić każdy jego krok, czekając, aż się potknie. Bardziej jednak irytowały go notatki służbowe chełmskich tajniaków. Choć włączone do różnych teczek, wszystkie spisano jednym charakterem pisma. *W rozpytaniu stwierdzono, iż figurujący na fotografii pośmiertnej mężczyzna nie był tutejszy. Personaliów ustalić nie zdołano.* Na każdej kopiowym ołówkiem Hejwowski dodał swoje trzy grosze: *podano do Dziennika Inwigilacyjno-Poszukiwawczego.* I koniec, dalej niech się martwi Urząd Śledczy przy komendzie wojewódzkiej!

– Mogli panowie przynajmniej połączyć to w jedną sprawę... żeby nie marnować papieru – dorzucił złośliwie Maciejewski – bo nie przekona mnie pan, panie Józefie, że ofiar nic nie łączy. Ci mężczyźni wszyscy byli przyjezdni, każdego z nich we dwóch ledwo byśmy obezwładnili i każdy ma przetrącony kark jak kogut na świąteczny rosół.

– Zna mnie pan, zawsze działałem zgodnie z procedurami – zaznaczył Hejwowski, cofając się na krzesło.

– Nie przeczę – Zyga pochylił się ku niemu – ale i pan mnie zna. Zawsze działałem zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. A panu brakuje wywiadowców, więc tym bardziej mnożenie spraw się nie przysłuży.

Kierownik wydziału nie odpowiedział, za to zmienił strategię i rozpoczął jeremiadę:

– My przecież nie mamy środków, za to widzi pan jak na dłoni, że niczego nie ukrywam! – zaznaczył, podnosząc w górę palec. – Uczciwie przedstawiam panu, że nie rozwiązaliśmy pięciu spraw, a sam pan dobrze wie, jak to się robi, żeby w statystykach wyszła tylko jedna. Pan chyba musi rozumieć, że czy to będzie jednateczka, czy pięć teczek, trzeba cudu, żeby w którejś z tych spraw coś się ruszyło. Wie pan przecież, że buduje się Nowe Miasto. Najechało się hołoty... – westchnął ciężko.

– Nie trzeba cudu, wystarczą oczy dookoła głowy. Który z pańskich wywiadowców ma rozpoznane to Nowe Miasto?

Hejwowski uśmiechnął się smutno.

– A może pójdzie pan wieczorem do cyrku sportowego, panie



Zygmuncie? – wypalił naraz.

– W cyrku to jestem od rana. – Maciejewski nie planował upokarzać starszego kolegi, ale sam się, do cholery, prosił! Poza tym cały, tyjący powoli organizm komisarza coraz rozpaczliwiej domagał się obiadu. I kufelka. – Proszę zawiadomić dyżurnego, żeby dał mi klucz do gabinetu, kiedy wrócę. Chcę dokończyć raport i jutro zameldować się w Lublinie.

– Jak pan sobie życzy. – Dawny przełożony wyniósł się z kwaśną miną, a Zyga został w obcym gabinecie, z którego na czas inspekcji wyrzucono kierownika administracyjnego. Z wyglądu byk w sam raz do dochodzeniówki, ale porządek trzymał jak stara panna, na parapecie miał paprotkę i dziw tylko, że nie dziergał serwetek, przynajmniej na służbie. Dobrali się z Hejwowskim, nie ma co.

Maciejewski włożył swoje papiery do szuflady i zamknął ją na kluczyk. Już go chował do kieszeni, ale po namyśle zostawił na biurku. Jeszcze by zgubił. Z kapeluszem w rękę ruszył korytarzem pierwszego piętra.

– Cicho, rewizor idzie – dobiegło go, zanim zszedł ze schodów.

Na dyżurce przodownik w zapiętym pod szyję mundurze czekał przy uporządkowanym biurku, aż będzie mógł się poderwać i wyprężyć. Dwaj zdający służbę posterunkowi zasalutowali. Jakiś policjant ubrany po cywilnemu zniknął w bocznym korytarzu, Zyga zdążył tylko zobaczyć nogawki brązowych spodni z mankietami. Dotknął palcem kapelusza i z ulgą opuścił duszny murowany gmach. Z otaczających go drewnianych domów z miejsca buchnęło zapachem duszonej cebuli z podrobami i Ordonką śpiewającą z patefonu.

Reformacką toczył się rozklekotany dwukonny furgon wyładowany workami z nadrukiem młyna „Industria”, ale komisarz przeciął ulicę tuż przed szkapimi łbami. Podniosły łby i prychnęły, instynktem rozpoznając złego człowieka. Zyge jednak zmęczyło bycie dobrym. Jeszcze poprzedniego dnia starał się udawać ludzkiego oficera inspekcyjnego, obiady jak przystało inteligentowi z miasta wojewódzkiego jadał w „Resursie”, a swój wieczorny kieliszek wychylał w barze hotelowym. Teraz skierował się prosto na Lwowską, gdzie

w cieniu kościoła Rozesłania Świętych Apostołów w żydowskich budach przepijali jarmarczny utarg chłopi z okolicznych wiosek.

\*

W oddali na górze przeżyły się wieże kościoła Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, zaś Lucek Feluk stał na rusztowaniu i przeżył muskuły. Osiedle kolejarskich domów po jednej stronie jeszcze pachniało wapnem, po drugiej miejsce takich jak on murarzy zajęli już szklarze i malarze. Na lepkiej od białawego błota, zrytej kołami furgonów przyszej ulicy Katedralnej uwijały się dziewczuchy z brygady kobiecej, zbierając drewno pozostałe z szalunków. Im właśnie Lucek Feluk, chłopak prawie dwa metry, z łapami jak kafary, od co najmniej kwadransa poświęcał więcej uwagi niż murarce. Z wysokości pierwszego piętra i te dorzeczne, i stare niby wyglądały podobnie, z takimi samymi chustkami zawiązanymi na głowie i w pobrudzonych fartuchach. Jednakże Lucek już wcześniej przyuważył kształtne łydki robotnicy w bluzce ze spłóviałym kwiecistym wzorem. Teraz materiał kleił się do spoconych pleców, gdy się zaś prostowała, także do cyców jak dwa dorodne jabłuszka.

– Dylcyneo, moja Dylcyneo! – zanucił fałszywie. Nie był muzykalny, poza tym za cholerę nie mógł sobie przypomnieć melodii z zasłyszanej piosenki.

Stanął na rusztowaniu z kielnią w garści, drugim ramieniem oparty o belkę. Podwinięte rękawy odsłaniały twarde bicepsy, ale dziewczucha obróciła się zadem, że niby taka święta Zuzanna. Feluk rozejrzał się i jego uwagę przykuł szpaler świeżo posadzonych drzewek. Schylił się, by urwać gałązkę.

– Fe, Fulcyneo! – zawołał znowu, trzymając ją w zębach. W jednej chwili gorzki smak młodej kory i łyka wypełnił mu gębę, lecz Lucek twardy był, ani się skrzywił. Wolną dłoń wsadził zawadiacko do kieszeni spodni.

Dziewucha wreszcie zwróciła na niego uwagę. Wyprostowała się i Lucek już sobie wieszował, ona jednak najpierw pogroziła mu trzymaną w garści deską, a potem po prostu splunęła,

kurew jedna, i jak nie zaczęła gdakać!

Robotnik splunął korą i szukał w głowie czegoś odpowiednio pogardliwego, lecz koledzy obrócili się od oklejanych zaprawą murów, a zrozumiawszy, co zaszło, zaczęli rechotać. Krępy majster Dyjaszuk pięcioma krokami pokonał rozhuśtany pomost i stanął przy Feluku.

– Czegój nie robisz, ino zęby szczerzysz? – burknął. – I czegój drzewo psujesz? Ty sadziłeś, że rwiesz?

Jakby Lucek strzelił go z byka, majster jak raz spadłby ciemieniem prosto na przyzmę trylinki czekającej tu na brukarzy. Zacisnął zęby.

– Lepiej żartować jak chorować, panie majster – powiedział i chciał wrócić do roboty, ale Dyjaszuk zabrał mu kielnię.

– Na dół zaprawę mieszać! – rozkazał twardo, chociaż musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć dryblasowi w oczy.

– Ja nie jestem pomocnik, ja jestem fachowy murarz, panie majster! – Feluk powiedział to na tyle głośno, żeby i na dole było go dobrze słyhać. – Ja się do gównianej roboty nie najmowałem.

Miał nadzieję, że zrobi to należyte wrażenie na cycatej brunetce, bo że była ciemną brunetką, teraz spostrzegł po lokach wymykających się spod chustki. A łydek mimo to nie miała zarośniętych jak małpa z zoologu. Chęć brała Lucka, że jasna cholera! Zara, chyba że golila nogi jak kurwa jaka... No nie, o to jej nie posądzał...

– Patrzajta no go, miglanca! – wrzasnęła teraz na całe gardło.

– Do byle czego to on się nie najmował. O, nie skamlał jak te drugie, coby mu byle robotę dali. Miastowy murarz, z patentem, wiadomo! I z pytą w garści. – Zarechotała po wsiowemu.

Lucek nie tyle nawet wyjął, co wyrwał rękę z kieszeni spodni, ale za późno było. Koledzy na rusztowaniach mieli z niego ubaw jak z klauna w cyrku. Przy pyskatym dziewuszysku zaraz znalazła się jej brygadzistka, tylko zamiast dać w pysk, cicho kazała brać się za robotę. A majster zapał się plecami o belkę rusztowania i rozdarł mordę:

– To ja tu jestem od tego, żeby ci powiedzieć, czyś fachowiec,

czy dupa wołowa! Co to ma być? – Wskazał paluchem niewyrównaną jeszcze powierzchnię. – Mieszaj zaprawę albo won z budowy!

– A bo to mi zależy, inną robotę znajdę! – Feluk uniósł się honorem. Tylko jaką inną?... Nie było pracy. W jego rodzinnej Warszawie przyjęciami na budowę rządziła banda, której trzeba się było wpieryć. Gdynia już stała. Lublin miał swoich własnych bezrobotnych. W Centralnym Okręgu Przemysłowym patrzyli w papiery. Chełm był w sam raz dla Lucka... No ale on miał swój ambit! Rosła w nim chęć dać ze łba majstrowi, tyle że wszyscy patrzyli, a on wołał drugi raz nie zawierać znajomości z kryminałem.

– No to se znajdź! – Dyjaszuk wskazał mu pomost prowadzący wprost na ulicę, póki co bardziej podobną do gnojowiska, białawego od wylazającej spod ziemi kredy.

W kasie uczciwie wypłacili mu przerobione dniówki, nie mógł mieć pretensji. W sam raz, żeby schlać się, nim wsiądzie w pociąg.

Luckek Feluk nie mógł wiedzieć, że w tym samym czasie, kiedy on opuszczał największy plac budowy w Polsce, jego srogi majster kręcił korbką telefonu wewnętrznego w barakowozie, przy którym żydowskie dzieciaki pasły kozy.

– Tak jest... Tak jak pan rozkazał – meldował Dyjaszuk zupełnie innym już tonem i nawet nie ośmieliwszy się usiąść, chociaż rozmówca nie mógł przecież widzieć, czy stoi na baczność, czy dłubie w uchu. – Miałem na niego oko i sam się podstawił... Tak jest, wyrzuciłem na pysk.

\*

Pierwszą knajpę Zyga Maciejewski miał blisko, zaraz za Liceum Pedagogicznym, gmachem jak na Chełm tak imperialnym, że bez wątpienia za cara musiano tam edukować nie przyszłych belfrów szkół powszechnych, ale dobrze urodzone panny. Przylepiony do dwóch wyższych kamienic drewniany wyszynk był najwyraźniej dość popularny, bo stało przed nim kilka wozów, a zaprzężone do nich koniska zanurzały pyski w workach z obrokiem. Komisarz zwrócił

uwagę na przybity do drzwi afisz cyrku sportowego, jednak szyld „Targowica”, wiszący krzywo nad oblażącą z farby framugą, nie spodobał mu się ani trochę. Wprawdzie Targowicą w Chełmie prostodusznie nazywano tutejszy plac targowy, lecz Zyga miał z tą nazwą bardzo złe skojarzenia ideowe. W szkole uczono go, że konfederacja targowicka chciała ratować Polskę przed upadkiem i bardzo rozumnie poprosiła o pomoc imperatorową Wszechrusi Katarzynę I. W domu ciotka wytłumaczyła mu, że caryca Katarzyna była rozpustną wywłoką, a targowiczanie zdrajcami, którzy dla paru rubli sprzeniewierzyli się konstytucji i za to właśnie podczas powstania Kościuszki kilku z nich powieszono, niestety tylko kilku. „Ale nie mów o tym w szkole, Zygmus”, przykazała. Oczywiście powiedział najbliższym kolegom, lecz dla nich nie była to żadna nowina, bo w każdym przyzwoitym polskim domu w najgłębszej tajemnicy opowiadano dzieciom to samo.

Na dodatek wypisany mniejszymi literami PIERWSZORZĘDNY LOKAL CHRZEŚCIJAŃSKI przypomniał mu pieczęć zakładu fotograficznego Kupsia, który robił w Chełmie fatalne zdjęcia dla policji. Przeszedł więc obok chasydów na rogu Lwowskiej, czasem rzucających kilka zdań jeden do drugiego. Szabas nie pozwalał im stać za ladami sklepów, lecz zaglądnąć przez okno, czy wynajęci na ten dzień chrześcijańscy subiekti nie podbierają z kasy, było przecież rozrywką, nie pracą. Maciejewski czuł na plecach ich spojrzenia, gdy zbliżając się do targu, zajrzał do kilku knajp, najpierw w coraz niższych kamienicach, potem w drewnianych budach. Wszędzie był tłok, wszędzie na jego widok milkły rozmowy, chłopci za stołami naraz znajdowali włosy w zupie, a wódka szła im nie w tę dziurkę, więc robił w tył zwrot. Czytał w „Expressie”, że Anglicy nazywają coś podobnego *overdressed*. Zdecydowanie był przeubrany, mimo że miał na sobie tylko gotowy urzędniczy garnitur. Róża Marczyńska, jego przyjaciółka i kochanka, gdy zmienił stanowisko, od razu chciała zaciągnąć go do krawca, ale w końcu udało jej się tylko do sklepu. Wybierała mu jakieś w prążki, w pepitkę, popielate i srate, on kupił czarny, bo wisiał pierwszy z brzegu i był

najtańszy.

Mimo to jednak był przeubran, pierwszy raz, odkąd jako dzieciak, wystrojony przez ciotkę w marynarski mundur na piknik w Ogrodzie Foksal, wymknął się jej i zaczął zwiedzać Bronowicką, Składową, Zgodną... Proletariackie dzieciaki patrzyły na niego jak na dziwadło, co wcale mu nie przeszkadzało. Gdy dostrzegł grupkę puszczającą łódki w rynsztoku, zdjął niewygodne buciki i zapragnął dołączyć do zabawy, lecz jakaś dobra kobieta dała mu parę klapsów w tyłek i należycie histeryzującą zgubę przekazała policjantowi w białym, pięknym, letnim mundurze. Chociaż bolało go doznane upokorzenie, otarł łzy, bo był bardzo dumny, że właśnie ktoś taki odprowadza go do parku i urzędowym rosyjskim poucza zapłakaną ciotkę, że według prawa na dziecko należy mieć staranne baczenie.

Ciotka! Kiedy ostatnio zaniósł kwiaty na jej grób? Nie przypominał sobie, ale postanowił naprawić to zaraz po powrocie do Lublina. Jutro niedziela, jak raz stragany przy Lipowej otwarte będą do zmierzchu, nie tylko do końca nabożeństw w okolicznych kościołach. Może potem zajrzy do Gienka Krafta, swojego dawnego zastępcy ze Śledczego? Z cmentarza już nie tak daleko, a nie widzieli się kilka ładnych tygodni...

Lwowską przemierzały służące z pełnymi koszami zakupów na jutrzejszy obiad, plotkujące po rusińsku, usłyszał też niemiecki od trzech mijających je mężczyzn, ubranych z chłopska, lecz w koszulach błyszczących od krochmalu, podczas gdy jego rodacy człapali już rozchelstani i wstępnie rozebrani wódką, na faceta w krawacie patrzący z uzasadnioną podejrzliwością. Zyga stanął z boku i zapalił papierosa zły na siebie, że naszło go na wspominki jak starą babę. I na cholere mu zresztą był ten nowy garnitur?! „Zyga Maciejewski dygnitarzem”, nie najgorszy tytuł na powieść Dołęgi-Mostowicza, a na przedstawienie kabaretowe znakomity ze szczeniem! Trupa mogłaby objeżdżać z programem prowincję, tak jak on objeżdża komendy w Siedlcach, Łukowach, Hrubieszowach, Krasnychstawach, Chełmach. Mógł sobie nader plastycznie

wyobrazić, jak dwa, trzy dni wcześniej komendanci powiatowi zwołują odprawę. „Zaprosiłem panów w celu zakomunikowania im arcyniemilej nowiny: jedzie do nas rewizor!”.

Sam tylko raz widział prawdziwego rewizora, gdy do jego gimnazjum przybył inspektor szkolny Grechniczyn. Raptem nauczyciele, którzy jawili się Zygmuśowi i jego kolegom jako wszechmocne ucieleśnienia carskiego ucisku, zaczęli chodzić ciszej, na palcach, w dodatku przygarbieni, jakby chcieli wydać się mniej zauważalni, a może po prostu przygotowani do złożenia błyskawicznego, hołdowniczego ukłonu. Do uczniów zaś zwracali się z uśmiechem, chcąc pozyskać ich na współników, aby w czystych i pozapinanych na ostatni guzik szkolnych mundurkach także przed tablicą okazali się celująco wyedukowani. Nie przypadkiem na lekcjach niemieckiego oraz matematyki Maciejewski miał wówczas surowo przykazane czuwać w pierwszej ławce i na sekretny gest nauczyciela zgłaszać się do odpowiedzi, na większości innych przenosić się na środek klasy i robić minę znamionującą skupienie oraz jako taką inteligencję, na łacinie natomiast kulić się w ławie ostatniej i udawać, że wcale go nie ma. Po zakończeniu misji Grechniczyna starannie wykaligrafowanymi dobrymi notami zostali nagrodzeni ci, którzy zadowolająco odegrali swoje role, a później wszystko wróciło do szkolnej normy. Maciejewski nie wątpił, że w Chełmie będzie podobnie.

Tyle że nie tak to miało wyglądać! Jako gimnazjalista inspektorem brzydził się bardziej niż swoimi belframi. W tych ostatnich niespodziewanie dla samego siebie pierwszy raz dostrzegł ofiary tej samej tyranii. W starożytnym Rzymie (historia, trzecia ławka w przypadku inspekcji) zwykle nadzorca niewolników sam nie był wolnym człowiekiem i takimi nie byli też dawni pedagogzy Zygi. Po tylu latach od ukończenia szkoły nie miał już pewności (łacina, ostatnia ławka), lecz kołatało mu się po głowie, że *paedagogus* to chyba właśnie był niewolnik pilnujący, aby dzieci jego pana nie zapomniały o odrobieniu lekcji. I ta sama Polska, do której modlił się jako szczeniak, po zmartwychwstaniu okazała się macochą. Jego przyjaciel Kraft jako ewangelik nieraz musiał się

tłumaczyć z tego, że nie jest Niemcem, nieuczęszczającego do kościoła Zygę niektórzy brali za socjalistę, zaś prawosławnym na Chełmszczyźnie przypinano łatki ukraińskich nacjonalistów.

Gasząc papierosa pod podszewą, otrząsnął gorzkie myśli. Otepienie umysłowe, jak czytał, bywa objawem niedożywienia. A nadwrażliwość ideowa, co sam znał po sobie, objawem niedopicia. Szybszym krokiem zanurzył się zatem we Lwowską, gdzie więcej spotykał głośnych, wymiętych ludzi, targowiczających się przy straganach, chociaż mieli tu dwa razy taniej niż w Lublinie. Prowizorycznych bud nastawiano gęsto, bo nazajutrz przypadał odpust Matki Bożej Łaskawej, więc co zapobiegliwsi polscy i rusińscy handlarze już rozłożyli na kramach wstążki, drewniane zabawki i tanie słodkości, a chłopci z podchełmskich wsi zjechali sprzedać na przednówku resztki skromnych zapasów.

Dziękować łaskawej Maryi Pannie za targiem zobaczył drewniany parterowy dom z szyldem „Popularna”. W Lublinie tak nazywała się jedna drukarnia, lecz w Chełmie nazwę firmy przyjemnie okraszono rysunkiem kieliszka i parującego dania na talerzu. Dopadłszy jak najszybciej drzwi, pchnął je i nie rozglądając się już, zajął miejsce w rogu blisko szynkwasu, a żydowski właściciel, widocznie wyznawca złotego bożka, pojawił się przy nim w jednej chwili.

– Żur z chlebem, sznycel z ziemniakami, dwa piwa i mała wódka – zaordynował komisarz, kładąc kapelusz na blacie i sięgając po popielnicę.

– Na jednej nodze – obiecał knajpiarz w nieco wsiowej, jednakże polszczyźnie, i już odchodził, gdy najwyraźniej przypomniał sobie o czymś ważnym. Odwrócił się. – I moje kondolencje dla straty pana szanownego.

Na zewnątrz odezwały się dzwony. Maciejewski spojrział przez okno i zobaczył mur cmentarza. Potem spojrział na swój garnitur i na pozostałych gości, też w czarnych, tanich, tylko bardziej wyświechtanych marynarkach, którzy właśnie pospiesznie kończyli konsumpcję i zbierali się, żeby pójść za trumną.



\*

Szyja Gross, szofer taksówki numer dwa, nie licząc małżonki, za wroga miał tylko Pliszczyckiego, szofera chrześcijańskiej taksówki numer jeden. Tego dnia zrobił jednak z nim *ganc git geszeft*. Poszło im prościej niż dyplomatom w Lidze Narodów, jako że więcej dorożek samochodowych w Chełmie nie jeździło.

Dla obu było aż zbyt wiele kursów, bo w cyrku sportowym rozstawionym na Nowym Mieście opodal cmentarza żydowskiego mieli walczyć mistrzowie ostatnich lat i na zawody szykowali się nie tylko Polacy, także Żydzi po ostatnim kęsie szabasowego czulentu. Pierwsi mieli swoich faworytów na plakacie, ale „Chelemer Sztyme” wymieniał również lodzermensza Cymermana.

Z Pliszczyckim umówili pasażerów pół na pół, uczciwie dzieląc się ulicami bez patrzenia na religię, tyle że Gross zupełnie niepotrzebnie wypił piwo do obiadu. Z pełnym pęcherzem odwiózł do cyrku już doktora Iwrego z rodziną, a teraz wracał na Zaulek Reformackiej zabrać profesorów Jaworskiego i Waśniewskiego, gdy naraz wpadł mu w oko szyld knajpy „Targowica”. Wprawdzie nie należała do tych, gdzie chadzali goście, których stać było na taksówki, ale klozet mieć musiała, to pewne. Gross zakręcił kierownicą i stanął w cieniu kasztanowców wychylających się zza parkanu. Już przekwitwały, co przypomniało mu o maturzystach. Ci wkrótce będą chcieli jeździć za miasto nacieszyć się dorosłością, zanim okaże się, że tak naprawdę nie ma czym... Na razie jednak Szyję Grossa bardziej pilił pęcherz niż nadzieja zarobku.

– Przepraszam, czy pan szanowny pozwoli skorzystać z ubikacji? – zapytał, kiedy szybkim krokiem podszedł do kontuaru.

Stojący za nim zwalisty, łysy mężczyzna z uszami jak kalafiory spojrzał krzywo na szofera.

– Ubikacja dla klientury. I wyszynk chrześcijański – powiedział z rosyjskim akcentem. – Na rękę mogę spróbować się. Kto wygra, choćby i Jewriej, wszystko u mnie darmo ma. – Knajpiarz położył na kontuarze łapę wielką jak łopata do chleba.

Gross nie miał czasu na kłótnie, przynajmniej tak sobie mówił, odprowadzany przez niechętnie spojrzenia klientów „Targowicy”. Naprzeciwko knajpy przy murze klasztornym stały fury niemieszczące się przy placu targowym. Konie z workami obroku na łbach melancholijnie poruszały pyskami. Taksówkarz zrobił kilka kroków w głąb zaułka i skręcił w lewo w pierwszą bramę.

Ciasne podwórze było puste. Na tarasie prowadzącym do mieszkań na poddaszu jakaś rozkochana dziewczyna na zmianę trzepała i wachała starą kołdrę, nie interesując się niczym poza tą wymagającą skupienia czynnością. Byłby luftmensch odwróciłby się i bez skrępowania zaczął obsikiwać ścianę, lecz Szyja Gross nie czuł się jak luftmensch, bardziej jak przedsiębiorca. Przestępując z nogi na nogę, rozglądał się chwilę za wychodkiem, niestety dojrzał tylko śmietnik z przepełnionymi kubłami, na których z godnością polegiwał laciaty kot, tajemniczym spojrzeniem śledzący bzyżące z wysiłkiem chrabąszcze.

– *Awek! Psik!* – Taksówkarz machnął lewą ręką, podczas gdy prawa prędko rozpiniała guziki rozporka. Nie miał chwili do stracenia.

Wciśnięty między kubły, westchnął z rozkoszy aż tak, jak wbrew oczekiwaniom nie westchnęła jego małżonka w noc poślubną. Jego przytomniejszy już wzrok padł w wąskie, zakratowane okno niskiego parteru kamienicy. Palilo się tam słabe światło, odsłaniając przed taksówkarzem podręczny skład „Targowicy” z półkami wypełnionymi butelkami, workami mąki i kaszy. Ale co innego przykuło spojrzenie Grossa.

Dwóch mężczyzn, jeden około pięćdziesiątki, z mięśniami rozpychającymi rękawy marynarki, drugi niespełna dwudziestoletni, ale podobnie nie ułomek, obejmowało się niczym w romantycznym tańcu albo w zawziętej walce. Młodszy, w ciemnym garniturze, zarzucał ramiona na kark rywala, a starszy z mężczyzn, widocznie bardziej doświadczony, trzymał młodziaka pod pachami, przyciskając do pólki. Szofer, zdziwiony tym pojedynkiem, mechanicznie zapiął rozporek. Krewcy chełmianie biją się od czasu do czasu, to fakt, zwłaszcza

w sobotnie wieczory, ale żeby dwóch siłaczy brało się za bary ukradkiem i akurat wtedy, gdy po drugiej stronie miasta stanął namiot cyrku sportowego?

Uwagę taksówkarza odwróciło pogłośnione radio z mieszkania na pierwszym piętrze. Podniósł głowę, akurat by spotkać się wzrokiem z dwiema pannami, które w dość niekompletnych strojach tanecznym krokiem wyszły na taras, objęły się wpół i roześmiane, zawirowały do tanga milonga. Szyja chciał zniknąć po cichu, niestety potrącił kubek.

– *Aj waj*, Gross! – zawołała niższa z pańien po żydowsku. Rozbawiona oparła się łokciami o balustradę, tak że gdyby nie zmrok, Szyja widziałby dokładnie, co ma za dekoltem. – Trysnąłeś sobie przy śmietniku, to teraz chodź trysnąć u nas!

Taksówkarz szybko odwrócił się i opuścił podwórko.

Kałuża moczu wolno wypłynęła z za kubła. Łaciaty kot z obrzydzeniem przeskoczył śmierdzącą strugę i na powrót ułożył się na pokrywie kubła, obojętny zarówno na męskie bójki, jak i panięskie chichoty.

\*

Komisarz Zygmunt Maciejewski był absolutnie pewien, że właśnie kończy raport pokontrolny. Odnosił się już pozytywnie do kwestii przestrzegania regulaminu służbowego, wykazał potrzeby kadrowe, następnie dodatnio, choć z zastrzeżeniami, ocenił system patrolowy i pisał akurat o potrzebie uzupełnień komendy doświadczonymi funkcjonariuszami śledczymi, kiedy poczuł nieśmiałe klepnięcie w ramię, skutkiem czego obudził się. Raport był znacznie mniej zaawansowany niż w jego śnie, a przed biurkiem w gabinecie użyczonym oficerowi inspekcyjnemu stał na baczność mundurowy z pasem malowniczo opadającym poniżej pokaźnego brzuszyska.

– Panie inspektorze, starszy posterunkowy Orłowski melduje, że musiałem pana obudzić – zaczął od spraw oczywistych. – Jest zabójstwo i ktoś musi zdecydować...

Pierwszy obudził się instynkt i Zyga omal nie wyrwał z za biurka galopem. Niestety nie był już od decydowania, jedynie od krytykowania cudzych decyzji! Jak niegdysiejszy

bawidamek, obecnie rajfur. Albo jak krytyk literacki.

– A pan komisarz Hejwowski? Albo pan komendant Pawłowski? – burknął po hierarchii służbowej. – Chyba mają w domu telefony?

– Próbowaliśmy zgodnie z regulaminem, panie komisarzu, ale nie wrócili jeszcze z cyrku – zameldował policjant. – Bardzo proszę pana komisarza, bo rzecz jest poważna.

Mimo że starszy posterunkowy Orłowski na orła Maciejewskiemu nie wyglądał, prędeż na kurę tuczoną na Zielone Świątki, powagę sytuacji przedstawił w słowach krótkich, w korytarzu i na klatce schodowej.

Najpierw do dyżurnego zgłosił się zdyszany rusiński chłop, z papierów Sidoruk Daniel, ze słów Danyło, który najpierw sprzedał prosiaka, a potem pozostał w Chełmie obejrzyć walki zapaśników. Kiedy poszedł nasypać obroku wałachowi, pozostawionemu za opłatą przy gospodzie „Targowica”, zastał na furze trupa. Dyżurny przodownik oczywiście chachłaka zatrzymał.

– I co z tym Sidorukiem? – Zyga zatrzymał się na schodach.

– Ukrainiec, wiadomo, już siedzi – pochwalił decyzję bezpośredniego przełożonego grubego posterunkowy.

Dwuosobowy patrol, ledwie powrócił z obchodu, zgodnie z poleceniem udał się aresztować także konia i furmankę podejrzanego. Niespodziewanie szkapa, zaniepokojona obcymi, ledwie odwiązana, rzuciła się do ucieczki niczym współnik zbrodni. Wóz bez woźnicy, chociaż ze zwłokami, wywracając stragany, przejechał galopem przez plac targowy, ścigany policyjnymi gwizdkami, dopóki się nie wywrócił koło ochronki dla sierot na rogu Lwowskiej i Katowskiej. Tam wałacha przestraszyła grupa pijanych obwiesiów, hałaśliwie wytaczających się z ciemnej ulicy. Dzięki temu zbiegowi okoliczności pościg dopadł konia i udzieliwszy pijakom upomnienia za zakłócanie spokoju publicznego, wraz z furą oraz denatem wrócił na komendę. W tym samym czasie właściciel chabety, rozpytywany przez przodownika, udawał głupiego.

– A przecież, panie komisarzu, skoro to jego wóz, to kto

winien? Pałki nie użyto, nawet po gębie nie dostał! – zaznaczył Orłowski.

Sidoruk miał już wywrócone kieszenie i portki opadające z braku skonfiskowanego paska. Jako włościanin nosił wysokie buty bez sznurówek, więc przynajmniej tych mu nie odebrano, wsadzając na dołek. Maciejewski przystanął w otwartych drzwiach celi, każąc podejść zatrzymanemu.

– A kto un? – Nieogolona gęba i krzywy nos Zygi nie wzbudziły szacunku chłopca. Nie ruszył się spod zakratowanego okna.

– Pan inspektor z Lublina, kurwa twoja chachłacka mać! – ryknął asystujący komisarzowi Orłowski.

– Równo idźcie, jak po sznurku! – dołączył do wrzasków Maciejewski. – Lewa ręka za prawe ucho, prawą dotknąć nosa. Chuchnąć! – rozkazał na koniec, kiedy Danyło spełnił te polecenia i nie przewróciwszy się, stanął naprzeciw oficera. – Co żeście dziś wypili?

– Ćwiartkę wódki i dwa piwa, ale pod tłusty bigos. *Aż gazy brały. Po nocy mnie było do domu wracać. Ja ne wynuwatyj!*

– Wyście Ukrainiec? – Komisarz spojrzął spođe łba.

– Gdzie tam Ukrainiec! – obruszył się Sidoruk. – Tutejszy. Ot, z godzinę drogi od Chełma...

– Rolnik?

– Jaki tam rolnik, pane, ot gospodarz! Dwadzieścia morgów, no sława Bohu, obrabiamy z synkiem bez parobków.

– Zabiliście?

– Ni, *jij Bohu!* – Chłop walnął się kułakiem w pierś.

– Zabitego znaleźcie?

– Ni, pane. No szkoda ludyny, młody taki, *jij Bohu*, tom przybiegł.

– No to z Bogiem. – Maciejewski odwrócił się do Orłowskiego, który wciąż stał przy nim jak cień albo szpicel. – Spisać, oddać pasek i puścić wolno.

– Kiedy to Ukrainiec – szepnął konfidencko posterunkowy.

– A niechby był i Chińczyk! Co za idiota mordowałby człowieka, potem wsadzał trupa na własny wóz, a na koniec

jeszcze z językiem na brodzie biegł o tym zameldować? Tym bardziej średniorolny gospodarz, który ma dość kłopotów z podatkami, żeby szukać innych. Niech się spodziewa wezwania w najbliższych dniach. Tymczasem...

Nie zdołał dokończyć, bo na policyjny dołek wpadł zdyszany Hejwowski.

– Dziękuję, dziękuję panu, panie Zygmuncie! – Uścisnął komisarzowi dłoń. – Już przejmuję sprawę i przepraszam, że pana fatygowano. Zatem jest podejrzany? – Wskazał palcem Sidoruka.

Maciejewski zatrzasnął drzwi celi, omal nie uderzając nieszczęsnego chłopca w nos. Chociaż zdaniem komisarza był niewinny jak dziecko, sporów między panami władzą nie powinien słyszeć.

– Brak podejrzanego! – warknął. I gdyby rzeczywiście był rewizorem z carskich czasów, wydałby zaraz dalsze dyspozycje. „Ten człowiek zachował się jak należy i nie zwieje, bo mu się to zwyczajnie nie opłaca, job twoju mać. Oględziny miejsca zdarzenia zarządzić, a ja za godzinę czekam raportu albo na Sybir w try miga!”. Niestety mógł jedynie radzić i oceniać. Zaś kierownik chełmskiego wydziału śledczego każdą radę mógł traktować jako pomoc lub prowokację.

– Lepszy taki niż żaden – zdecydował szachrajsko Hejwowski i miał rację. Za nadgorliwość nikt jeszcze nikomu nic złego w wolnej Polsce nie zrobił.

Zyga westchnął ciężko. Ułożenie zwłok i większość śladów, to wszystko i tak było stracone, a na dodatek najcenniejsze godziny śledztwa w diabły, bo dochodzenie pójdzie błędnym tropem!

– Pan musi być nieludzko zmęczony. Niech pan pójdzie odpocząć do hotelu – poradził irytująco przyjaźnie dawny przełożony. – Natomiast co do cyrku, niech pan żałuje, panie Zygmuncie. Walki były pierwszorzędne!

## Rozdział 2

### – Wspomnienia niebieskiego mundurka

*Chełm, niedziela 15 maja 1938 roku*

Zza okna celi słycać było jeszcze kłaskanie słowika, kiedy Danyłę Sidoruka obudziło nagle zapalenie światła, a potem zgrzyt klucza w drzwiach. Na progu stanął policjant. Miał dwa podbródki, trzy belki na naramiennikach, czerwone z niewyspania oczy i zły humor.

– Jesteście wolni – burknął. – Paszoł won!

– *Złowyły wy ubywciu?* – wyrwało się chłopu po swojemu, ale policjant najwyraźniej zrozumiał.

– Nie wasza sprawa. – Zwlókł go z twardej pryczy i wypchnął za próg. – I na przyszłość od razu mówcie, co i jak było, bez waszego chachłackiego kręactwa...

Patrzac, jak starszy posterunkowy zamyka drzwi, dopychając je kolanem, Sidoruk wiedział jedno: na przyszłość prędzej wyrzuci trupa do rowu, niż zamelduje o nim policji.

– ...bo się wam wrzepi paragraf za utrudnianie śledztwa. Dziś macie więcej szczęścia jak rozumu, że jest u nas inspektor. Na górę! – rozkazał pan władza. – Odebrać depozyt.

Wiele mu do oddawania nie mieli, tylko pasek od spodni i stary portfel.

– Coś nie zgadza się wam?

Sidoruk dobrze pamiętał, że pieniądze za prosiaka to były trzy stare papierki po dziesięć złotych każdy. Włożył je do bocznej kieszonki portfela, żeby przypadkiem nie ruszyć, jeśli najdzie go ochota wypić po walkach zapaśników setkę albo dwie. Teraz w kieszonce były dwie tamte dziesięciozłotówki i dwa nowe banknoty po pięć złotych.

– Zgadza się, pane, zgadza – potwierdził szybko, chociaż już dobrze rozumiał, że drapnęli dziesiątkę, gady, tylko

przestraszyli się inspektora z Lublina i oddali innymi pieniędzmi. Ale co o tym i wspominać, inspektor zabierze się i pojedzie, a z tymi tutaj trzeba będzie jakoś żyć.

– Jako zatrzymanemu należy się wam niby kawa i chleb na śniadanie, ale śniadanie daje się o szóstej rano, a was zwalnia się... – gruby policjant spojrzął na zegarek – ...dokładnie czwarta minut piętnaście. Sami rozumiecie, tak? Podpiszcie, że nie macie uwag ani pretensji co do waszego zatrzymania.

– Nie mam, pane. – Koślawo nabazgrał imię i nazwisko, bo mimo że skończył trzy klasy, to uczyli go jeszcze po rusku. Polskie litery zupełnie nie układały mu się pod twardą stalówką.

– No to jeszcze tu podpiszcie. – Policjant podstawił mniejszy blankiet.

– A co to, pane?

– Nie widać?! – oburzył się opasły pan władza. – Mandat karny za pozostawienie konia z wozem bez opieki, na skutek czego doszło do zniszczenia mienia, to jest straganów targowych.

– *Toż ja niewynnyj!* – przysięgał Danyło, lecz po policjancie jego święte oburzenie spłynęło jak woda po gęsi.

– To się odwołajcie do sądu, mnie bez różnicy. – Wzruszył ramionami. – Możecie zapłacić teraz albo do tygodnia przesłać pocztą. Jak nie, to się wam komornika naśle – pouczył chłopa.

Sidoruk bał się komorników jak złego spojrzenia i zadania uroku. Wyszedł zatem z polskiego cyrkułu goły niczym prawosławny święty pustelnik. Jego fura stała za budynkiem, a wałach przysypiał smutno, podniósł jednak łeb, gdy wyczuł gospodarza. Sidoruk pokręcił głową. Nie dali mu ani wody, ani obroku, derką też nie przykryli, chociaż nawet polskie przysłowia mówiły o zimnych majowych nocach.

– No, ty wybac mi! – Chłop poklepał zwierzę po szyi. – Przeze mnie żeś się w kozie przesiedział, biedaku, ale więcej tu nie przyjedziem, daju słowo. No, nie martw się, *maj chołodnyj, ne budesz gołodnyj.*

Koń, cokolwiek zrozumiał z przeprosin Danyły, nie chował urazy. Ledwie wyjechali na szosę do Hrubieszowa, pozwolił



nawet gospodarzowi usnąć na koźle i sam, niespiesznie człapiąc, pociągnął furę w stronę domu.

\*

W tym samym czasie Maciejewski przesunął na parapecie zawadzającą mu doniczkę z paprocią i zamknął okno. Potrzebował haustu zimnego, porannego powietrza, ale słowik darł się niemożebnie. Zapewne nie chciał wykrzyzczyć nic ponad: „zobaczysz, dziwko, jutro też będę na ciebie czekał”, chociaż dla ludzkich uszu brzmiało to poetycznie. Zyga natomiast miał dość hałasu.

Na komendzie został głównie na złość Hejwowskiemu, bo protokół równie dobrze mógł dokończyć w hotelu, i to w przyjemniejszych warunkach, popijając piwo przyniesione z bufetu. Albo rzeczywiście pójść spać i wrócić do pracy po śniadaniu. Jednakże dawny przełożony aż się prosił, by patrzeć mu na ręce i zmusić do całonocnej roboty. Żaden rozsądny funkcjonariusz Policji Państwowej nie odważyłby się przecież wyjść do domu, gdy inspektor z Lublina trwał na posterunku jak wyrzut sumienia.

Protokół Zygi był prawie gotów i wystarczyłoby kilka ogólników oraz kropki, żeby popołudniem wsiąść w pociąg i zdążyć na późny obiad z Różą, pielęgniarką, którą niektórzy brali już za jego żonę, mimo że nawet nie dał jej pierścionka. Mieszkali jednak razem, a ze swoich znieprawdowanych wyjazdów posyłał jej depesze, lecz akurat w Chełmie zaraz po przyjeździe wybrał widokówkę, bo wydała mu się wyjątkowo zabawna. Fotograf – być może sam pan Kupś, artysta chrześcijański – utrwalił na niej z lewej strony skromny jasny obelisk, a z prawej stojący na środku ulicy, grożący katastrofą budowlaną Okrągłak pełen małych żydowskich sklepików. Podpis brzmiał: „CHEŁM, Pomnik Poległych”. Słów na pocztówce było co prawda niewiele więcej niż w depeszy; pisać elaboratów nie miał siły, od kilku miesięcy i tak zbyt wiele jego pracy schodziło na kaligrafowaniu.

...w związku z powyższym dopracowania wymaga zakres czynności śledczych w zakresie wywiadu oraz rozpoznania środowiskowego. Komenda chełmska w swej obecnej organizacji nie odpowiada nawet potrzebom miasta powiatowego o przeciętnym ruchu ludności, co będzie skutkować negatywnie wobec szybkich zmian zachodzących w mieście.

I. Komenda Pow. w Chełmie na 28 tys. stałych mieszkańców miasta liczy 35-ciu funkcjonariuszy, w tym zaledwie 6-ciu wywiadowców śledczych, co wg normy w obecnej chwili oznacza niedobór kadrowy w liczbie 10-ciu funkcjonariuszy wymagający niezwłocznego uzupełnienia.

II. Wg danych Starostwa Pow. na terenie miasta Chełm obecnie pracuje ok. 2000 robotników, przy czym połowa to ludzie spoza powiatu, bliżej nieznanymi miejscowym władzom i w liczbie tej ma miejsce wysoki ruch ludności. Już przez sam ten fakt obsada komendy wymaga pilnego zwiększenia o co najmniej 4-ech funkcjonariuszy ponad stan postulowany powyżej.

III. W związku z budową Nowego Miasta i otwarciem tu Dyrekcji Kolei Państwowych planowanym na XII 1939 r. liczba ludności Chełma zwiększy się o 1/3 (z 28-miu do ok. 40-stu tys. mieszkańców), co pociągnie za sobą konieczność stosownego zwiększenia etatów funkcjonariuszy. Sprawą szczególnie pilną jest utworzenie 2-go komisariatu na Nowym Mieście. Biorąc pod uwagę obiektywne trudności, postuluje się trzyetapową organizację jednostki:

(1) przez utworzenie posterunku w sile kierownik przodownik i ok. 5-ciu niższych funkcjonariuszy, którego otwarcie jest pilną potrzebą już obecnie, aby obsada nowej jednostki posiadała rozeznanie w terenie,

(2) stopniowe powiększanie stanu osobowego w miarę rozbudowy osiedla Dyrekcja (z uwzględnieniem wywiadowców śledczych),

(3) zmianę organizacyjną posterunku w komisariat nie później niż na przełomie 1939/1940 r. i powierzenie kierownictwa placówki doświadczonemu oficerowi, który...

Zanim komisarz dokończył zdanie, do gabinetu wszedł Hejwowski. Był zmęczony, ale wyraźnie z siebie zadowolony.

– Miał pan po części rację, panie Zygmuncie – powiedział, siadając naprzeciw. Rzucił krótkie spojrzenie na biurko, ale nieźle udawał, że raport Maciejewskiego wcale go nie obchodzi.

– Trzeba było zwolnić tego Sidoruka. Faktycznie wygląda na to, że znalazł się tylko w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednim miejscu. Jest lepszy podejrzany. Niejaki Szyja Gross, taksówkarz...

– Zamordował, bo nie zapłacono mu za kurs?

– Pan to jak zwykle w gorącej wodzie kąpany! – Hejwowski uśmiechnął się jak nauczyciel do pilnego, choć lekko niesforne go uczniaka. – Szyja Gross był świadkiem bójki zamordowanego z jednym wykidajką. Szofer zeznał, że nie powiadomił nas od razu, bo bójka miała miejsce na zapleczu „Targowicy”, a to nie jest wykwinny lokal. Mam go na liście wzbронionych mundurowym policjantom – pochwalił się. O higienę i cnotę swoich podwładnych był przełożony dbał już w Zamościu, Zyga dobrze to pamiętał. Aby się nie wykosztowywać, został wówczas stałym klientem pewnej żydowskiej mordowni, a uszło mu to na sucho tylko dlatego, że pozorował inwigilację. – Natomiast kiedy po zawodach Gross usłyszał od dorożkarzy o zabójstwie, udał się na posterunek kolejowy. Tam miał najbliżej.

– Zatrzymał pan podejrzanego?

– Pomyślałem, że chciałby pan być obecny przy przesłuchaniu. Pokój numer siedemnaście.

Zyga kiwnął tylko głową i wybiegł z gabinetu.

Hejwowski udał, że chce zgasić lampę na biurku – oszczędność prądu obowiązkiem administracyjnym funkcjonariusza! – ale głównie koczyło go zajrzeć do memoriału swojego dawnego podwładnego. Kilka ostatnich zdań wystarczyło, by z miejsca przejrzał intryganta. Wyłysiał przecież nie dla kaprysu; każdy jego stracony włos oznaczał cenną lekcję, jak postępować ze zwierzchnikami i jak samemu

nie dać się pożreć zawistnikom. To jasne, że komenda wojewódzka nie pozwoli na podobne wydatki, ale odnieść się do raportu pokontrolnego jakoś musi. Wynajmą więc lokalik na Nowym Mieście, pewnie jedno z mieszkań w kolejarskich blokach, i każą tam urzędować „doświadczonemu oficerowi, który”... Który nazywa się Józef Hejwowski, o to szło temu rozpychającemu się łokciami bezlitosnemu karierowiczowi! I za co? Za to, że właśnie przy Hejwowskim nowy oficer inspekcyjny nauczył się podstaw roboty w policji?

Kierownik wydziału przesunął kartkę, pióro także umieścił równo z ostatnią, niedokończoną linijką, tak jak pozostawił je Maciejewski. Tamten od początku miał plecy, nie jak Hejwowski, który doszedł do wszystkiego własną nieustępliwą skrupulatnością. Chwała Bogu, poznał przynajmniej zamiary wroga – a to nieraz w historii pozwoliło słabszej armii zwyciężyć zadufanego w sobie przeciwnika, pocieszył się, zamykając za sobą drzwi.

\*

Pokój numer siedemnaście był ponurą kłitką z oknem od zachodniej strony, dodatkowo zacienionym przez przytulone do budynku drzewo. Na widok Maciejewskiego poderwał się zza stołu niższy od niego o głowę niespełna trzydziestoletni szatyn, także w czarnym sklepowym garniturze. Z okrągłą twarzą, odznaczającymi się kośćmi policzkowymi i dużymi szarymi oczami był doskonale nijaki, w sam raz na wywiadowcę lub denata NN. I raczej nie oglądał walk w przyjezdnym cyrku, tylko grzecznie spędził sobotni wieczór z nudną żonką i może nawet słodkimi bachorami, bo był stosunkowo wyspany, jak zazdrośnie zauważył Zyga.

– Starszy posterunkowy Szczepan Horejuk melduje się na służbie, panie inspektorze.

– Pan będzie przesłuchiwał? – Komisarz podał mu rękę. – Często ma pan do czynienia z podejrzanymi o zabójstwo?

– Nie, ale pan kierownik uznał mnie za dość doświadczonego  
– oznajmił nieco urażony.

Maciejewski westchnął. Hejwowski popisowo wrobił ich obu: szeregowego tajniaka, żeby mieć komu dać nagane, jeżeli podejrzany stanie sztorcem i nie odpuści, a Zyge, bo przecież jeżeli będzie przy tym obecny i nie załatwi sprawy za chełmskich śledczych, to ileż warte jego wymądrzanie się w raporcie?! Zaś jakikolwiek sukces pójdzie oczywiście na konto kierownika miejscowego wydziału śledczego.

– Podejrzany?

– Recydywista, już siedział za pobicie. Jest też kolejny świadek, który go obciąża, co prawda nietutejszy – zastrzegł Horejuk, jakby miało to wpłynąć na jakość zeznań. – Czekaj w pokoju obok. Ciało przewieziono do szpitala, ofiara zidentyfikowana. – Podał komisarzowi legitymację szkolną. – Wacław Zimowski, tegoroczny maturzysta.

Maciejewski spodziewał się siedzącego w książkach, zmordowanego wkuwaniem mizeroty, ale nawet zdjęcie legitymacyjne sprzed kilku lat przedstawiało dorodnego byczka z szyją niemal szerszą od głowy.

– Młody zapaśnik – wyjaśnił całkiem domyślnie wywiadowca.

– No to i podejrzany musi być kawał chłopca. Gdzie jest?

– Ujęty i doprowadzany. Mieszka niedaleko.

Zyga zastanowił się, czy nie przesadził może, pisząc o niedostatecznej organizacji komendy już na obecne warunki. Powinien sprawiedliwie zaznaczyć, że akcje w miejscach, do których z posterunku szło się kilka minut piechotą, przebiegały wzorowo. Tyle że już za kilka lat wiele ma się zmienić! Jak Maciejewski czytał w gazetach, Polska nieuchronnie doszłusuje do Europy Zachodniej, Chełm zmieni się nie do poznania w ciągu jednego zaledwie roku, choć tutejsi posterunkowi pewnie będą ścigać samochody rowerami... A on jako rewizor dorobi się garnitur w prążki.

Dwaj mundurowi weszli bez pukania, co niezłe o nich świadczyło. Wykonywali rozkaz bez oglądania się na dawne carskie obyczaje. Naraz komisarz zdębiał, widząc wprowadzanego mężczyznę w koszuli wystającej ze spodni i marynarce narzuconej na szerokie ramiona.

– Pan Leszyna?! – zapytał mało urzędowym tonem.

– Leszyna Wiktor – potwierdził podejrzany, wciąż stojąc, chociaż mundurowi wskazali mu czekające nań krzesło. – Nie będę mówił, mam prawo.

Maciejewski zrobił dwa kroki w jego stronę. Miał chęć uścisnąć mu rękę, tego jednak w żadnym razie nie wolno było zrobić funkcjonariuszowi.

– Panie Leszyna, jako młody chłopak oglądałem pańskie walki zapaśnicze. Jeśli może pan powiedzieć cokolwiek, co byłoby okolicznością... – Urwał, zorientowawszy się, że wpada w policyjny bełkot. – Proszę mi wierzyć, że spróbuję panu pomóc.

Horejuk spojrział z zaskoczeniem i niechęcią na komisarza, ale nie odezwał się.

– Nie będę mówił, mam prawo – powtórzył atleta, nadstawiając rękę do założenia kajdanek.

\*

*Lublin, rok 1912*

Czapka, frajerze!

Rzeczywiście, nawet przy ich chłopięcym wzroście czapka była widoczna z daleka i ktoś mógłby łatwo poznać, a potem donieść dyrektorowi, że w cyrku sportowym widziano uczniów rządowego męskiego Gimnazjum Lubelskiego. Zygmus Maciejewski, w rozpiętym pod szyją granatowym szkolnym mundurku, zdjął ją pośpiesznie, a ponieważ nie chciała się zmieścić w kieszeni, wcisnął ją z tyłu za pasek spodni. Zanurkował pod ramionami widzów i przepchnął się bliżej poręczy. Tuż za nim robił łokciami jego mentor w zakresie nielegalnych szkolnych i pozaszkolnych rozrywek, Włodek Miazgarski. Ten to umiał przemówić do słuchu błatną mową prosto z więzienia na Zamku; znano ją na lubelskich przedmieściach, ale w gimnazjum była egzotyczna i z miejsca budziła respekt.

W barierę wczepili się niczym morskie jamochłony, o których wykladał ze swym moskiewskim akcentem, mało słyszonym w Lublinie, profesor Kowaliew. Gienkowi Kraftowi z młodszej

klasy, który był jeszcze gnojkiem i miał prawo po babsku brzydzić się robaków, kazał wyciągać z ziemi gołą ręką kłębiące się glizdy, podły Moskal! Upokarzał chłopaka, bo był ewangelikiem, a to dla Kowaliewa znaczyło: gorzej niż katolik.

*On żyjet we wodzie, tam chwatajetsia za kamień i nie puskajetsia... Maciejewskij, ty słuszajesz mienia ili chcesz dwójku połuczyć?!* To z lekcji Kowaliewa o stułbiach, ukwiałach i koralowcach najbardziej zapamiętał Zyga, lecz ani podejrzewał, że przyda mu się w życiu. Wystarczy niczym koralowiec mocno chwycić poręcz, przytrzymać dłuższą chwilę, aby tłum przestał cię potrać, tylko zaczął opływać niczym woda i przywykł do twojej obecności jak do owego kamienia z wykładu.

Ze swojej lewej strony Zygmunt czuł kwaśną woń potu spod pachy rosnącej i słusznie zaokrąglonej dziewczyny, wczepiającej się w ramię kawalera z przedmieścia. Włodek ukradkiem zrobił kółko z dwóch palców lewej ręki i z obleśnym uśmiechem przesuwając w górę i w dół prawym palcem wskazującym. Maciejewski udał, że również go to bawi, bo nie chciał wyjść na gapę. Rozumiał tak samo dobrze jak drugoroczny kolega, co przed ich oczami zdarzy się za chwilę na arenie, a co dzieć się będzie później w innym świecie, tak samo wymagającym prężenia mięśni, lecz dla nich jeszcze niedostępnym, pobudzającym ciekawość, choć w gruncie rzeczy ohydny. Takim przynajmniej widział ten świat Maciejewski, oglądając otkrytki z gołymi babami z kolekcji Włodka.

Teraz jednak nie w głowie mu były podobne głupoty, bo zagrała orkiestra i rozpoczęła się parada zawodników, samych mistrzów lub przynajmniej bliskich tytułu Siłacza z Kolonii, Pogromcy z Petersburga, Poznańskiego Tytana... Zygmunt nie zapamiętał ich wszystkich, ponieważ konferansjer w tandetnie kolorowym fraku to wykrzykiwał słowa z prędkością kulomiotu, to przeciągał je, jakby naśladował dźwięk spadającego szrapnela. W dodatku dziewczucha obok podczas wyjścia każdego atlety zza kurtyny śmiała się rehotliwie albo dla odmiany piszczała. Miazgarski trącił młodszego kolegę, by mu pokazać, że kawaler tej diwy z Bronowic czy Kośminka już

ukradkiem wsunął jej łapę pod ubranie. Maciejewski pogardliwie wzruszył ramionami, przecież o wiele ciekawsze widowisko za chwilę będą mieli przed sobą. W odpowiedzi Włodek popukał się w czoło.

– A teraaaz... Szanowna publiczności, oto Aleksy-yy Duuubow! Biała Bestia z Astrachania, niepokonana, nie do pokonania! – oznajmił konferansjer, wskazując zwalistą górę mięśni w białym trykocie. Siłacz miał włosy ostrzyżone krótko jak skazaniec, a wielkie, wypomadowane wąsiska świeciły się bardziej niż lakierki mistrza widowiska, przy Białej Bestii zupełnego mikrusa.

– Jaki duży! – zachwyciła się spocona dziewczucha.

– Duży z małym – powiedział na głos jej kawaler i oboje wybuchnęli śmiechem. Zараźliwym, bo dowcip spodobał się również Miazgarskiemu i kilku widzom wokół. Zygmunt nie rozumiał, co w tym aż tak zabawnego.

Drugą osobą bez poczucia humoru okazał się sam Dubow. Może podobne rzeczy mówiono o nim w pierwszych rzędach, może jeszcze gorsze, dość że atleta naraz rzucił się z dzikim rykiem ku widowni i Bóg wie jaką skończyłoby się to tragedią, gdyby nie przytomność umysłu aranzera walk. Zanim zdążyli ruszyć z pomocą inni zapaśnicy, na znak konferansjera dwaj jego asystenci skoczyli ku atlecie i spętali go grubym łańcuchem. Pogromca Białej Bestii spiął ogniwa pokaźną kłódką, a klucz najpierw podniósł wysoko do góry, potem schował do kieszeni fraka.

– Szanowna publiczności, atleta Dubow, Biała Bestia, mistrz Astrachania, Moskwy, Petersburga i Wszechrusi, jest dziiiiś... w nerwowym usposobieniu – wyjaśnił. – Po tyym... jak popołudniem omal nie udusił kelneera... sam poprosił, by w razie czego spętać gooo... łańcuuu...chami!

Jeżeli nawet konferansjer powiedział prawdę, z umysłu Białej Bestii ta prośba dawno wywietrzała. Mężczyzna w barwnym fraku ledwie zdążył uskoczyć przed Dubowem, który, chociaż w pętach, ruszył go staranować niczym rozjuszony byk. Znów przyskoczyli dwaj pomocnicy i chwycili za zwisające końce łańcucha, ale dopiero dzięki wysiłkowi innych atletów zdołali



osadzić siłacza w miejscu.

– A gdzie Leszyna?! – przypomniał ktoś z widzów.

– Gdzie Leszyna?! Był na afiszu! – poparły go inne głosy.

– Szanowna publiczności, nie wiadomo, co się stało! – Konferansjer załamał ręce. – Pan Wiktor Leszyna, młody i jakże utalentowany polski zawodnik, przyjechał do Lublina, ale nie zgłosił się przed walką. – Tu mistrz ceremonii wyjął z kieszeni okazały zegarek, tak błyszczący, że nawet najdalsze rzędy nie mogły go nie zauważyć. – A pozostała mu... miiinuta!

Zygmunt miał szczęście, że to, co nastąpiło, widział tak dokładnie. Akurat naprzeciw niego, *vis-à-vis* balkonu dla najtańszej publiczności, przy wejściu zaczęła się szarpanina. Najpierw, mijając zaskoczonych biletowych, wdarł się do cyrku młody, jasnowłosy mężczyzna w płaszczu, lecz bez kapelusza. Ścigało go dwóch ubranych jednakowo panów w czarnych paltach i melonikach. Zanim odchyłili klapy, okazując pewnie znaczek szpicla tajnej policji, odźwierni przytrzymali ich na tyle długo, by uciekinier zdążył wskoczyć na arenę.

– Jestem Leszyna! – wykrzyknął na cały cyrk.

Dubow zarzycał niczym lew z koloseum na widok chrześcijańskiego skazańca.

– Jestem! Zgłaszam się do walki! – Leszyna odrzucił płaszcz i dwoma wyrzutami nóg pozbył się spodni. Pod spodem miał biały trykot z czerwonym pasem.

Maciejewski nie powstrzymał okrzyku radości. Niby tylko sportowy strój, ale biało-czerwony, w polskich barwach narodowych zakazanych przez okrutnego carskiego zaborcę.

– Niech żyje Leszyna! – wykrzyknął Zygmunt.

– Niech żyje Polska! – przebił go kolega Miazgarski.

Nikt nie mógł słyszeć, o czym rozmawiał konferansjer z mężczyznami w melonikach, którzy kręcili głowami i wykonywali przeczące gesty. Publika wyła. Aranżer przekonywał i przekonywał, aż wreszcie tamci machnęli ręką i poszli.

Gdyby ktoś się wtedy nad tym zastanowił, musiałoby mu się wydać dziwne, że negocjacje ze szpiclami wszechwładnej ochrony trwały nie dłużej niż minutę i zostały uwieńczone

sukcesem. Każdy w cyrku myślał jednak o czym innym: by walki mogły się zacząć.

Miazgarski podrzucił głową jak nerwowy koń, bo kosmyk włosów opadł mu na oczy.

Sędzia podniósł rękę.

Publiczność zawyla.

Walki się zaczęły!...

\*

*Chełm, niedziela 15 maja 1938 roku*

Miazgarski nerwowo podrzucił głową. Mimo że całkiem wyłysiał i czupryna już mu nie zawadzała, nawyk pozostał.

– Dalekośmy zaszli, Zyga, chociaż że będziesz robił karierę w policji, nie spodziewałem się. Myślałem: nauczyciel, sędzia, może wojsko... Ale ten sam jesteś, ten sam morowy chłopak! – Przechylił się ponad biurkiem i klepnął kolegę w ramię. – Jak miewa się twoja ciotka?

– Nie żyje, a ja przesłuchuję cię teraz. – Maciejewski uciał sztubackie czułości, otwierając akta. To dawny przyjaciel okazał się tym drugim świadkiem, który przeważył szalę.

Zyga był zdumiony, że akurat w Chełmie, gdzie nigdy wcześniej nie był, za jednym razem spotyka najpierw dawnego przełożonego, potem idola czasów chłopięcych, a na dokładkę kolegę ze szkolnej ławy. Owszem, opowiadano mu żydowską anegdotę o tutejszym głupku, który wybrał się do Lublina, ale po drodze dowcipnisie wprowadzili go w błąd i naiwniak wrócił, skąd przyszedł. Patrzył zadziwiony, że w Lublinie są takie same ulice jak w Chełmie, na jednej z nich jest nawet taki sam dom jak ten, w którym on mieszka, a w dodatku w tym domu taka sama kobieta jak jego żona gotuje obiad, na podwórku bawią się takie same dzieci jak jego bachorzyska i jeszcze rzucają mu się na szyję, wołając: *tatele, tatele!* Głupi Żyd doszedł do wniosku, że wszędzie jest Chełm, że cały świat jest jednym wielkim Chełmem. Komisarz w odróżnieniu od niego orientował się w geografii świata i Polski, a mapę swojego województwa to już znał na wrywki. Niemniej

w policyjnej robocie przywykł, że zbrodnia wszędzie jest taka sama, a do protokołów obcy sobie ludzie mówią to samo, jakby się umówili. Czy różnił się zatem wiele od tamtego chełmskiego głupka? Niestety, musiał aż zostać oficerem inspekcyjnym, żeby sobie to filozoficznie uświadomić.

– Słuchaj, Zyga, mnie też żal Leszyny, ale taka jest prawda. – Miazgarski westchnął, mylnie odczytując milczenie kolegi.

Dawny prowodyr szkolnych przestępstw i wybryków postarzał się, podtatusiał i przytył. Gdyby Maciejewski spotkał go na ulicy, pewnie minąłby bez słowa, ślad odczucia *déjà vu* zrzucając na wieczorne nadużycie alkoholu. Zresztą nie przepadał za ludźmi, których lubił jako gówniarz. Zaś do byłych serdecznych przyjaciół miał tym większą awersję.

W ciągu tych lat, kiedy się nie widzieli, nazwisko Miazgarski kilkakrotnie mignęło komisarzowi w „Przeglądzie Sportowym”, ale nie łączył go z kolegą, w końcu niejednemu psu Burek. Dlatego nie miał pojęcia, że dawny kompan walczył w stylu francuskim w wadze średniej, a potem został działaczem Polskiego Związku Atletycznego i dopiero tu zrobił prawdziwą karierę, zaczynając jako sędzia w zawodach regionalnych, potem w krajowych, by po kilku latach prowadzić z ramienia związku nadzór walk w objazdowych cyrkach sportowych.

– Tego chłopaka, Zimowskiego, znam... znałem z widzenia. W takim mieście jak Chełm wystarczy pomieszkać kilka dni, a już zaczynasz poznawać twarze. On przychodził do gospody Dubowa, w której się zatrzymałem...

– Dubowa? – przerwał mu Maciejewski. – To Dubow też tu jest?

– Prowadzi knajpę z pokojami kilka kroków od komisariatu, nie wiedziałeś? Gospoda „Targowica”. Bez większych wygód, choć względnie mało pluskiew. Zresztą co ma na mnie zarobić jakiś Żyd, a nie on? Leszyna jest u niego za wykidajkę.

– No to się obróciło. – Komisarz pokręcił głową.

Gdy jeszcze kierował lubelskim wydziałem śledczym, odfajkował wprawdzie wiele spraw, w których szwagier zabijał szwagra sprzętem domowym po niedzielnych wypominkach, ale ta ohydnie zapętleła się wokół jego własnych upiorów.

– Tak, poobracało się zupełnie jak z nami – westchnął melancholijnie Miazgarski. – Mogę zapalić?

Zyga kiwnął głową, stawiając przed nim popielniczkę. Dawny kolega otworzył srebrny portcygar i wyjął papierosa z nowoczesnym, bibułkowym ustnikiem. Zgniół go jednak jak starą tekturową gilzę, nim włożył do ust. Kolejne wspomnienie: tak samo zgniatał papierosy, kiedy pod jego światłym kierownictwem przyszły komisarz uczył się palić. Wtedy wyglądało mu to salonowo, teraz tandetnie.

Mimo to znalazł w pudełku niespaloną zapałkę i podał ogień.

– Wiesz, że miałem kiedyś rojenia sportsmena, ale nic z tego wyszło, nie każdy ma talent. W pewnym wieku trzeba to sobie jasno powiedzieć, żeby się nie stoczyć. Natomiast organizuję zawody. Polski Związek Atletyczny to, mówię ci, Zyga, menażeria cwaniaków i zupełnych frajerów! Jednego byś zobaczył i ozłocił, drugi nawet w smokingu by ci śmierdział spod pach. A ja jestem dla nich, bracie, jak ten sędzia pokoju. – Miazgarski zaśmiał się zgryźliwie, strzepując popiół z papierosa. – No i przynoszę pieniądze do związkowej kasy, a to rozumiesz...

– Leszyna – przypomniał komisarz. – To ty go nam wystawiłeś.

– A niby co miałem zrobić?! – zachnął się działacz. – Miałem pozwolić twoim mundurowym, żeby zabrali na dołek jakiegoś biednego chłopka?

– Uczciwy z ciebie człowiek – burknął Maciejewski.

– A co? – Miazgarski wyskoczył głową do przodu. Ten gest Zyga też znał z dawnych czasów.

– Nic, Włodek, tylko cholernie nie lubię sadzać na dołek dawnych znajomych. Mam potem złe sny. – Komisarz zaciągnął się i zadusił niedopałek jak pluskwę. – Więc jak powiedziałeś mundurowym, widziałeś kłótnię Leszyny z tym Zimowskim?

– Tak ci przekazali? – Dawny kolega pokręcił głową. – Coś tam zaszło między nimi, tyle że wczoraj. Zimowski wszedł do knajpy, rozejrzał się, ale Dubowa nie było, to bez słowa na zaplecze jak do siebie. Leszyna, jasna rzecz, za nim. Coś sobie

nawymyślali, słyszałem, że któryś stłukł butelkę, i szczeniak poszedł jak niepyszny. Dziś byłem przecież w cyrku, więc skąd mam wiedzieć, czy gówniarz znowu wlał nieproszony i dokończyli, co zaczęli, czy tylko potknął się po ciemku? Ty jesteś śledczy, a ja... Czy miałbym w tym interes, żeby niszczyć człowieka? Sam pamiętasz, jak żeśmy go obaj podziwiali.

– Inny na twoim miejscu nabrałby wody w usta – mruknął niechętnie Zyga.

– I miałby na sumieniu naraz dobry uczynek i paragraf za fałszywe zeznania. – Miazgarski zgasił papierosa. – Dziwię się, Zyga, że właśnie ty, policjant, mówisz mi coś takiego. Nie chodzi nawet o zasady, ja po prostu reprezentuję związek. To się na dłuższą metę nie opłaca. Leszyna sam się przecież pogryził, skoro nie chciał z tobą mówić. Oczywiście, jeżeli możemy mu obaj jakoś pomóc...

– Pomóc?! Właśnie sam postawiłeś kropkę nad i. – Komisarz cmoknął z irytacją. – Inny świadek widział, jak Zimowski i Leszyna bili się w składziku tej mordowni.

Naraz skrzypnęły cicho otwierane drzwi gabinetu i stanął w nich posterunkowy w czapce i z paskiem pod brodą. Zasalutował.

– Panie inspektorze, zgodnie z rozkazem przyprowadziliśmy tego szofera. Wziął go na przesłuchanie starszy posterunkowy Horejuk.

Maciejewski gestem przeprosił kolegę i wyszedł z mundurowym na korytarz. Zamknął drzwi.

– Co wy tu mi przy świadku o poufnych sprawach? Kretyn jesteście?!

– Tak jest! – Policjant ani myślał sprzeciwiać się zwierzchności. Prawdziwy rewizor dałby w mordę i usłyszał: „dziękuję, *wasze blagorodie*”. Zyga z nadludzkim wysiłkiem próbował jednak wierzyć w państwo demokratyczne.

– Co powiedział Gross?

– To samo, co wcześniej. Żyd i krętacz, ale zmiękczy się go zgodnie z rozkazem pana inspektora.

– Żebym ja was nie zmiękczył! – zagroził komisarz. – I kołnierz sobie zapnijcie, bo wyglądacie jak panna

wymiętolona. – Chociaż jeszcze kilka dni wcześniej to nie byłoby w jego stylu, najwyraźniej przesiąkał miazmatami dawnej guberni chełmskiej. – No co tak stoicie, jakbyście się zapowietrzyli?

– Bo przyszedł także pan Dubow, ten knajpiarz z „Targowicy”. Przyniósł paczkę z jedzeniem dla zatrzymanego.

– To niech czeka jak u dentysty! – osadził posterunkowego oficer inspekcyjny. – Najpierw dawać Grossa.

Spojrzał na zegarek. Była dopiero szósta rano. A Zyga Maciejewski od godziny włąził z butami w cudze kompetencje.

\*

Miazgarski dopalił papierosa i jak to dawny kolega zgodził się dokończyć rozmowę przy obiedzie. Szofer nie wniósł nic nowego, mimo że na ogół świadek o świecie wyrwany z najlepszego snu przypomina sobie ważne fakty. Głównie, by już się go więcej nie czepiano. Natomiast wiele mówiąca była mina wywiadowcy Horejuka, gdy wprowadził Dubowa: „To oficer z województwa. Rozsiadł się jak panisko i suchej nitki na tobie nie zostawi, nieboraku”.

W pierwszej chwili Zyga nie poznał dawnego zapaśnika. Przed dwudziestu pięciu laty wydawał się olbrzymem, uosobieniem prymitywnej siły zniecierpliwionej Rosji, teraz był przygarbiony, a sądząc po fałdzie tłuszczu wylewającej się znad paska spodni, mięśnie obrosły mu sadłem. Usiadł ciężko, przytrzymując się prawą dłońią krawędzi biurka. Potem ujął swoją lewą rękę i ostrożnie, jakby dotykał świeżej rany, oparł ją na kolanie.

Maciejewskiego koczyło, żeby klepnąć go serdecznie i tak sprawdzić, czy nie symuluje. Niestety na razie miał do czynienia ze świadkiem, nie zatrzymanym.

– Boli pana? Trzeba lekarza? – zapytał tylko.

– Et! – Dubow machnął zdrową ręką. – Ja mięśnie pourywał sobie. W ringu, stare dzieje. Wiktor niewinien, panie.

Mówił po polsku gorzej niż Zyga po rosyjsku, chociaż używał języka Mickiewicza na co dzień od dwudziestu lat, zaś komisarz od dwudziestu kilku w języku Puszkina nie wyrzekł ani słowa. No, może poza *biadź jego mać*.

– A kto winien?

Stary zapaśnik łapą jak patelnia potarł zupełnie łysą czaszkę i pokręcił głową. Toporna twarz i niskie czoło nie zdradzały ani okrucostwa inteligencji, głęboko osadzone oczy sugerowały co najwyżej nieco małpiego sprytu. Były jednak sentymentalnie błękitne i patrzyły na Maciejewskiego ze szczerością kretyna.

– Bóg wie – stwierdził ze smutkiem Dubow. – Ja nie powiem. Zły człowiek, panie.

## Rozdział 3

### – Jedną ręką wziął kleszcze, drugą młot ogromny

*Lublin, rok 1912*

Do każdej walki rwał się Dubow. Wystarczyło, że konferansjer nabrał tchu, by zapowiedzieć kolejny pojedynek, a Rosjanin jak na komendę wyskakiwał zza kurtyny. Nie tylko pomocnicy aranżera, lecz i gromada dozorców, stróżów oraz sprzątaczy musiała biec, chwycić końce łańcuchów i nadludzką przemocą zaciągać Białą Bestię z powrotem na zaplecze cyrku. Maciejewskiemu zaczęło się wydawać dziwne, że całe zamieszanie niezmiennie ma identyczny przebieg. Jednakże nim ubrał swoje niepewne podejrzenia w zborną myśl, cyrkiem wstrząsnęło nowe wydarzenie.

Wyrwawszy się po raz kolejny, Dubow stanął na środku areny i ryknął. Gdyby znajdowali się w murowanym budynku, a nie w płóciennym namiocie, na publiczność niechybnie posypałby się tynk, a może i popękałoby sklepienie. Zygmund Maciejewski czytał w „Ziemi Lubelskiej” o podobnym zdarzeniu, tyle że miało ono miejsce gdzieś za granicą, katastrofę zaś spowodował nie ryk atlety, lecz przenikliwy głos śpiewaczki operowej.

Do opery jednak żaden chłopak w życiu by nie poszedł nieprzymuszony i ku zadowoleniu Maciejewskiego takiej w Lublinie nie pobudowali. W zupełności wystarczały mu lekcje muzyki, na które zapisała go ciotka i z powodu których stał się obiektem kpin kolegów. Na krótko zresztą. Pomogło zrobienie syfonów dwóm największym dowcipnisiom z klasy, tak że przez tydzień chodzili z sinymi nosami. Dzięki temu wyczynowi nagłą sympatią zapalał do Zygmunta drugoroczny Miazgarski. „No, w klasie spokój ma być, smarkacze!”, zarządził. „A jak któryś kurdupel będzie się dalej śmiał



z mojego przyjaciela Maciejewskiego, to mu taką lepę dam na goły kark, że garbusem zostanie, słowo honoru!”. Przy tych słowach wymownie zademonstrował dłoń prawie jak u dorosłego. „Nie jego wina, że ma ciotkę wariatkę”.

O tym, że na lekcjach u Marfy Denisowny poznał Marysię Pietruszyńską, nie powiedział nikomu, nawet Włodkowi, gdy już naprawdę przysięgli sobie przyjaźń. Ciotka twierdziła, że takie chude, kościste podlotki wyrastają z czasem na kobiety zgrabne niczym aktorki i Zygmus sam pożałuje swoich szczeniackich grubiaństw, kiedy za kilka lat będzie się do niej zalecał. On na razie był jednak wystarczająco usatysfakcjonowany, że mógł ją ukradkiem ciągać za warkocze, a jak już na pewno nikt nie widział, także popchnąć na schodach. Jeżeli ciekawiły go jakieś kobiety, to prędzej Marfa Denisowna, której wypływało zza dekoltu, gdy pochylała się nad pianinem. Choć w gruncie rzeczy od bab wolał atletów.

Zwierzęcy ryk Dubowa wybrzmiał po raz drugi i publika zamarła. Ciche jęknięcie wydała tylko dziewczucha stojąca obok. Zygmus wziąłby to za oznakę babskiego lęku, ale doświadczony kolega pokazał mu ukradkiem łapę ordynusa nurkującą pod spódnicą tak sprytnie, że z boków i z tyłu prawie nic nie było widać. Maciejewski nie rozumiał, doprawdy, co kogo mogły obchodzić podobne głupoty... Zwłaszcza w takiej chwili!

– Szanowna publiczność nie ma powodów do niepokoju! – wykrzyknął konferansjer. – Biała Bestia jest mocno spętana łańcuchami z angielskiej stali, o ogniwach grubości palca! Łańcuchy zapięto na patentowe niemieckie kłódki grube na pół cala, zaś klucz... Zaś klucz? – Mistrz ceremonii pomacał kieszeń, potem drugą i trzecią z teatralnie rosnącym niepokojem. – Zaś klucz mam tu! – Wyjął go triumfalnie z kieszonki fraka.

Zygmus był przekonany, że w jednej chwili dziki Dubow rzuci się na niego i łamiąc kości, krusząc palce, dobędzie klucz z jego ręki i uwolni ramiona, by siać panikę i zniszczenie. Sam by tak zrobił, będąc Bestią. Lecz tamtemu, co to przypominał raczej goryla niż człowieka, najwyraźniej nie przyszło do kacapięj głowy równie proste rozwiązanie. Zamiast tego znowu ryknął,

napiął potężne mięśnie i łańcuchy pękły z wściekłym zgrzytem, zaś porwane ogniwa odskoczyły na boki niczym odłamki kartacza.

– *Leszynu dawat', ja jego chocz u pochrupat'!* – zażądał ruski atleta, lecz Maciejewski nie był do końca pewien, czy jego drapieżny grymas bierze się z okrucieństwa, czy z tłumionego bólu.

– Niech wyjdzie Leszyna! – odezwały się pojedyncze głosy. Głosy widzów tak różnie ubranych, o tak różnych rysach, że mało komu z publiczności, a już na pewno nie Zygmuśowi Maciejewskiemu, narzucił się oczywisty wniosek: wszyscy zostali opłaceni, by podgrzewać widowisko. – Leszyna położy go na łopatki!

Dubow nie słuchał, tylko gnał konferansjera wokół areny, pragnąc nasycić krwiożerczy instynkt, skoro już wyzwolił się z pęt. Jego lewe ramię zwisało jednak, zamiast poruszać się w rytm gonitwy. Gdy na arenę przytomnie wybiegli pomocnicy z zapalonymi pochodniami, Biała Bestia cofnęła się z warkotem, jak każde dzikie zwierzę drżąc przed ogniem. Zygmuś wiedział o tym z *W pustyni i w puszczy* ukochanego Sienkiewicza, którą to książkę dostał niedawno na imieniny.

– Szanowna i droga lubelska publiczności, oto na twoje żądanie, pojedynceek tytanóóów! – ocierając pot, oznajmił konferansjer.

– Le-szy-na, Le-szy-na, Le-szy-na!!!

Obaj chłopcy włączyli się do okrzyków, nawet Miazgarski już nie patrzył, co wyczynia z dziewczuchą obok jej amant. Zaś przyzwany zawodnik wyskoczył na arenę w biało-czerwonym trykocie i zwarła się Azja z Europą, zwarła się satrapia z wolnością, zwarli się tytanowie.

\*

*Chełm, niedziela 15 maja 1938 roku*

Pan inspektor daruje, że ja tu tak przy ciężkiej robocie zastany, i to w świętą niedzielę... – przeprosił miękko Dubow. – Nu mnie ciężko wyswobodzić się.

Czy bardziej miał na myśli trud knajpiarza, któremu próżno myśleć o wyjeździe na lotnisko, czy własną ułomność, Zyga nie zapytał. Patrzył, jak dawny atleta lewą ręką podstawia nad kamień przemyślnie przywiązane paskami do ramienia obcegi, a prawą wali młotem w trzymany w szczypcach zawias. Gdy wyprostował go, najpierw musiał odplątać rzemienie krępujące chorą kończynę, dopiero potem mógł przyjrzeć się dziełu.

– Wyłamali go ludzie, bo z samego rana zobaczyć tłoczyli się... jak to wyłożyć na polski?... *uwidit' miestu priestuplenia*, ot, durne! – Machnął ręką.

Zawias zginał się i rozginał jak należy.

– Złoży pan zawiadomienie? – Maciejewski podniósł wzrok znad talerza z parującą jajecnicą.

Wbrew oporom gospodarza zapłacił za nią z góry, zresztą niewielkie pieniądze. Śniadanie w knajpie Dubowa w najbardziej obfitym wariancie kosztowało złotówkę, ale Zyga nie życzył sobie z samego rana psuć owocami oraz warzywami smaku wędliny, masła, pieczywa i jajek. Wystarczy, że porcję witamin dorzucą mu pewnie na talerz do obiadu.

– Boże broń, to tutejsi przecież, dobrzy ludzie! – zaoponował Dubow. – A ja raz dwa naprawił. A pan najedzony będzie? – Przesunął nogą swój prowizoryczny warsztat za kontuar i oparł się o ladę. – *Wot rozkażecie*, raz dwa szynki dokroi się albo jajec ja wrzucę na patelnię, wedle życzenia.

Zyga pokręcił głową. Obchodziło go głównie *miesto priestuplenia*, jak je nazwał Dubow. Biedny człowiek! Jemu akurat Zyga ani myślał zdradzić, że już go kiedyś widział, jako atletę na skraju upadku. Wtedy nie rozumiał, że Rosjanin robił dobrą minę do złej gry i zgryzając w zębach ból, starał się zarobić ostatnie pieniądze w swojej zapaśniczej karierze. Jego ramię jak najszybciej należało leczyć, nie nadwierać.

Zanim Maciejewski przyszedł tu na śniadanie, dzięki informacjom przygotowanym przez Horejuka poznał już nową twarz Dubowa. Uciekinier z sowieckiej Rosji w szeregach polskiego wojska. Virtuti i Krzyż Walecznych za wojnę z bolszewikami. Mimo że komisje lekarskie patrzyły głównie na to, czy ochotnik ma dwie ręce i dwie nogi, a niekoniecznie, czy

sprawne, i tak dostał przydział tylko do służby pomocniczej. Zostawił jednak kuchnię polową, przytomnie zagaszając pod nią ogień, i wziął karabin od rannego. Zyskał odnowioną kontuzję ramienia i koncesję na alkohol dla bohaterskiego inwalidy wojennego. Potem społecznikowska działalność Dubowa... Kiedy osiadł w Chełmie, miesiąc w miesiąc wpłacał pięć procent dochodu na sobór Świętego Jana Teologa, jedyną cerkiew w Chełmie, jakiej nie odebrano prawosławnym po odzyskaniu niepodległości. Ponadto dwa procent na chór chłopięcy przy cerkwi, na którego próbach Dubow był obecny co najmniej raz w miesiącu i z Krzyżem Walecznych na odświętnym garniturze płakał rzewnymi łzami, kiedy sopran śpiewały po starocerkiewnemu *Marije, Dziewo Czystaja*. To pozostało jeszcze z raportów dawnej Policji Politycznej, zanim zlikwidował ją Piłsudski. I czyniło z dawnego atlety co najmniej *jurodiwego*, tylko niechlujnej brody mu brakło.

– Pan dobrze zna Leszynę? – Maciejewski wsunął do ust smakowity glut jajecznicy i dosunął chrupiącymi, półprzezroczystymi skwarkami.

– Jak nie znać, panie inspektor? – Knajpiarz podniósł ręce ku niebu. – To przecież mój przyjaciel serdeczny, nu jak brat rodzony! Ileśmy się na macie grzmocili... Były czasy, że jemu się wiodło, to nie dał zginać. Teraz przyszły, że ja z bożą pomocą nieco grosza zarobił, to jak nie pomóc?

– Recydywista – zauważył Zyga. – Miał wyrok za pobicie.

– Jaki tam wyrok! On niewinny, przysięgam Bogu! A jak ja mogłem nie pomóc przyjacielowi, kiedy mu się gorzej ode mnie wiodło?

– I zatrudnił go pan jako wykidajkę, żeby znowu mógł pobić i zarobić recydywę?

– Pan niesprawiedliwie to mówi, panie inspektor. Ja go brał, bo przyjaciel, żeby on na życie zarobił i żeby od dna odbił się. Aaa, Włodek! – zawołał, widząc Miazgarskiego, który z czerwonymi oczami spelzł na śniadanie. – Siadaj, *kuszaj!* Dzień cięzki, trzeba mieć siłę.

Bez słowa dawny kolega uściśnął rękę Zygi, ale zaraz dostrzegł naprawiony zawias leżący na stole o metr od pożywającego się

komisarza.

– Potem zjem, teraz pomogę ci to przybić.

Kiedy otworzyli połowę drzwi, na ulicy cofnęło się kilku kibiców zbrodni, niewprawnie udających zwykłych przechodniów. Dwie baby wystrojone na odpust, kilku pobożnych Żydów wystających co dzień na giełdzie i paru zaaferowanych sensacją uczniów. Kulturalnie nie dostrzegając ich obecności, Dubow przytrzymał naderwane skrzydło drzwi, a Miazgarski wziął się do młota i gwoździ.

Maciejewski grubo posmarował sobie masłem czwartą kromkę chleba i łyknął herbaty świeżo nalanej z samowara. Smak miała, niestety, ten sam co każda, ale Dubow tak ją zaparzył, że po jednym łyku Zyga poczuł się prawie wyspany i gotów do szpiclowania co najmniej przez kwadrans.

\*

Profesor Kazimierz Jaworski zgłosił się sam, jeszcze nim Maciejewski wrócił na komendę. I pewnie komisarz dowiedziałby się o tym dopiero z protokołu przesłuchania, gdyby miejscowy polonista sam nie należał na rozmowę z oficerem inspekcyjnym. Patrzył już jednak niespokojnie na zegarek, bo za kwadrans razem z innymi czcigodnymi parafianami na barki swoje miał wziąć figurę Matki Bożej Łaskawej w odpustowej procesji.

– Chciałem rozmawiać właśnie z panem, panie komisarzu, bo poniekąd znam pana. – Blondyn w rogowych okularach poprawił grzywkę opadającą mu na prawą skroń. – Ze słyszenia, z opowieści Jurka Trąbicza.

Zyga spojrzął na belfra badawczo. Trąbic, z którym komisarz zawarł bliższą znajomość podczas przesłuchania prawie osiem lat wcześniej, do pobożnych nie należał, żaden proboszcz zresztą nie pozwoliłby mu nieść świętego obrazu, a i nauka moralna Kościoła nie pochwałała jego intymnych upodobań. Tyle że od kilku lat nie był nauczycielem, lecz dziennikarzem, i nie musiał świecić przykładem przed młodzieżą jak Jaworski. Maciejewski mógł wtedy wycisnąć redaktora jak cytrynę do galarety, powstrzymał się jednak i nigdy tego nie pożałował, bo

Trąbicz jako człowiek inteligentny potrafił uprzejmość odwzajemnić. Tak zaczęła się tajniacka ni to przyjaźń, ni to współpraca. Co tamten jednak naopowiadał koledze?

Maciejewski wpuścił nauczyciela do gabinetu i wskazał krzesło.

– Nie mam czasu, na stojąco, jeśli pan pozwoli – usłyszał.

– Na siedząco, za pańskim pozwoleniem. – Zajął miejsce za biurkiem i otworzył notes. – Trąbicz nie robiłby ceregieli i usiadł.

– Chodzi o Waclawa Zimowskiego, był moim wychowankiem.

– W liceum pedagogicznym?

– Nie, w ogólniaku, w Czarnieckim.

Komisarz kiwnął głową. Pamiętał z pierwszego, penetracyjnego spaceru po Chełmie solidny carski gmach u stóp Górki Katedralnej.

– Bardzo pana proszę, aby policja jak najpoważniej potraktowała tę sprawę. On powinien żyć, uczyć się, pisać. Wiele by dokonał, gdyby nie te jego sportowe znajomości – ocenił z niesmakiem belfer.

– Co pan profesor ma na myśli?

– To, że Waclaw pisał wiersze i trenował zapasy. Jednak nie wbił sobie stalówki w skroń, więc nie poezja mu zaszkodziła, tylko inny zapaśnik skręcił mu kark.

– Inny zapaśnik?

– Oczywiście Leszyna, wykidajło z „Targowicy”. Przecież został aresztowany przez panów.

Komisarz nie do końca zgadzał się z wywodem nauczyciela, ale być może to akurat zostało mu jeszcze z czasów szkolnych. Jaworski, jak na humanistę wyjątkowo konkretny, zaciekał go jednak, szczególnie tymi wierszami. Maciejewski nie czytywał poezji od dawna, lecz wyrobił sobie na nią zdrowy pogląd: taki Tuwim wysmaży coś zgrabnego nawet o nigdy niewidzianej Francuskiej Afryce Zachodniej, a byle gówniarz potrafi pisać wyłącznie o sobie.

– Znali się z Leszyną? – zapytał Maciejewski.

– Waclaw, chociaż to uczniom było zabronione, przesiadywał w „Targowicy”. Zapisywał wspomnienia Dubowa i Leszyny.

Rozwijał je w dość tandetne opowiadania, w stylu londonowskim. Nie chciałem ich wydrukować.

– W pisemku szkolnym?

– Nie, w „Kamienie”. Pan komisarz mógł nie słyszeć, ale...

– Przeciwnie, zdarzyło mi się czytać – przerwał Zyga. Istotnie, pismo kilka razy łądowało na jego biurku wraz z raportami wywiadowców politycznych, utrzymujących, że chełmski miesięcznik literacki, publikujący także przekłady poetów sowieckich, jest przykrywką komunistycznej komórki. Maciejewski odsyłał to z poleceniem zebrania precyzyjnych dowodów, bo przynajmniej jego zdaniem policja powinna łąpać przestępców kryminalnych, a nie wypatrywać widma komunizmu. – Rozumiem, że ma pan te brudnopisy?

– Niestety, przynajmniej większość zwróciłem autorowi. Poszukam jeszcze, natomiast niepokoił mnie u niego ten... myślałem: nudny... teraz powiedziałbym, że maniackalny motyw siłaczy zakładających sobie nelsona. – Profesor ponownie zerknął na zegarek i wstał. – Czy zajmie się pan tym?

– Nelsonem?

Sądząc po minie Jaworskiego, Zyga jak zwykle okazał się grubianinem, lecz zaaferowany własnymi myślami Maciejewski nie dbał o to. Gdyby nie brak snu, pewnie sam połączyłby zabójstwo Zimowskiego z niezidentyfikowanymi trupami, które za życia raczej nie pisały wierszy ani nawet opowiadań w stylu londonowskim. Wszystkim tym facetom ktoś skrzył kark, a o to przecież chodzi w praktycznym zastosowaniu nelsona i większości rozstrzygających chwytów zapaśniczych.

– Tak, zajmę się. – Wstał zza biurka i wyciągnął rękę. – Pan profesor bardzo mi pomógł. Być może poproszę jeszcze pana o rozmowę.

Ledwie został sam, rzucił dyżurnemu do słuchawki, żeby pilnie łączyć z Lublinem.

Leszyna? Obracając w palcach wieczne pióro i stukając nim w otwarty notes, Maciejewski wciąż nie mógł uwierzyć w winę dawnego idola. *Sposób: nelson*, zapisał z trzema wykrzyknikami, ale przy motywie miał tylko samotny znak zapytania. Włożył sobie do ust papierosa i szukał nowych

skojarzeń, jednocześnie grzebiąc w pudełku zapalek.

Telefon zadzwonił już po chwili, pewnie jeszcze nim Jaworski zdążył klęknąć przed ołtarzem i ucałować dłoń proboszcza.

– Jest Lublin na linii, panie inspektorze – zameldował dyżurny.

– Łączyć, podaję numer... – Zyga, który akurat odnalazł schowaną między czarnymi łebkami niespaloną zapalną, położył ją obok pudełka i wyjął papierosa z ust. – Dzień dobry, mówi Maciejewski – rzucił, lecz zmienił ton, słysząc po drugiej stronie linii dystygowany kobiecy głos. – Pani komendantowa zechce wybaczyć, że niepokoję w niedzielę, niestety muszę pilnie mówić służbowo z panem inspektorem Brożyńskim.

Przełożył słuchawkę do lewej ręki i zapalił. Zastępca komendanta wojewódzkiego podinspektor Brożyński był jedynym jasnym punktem nowego stanowiska, bo po raz pierwszy Zyga i jego bezpośredni przełożony porozumieli się w lot. Po kimś, komu dali na chrzcie imiona Gwidon i Hipolit, spodziewać by się można długiej, dziewiętnastowiecznej brody i utyskiwania na te dzisiejsze czasy. Podinspektor był jednak mężczyzną zaledwie pięćdziesięcioletnim, tyle że z zapadłej prowincji, aż spod Tarnopola. Na Maciejewskiego od razu zwrócił uwagę, ponieważ i on studiował prawo, zanim niemal gwałtem zaangażowano go do powstającej dopiero policji od razu jako nadkomisarza. Niemniej było to w innych, bardziej dramatycznych czasach i gdy w 1926, dwanaście lat później, Zyga, też z pominięciem wielu procedur, został awansowany już na dzień dobry, to tylko do stopnia aspiranta.

– To pan, komisarzu? – W słuchawce odezwał się nieco tylko rozdrażniony głos Brożyńskiego. – Mówił pan przecież, że szybko uwinie się z raportem i wraca. Zabalował pan? Jeśli tak, to sprytnie, bo nie donieśli.

– Nic dziwnego, wszyscy tytułują mnie tu po funkcji inspektorem, a niektórzy za plecami mówią: rewizor. Przepraszam, że przeszkadzam w niedzielnym śniadaniu, ale Chełm ma kilka niewyjaśnionych zgonów, a dzisiaj doszło do kolejnego zabójstwa. Chciałbym się temu przyjrzeć, panie inspektorze. Nie mam przecież w najbliższym tygodniu



zaplanowanych inspekcji, a w ostateczności zostało mi co najmniej dwa tygodnie zaległego urlopu – przypomniał Zyga.

– I kosztem wypoczynku będzie się pan babrał w cudzej sprawie? Pana łączy z Hejwowskim jakieś szczególne koleżeństwo czy przeciwnie, chce go pan jeszcze poirytować?

To było celne pytanie i komisarz poczuł się tak, jakby to jego przesłuchiowano, niczym poczciwego Józefa K. w jego ulubionej powieści Franza Kafki. Tak, oczywiście, że kiedyś marzył o udowodnieniu byłemu przełożonemu, kto jest górą. Teraz przede wszystkim chciał sobie udowodnić, że nie ugrzązł w papierach i nadal potrafi robić śledztwa. Zaś upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu...

– Melduję posłusznie, panie inspektorze, że poirytować – po wojskowemu wyskandował do słuchawki. – Dopraszam się łaski, *wasze błogrodie*.

– No, jak tak, to tak. – Rozbawiony carskim drylem Brożyński wybuchnął krótkim śmiechem. – Trzy dni.

– Dziękuję. Odmeldowuję się.

– Bardzo słusznie, bo jeszcze chwila, a się rozmyślę. Cześć! – Zastępca komendanta pierwszy odłożył słuchawkę.

Maciejewski natomiast z czystym sumieniem odłożył raport pokontrolny i kazał dyżurnemu przywołać Horejuka. Tajniak miał przekrzywiony krawat, najwyraźniej zdążył go zdjąć, a potem pospiesznie supłał wezwany przez rewizora.

– Dlaczego nie ma jeszcze dokładnych oględzin ciała?! – warknął Zyga.

– Bo doktor Schulz na odpuszcie. Obiecał obejrzeć denata jutro z samego rana.

– Doktor Schulz to ten sam, który robił tych niezidentyfikowanych?

Posterunkowy kiwnął głową.

– Macie tu innego dobrego lekarza, który nie uprze się jak dewotka, żeby dzień święty święcić?

– Doktor Fuhrman, ale komisarz Hejwowski nie będzie zadowolony.

Lepszej rekomendacji doprawdy dać nie mógł. Zyga z zadowoleniem upchnął swoje papiery do szuflady biurka

i zamknął ją na klucz.

– Powiecie komisarzowi, że na moje polecenie. Niech doktor Fuhrman się tym zajmie, a ja odwiedzę go po obiedzie. No co tak na mnie patrzycie? – rzucił, udając, że nie pojmuje kompetencyjnych rozterek wywiadowcy. – Lubię chodzić do prosektorium z pełnym żołądkiem, przynajmniej jest czym rzygać.

\*

Gdyby to zależało od Maciejewskiego, „Targowica” byłaby zamknięta i zamiast gości uwijałoby się tam wezwani z Lublina technicy policyjni. Hejwowski jednak zadowolił się opisem pomieszczenia, w którym przypuszczalnie doszło do zabójstwa, a ponieważ nie znaleziono śladów krwi ani nieładu, o więcej nie wnioskował. Chociaż fakt, tak drobiazgowo opisy miejsca zdarzenia jak dawny przełożony Zygi mało kto potrafił produkować.

Nie minęła doba od zabójstwa maturzysty, a knajpa kwitła. Komisarz domyślał się, że i bez dodatkowej atrakcji w odpust gości nie brakowało, ale dzięki temu dzisiaj nie był w niej *overdressed*, bo oprócz przyjezdnych chłopów w zalatujących naftaliną ubraniach i miejscowych filistrów w tanich garniturach dwa stoliki zajęły zaaferowane panie z błyszczącymi torebkami, w rękawiczkach i kapeluszach. Ponieważ nie podawano tu kawy i ciasta, piły herbatę ze szklanek i likier, zgodnie z prowincjonalnym szykiem wysoko odchylając mały palec przy podnoszeniu kieliszka do ust. Przeważnie jednak rozglądały się, jakby przyszły nie do gospody, ale do ogrodu zoologicznego.

Maciejewski z Miazgarskim siedzieli przy stole w kącie sali, oddzielonym od pozostałych załomem szynkwasu i ścieżką między kuchnią a wysokim krzesłem, z którego Dubow obserwował salę i natychmiast podrywał się, jeżeli był potrzebny.

– Myślałem, że pogadamy o dawnych czasach, ale skoro wierzysz mi dziurę w brzuchu o tego dzieciaka... – Łysina Miazgarskiego błyszczała od potu, jego usta od okrasy, której

w „Targowicy” nie żałowano gościom, tym bardziej znajomym. – Rwał się do sportu, tyle że miał więcej zapasu niż cierpliwości. Sam boksowałeś, to wiesz, że zapas dobra rzecz, ale *summa summarum* liczą się litry twojego potu, które wsiąkną w matę na treningach. Sama walka to przy tym małe piwo – powiedział, z rozkoszą wypijając ćwierć dużego. – Niby nie wypada tak o zabitym, ale pętał się tutaj jak smród po gaciach. Skoro wystarczyło mi tu pobyć trzy dni, żeby go poznać, to sam rozumiesz... Ja nawet rozumiałem chłopaka! Skoro nie ma w tej dziurze sekcji zapaśniczej, to gdzie miał się uczyć? Wykopać go za drzwi, wracał oknem, a Dubowowi to już formalnie nie dawał spokoju. On był jego bożyszczem.

– Nie Leszyna? – zdziwił się Zyga. – Dla nas był lepszy.

– Nie, nie Leszyna. – Miazgarski odkroił istic atletyczny kawałek kaszanki i pożarł wraz z chrupiącą skórą. – Myśmy byli patriotami, a dzisiejsza młodzież... – Znów napił się piwa, pozostawiając na kuflu tłusty ślad ust, ale obok poprzedniego, jakby brzydził się pić po sobie samym. – Poza tym, rozumiesz, Zyga, Zimowski pisał wiersze.

– Słyszałem. – Komisarz dojadł swoją porcję i otarł usta serwetą. Dopiero teraz sięgnął po piwo. – Ale co ma jedno do drugiego? Poza tym że pierwsze słyszę o amatorze zapasów z takimi zainteresowaniami.

– No to mało słuchasz. Świętej pamięci mistrz Sztekker gustował w literatkach i sam napisał książkę, wielki Cyganiewicz kupuje rzeźby i dla przyjemności uczy się języków, a naszego niedocenianego Dubowa dosłownie rozkrochmalają śpiewy chóralne. I dałybyś mi zjeść, bo stygnie! – Znów wypił piwa, znów przytykając usta w innym miejscu.

Maciejewski powiódł spojrzeniem po sali. Panie goszczące tutaj chyba po raz pierwszy obserwowały Zygę niczym jedną z najciekawszych małp w klatce. Zapewne smutno im było, że nie miał wydatnych warg i nagich, krwistoczerwonych pośladków.

– Czyli że z tą niesprawną ręką i prywatnie zupełnie ślamazarnym charakterem Dubow wyglądał gówniarzowi na postać tragiczną? – zapytał kolegę.

– Nie dopytywałem się, ale na to wygląda. A wiesz, co poza krwawą kiszka ściąga ludzi do tego lokalu? Zaraz ci pokażę – zapowiedział cicho Miazgarski. – Dubow! Dubow, płacić! – zawołał na knajpiarza. – Mój obiad dolicz, kochany, do rachunku, a co do pana inspektora, to daj mu się spróbować.

– Nie, no gdzież tam! Toż pan inspektor osoba urzędowa. – Atleta podszedł wyraźnie zakłopotany, jednak przysiadł się do stolika.

– Teraz urzędowa, ale kiedyś był bokserem. Mistrzem okręgu.

– O! – Dubow uśmiechnął się. – Waga ciężka?

Maciejewski pokręcił głową. Dlaczego gdy schodziło na dawne dokonania bokserskie, wszyscy patrzyli na jego brzuch i zadawali to samo pytanie?

– W dwudziestym czwartym była jeszcze półciężka – wyjaśnił.

– Ot, ja nie chciał powiedzieć nic przykrego. A pan inspektor *praworukij* czy ten... no... – Knajpiarz podrapał się po głowie.

Obok poligloty Cyganiewicza najwyraźniej nigdy nawet nie stał. Gdyby jednak, wyglądałby przy polskim mistrzu jak nowozelandzki olbrzym Ike Robin ze sławnego zdjęcia przedrukowanego też przez „Przegląd Sportowy”. Dawid i Goliat, a finał na macie taki sam jak w Biblii.

– Jak będzie po polsku?... Mańkut?

– Dobrze, Dubow! – Miazgarski klepnął byłego zapaśnika w plecy, które mogłyby zasłonić szafę gdańską. – I nic się nie martw, praworęczny jak Pan Bóg przykazał. Ściągaj marynarkę, Zyga!

Widząc, jak Rosjanin stawia prawy łokieć na blacie, komisarz zrozumiał zasady gry. Kto pokona właściciela na rękę, nie płaci. Zapewne niejeden wiejski osiłek, który wlał w siebie trochę wcześniej dla nierozwagi, połakomił się na takie zawody. Komisarz jako wytrawny sportsmen nie widział szans, lecz stchórzyć przy Miazgarskim nie zamierzał. Chwilę jednak trwało, zanim się rozebrał, bo musiał sięgnąć za plecy, żeby odpiąć szelki do kabury rewolweru. Broń razem z okryciem położył na wolnym krześle. Ekscytacji pań na widowni wołał nie oglądać, choć podnieconych szeptów nie dało się nie słyszeć. Chwycił w garść dłoń Dubowa i... jakby napierał na

granit!

– Ot, widzę, silny pan kiedyś musiał być człowiek – pochwalił pogodnie knajpiarz, lecz Zyga nie uznał tego za komplement. Natęzał mięśnie, złączone dłonie drgały lekko jak igła kompasu w gazetowych reportażach o „Darze Pomorza”.

– A Zimowski? – Zyga stęknął. – Jaki był?

– Ot, był jeszcze *junosza*, ale starał się, *mołodiec*. Ja go lubił.

Ramię knajpiarza rozluźniło się, jakby wysiłek umysłowy wypompował mu siłę z mięśni. Maciejewski przycisnął, lecz zyskał może dziesięć stopni wychylenia. Potem ręka Dubowa zatrzymała się jak zaklinowana. Komisarz poczuł kroplę potu laskoczącą go w skroń.

– W tym wieku sporo siły marnuje się jeszcze na samogwałty, co nie, Zyga? – zarechotał Miazgarski.

Dłoń gliny plasnęła wierzchem o blat. Wściekle spojrzenie posłał jednak dawnemu koledze, nie przeciwnikowi.

– Pan musiał być dobry zawodnik – pochwalił Dubow, jakby nigdy nic sprząając ze stołu.

– Nie taki jak pan. – Maciejewski włożył marynarkę, ale kabury z szelkami dyskretnie założyć się nie dało. Upchnął ją do wewnętrznej kieszeni i wyglądał teraz, jakby cierpiał na lewostronną ginekomastię. – Ile się należy?

– Zyga, no ty chyba chcesz mnie obrazić! – Miazgarski przemocą zamknął portfel komisarza. – Do mojego rachunku, kochany.

– Jak sobie życzysz. – Knajpiarz kiwnął głową i ukłoniwszy się komisarzowi, znowu zasiadł na swoim tronie na rogu szynkwasy. Dopiero teraz Zyga zwrócił uwagę, że nie było to zwykłe krzesło barowe, takie długo nie utrzymałoby olbrzyma. Mimo że na pierwszy rzut oka siedzisko nie różniło się niczym od tych, które widywał w innych knajpach, nogi miało o dobry cal grubsze.

\*

Lucek Feluk pił, bo miał co przepić. Za co ułożyć sobie życie, niekoniecznie.

Wpierw myślał, że wyrzucili go z budowy, furda!, weźmie go

do roboty jakiś burzuj, bo przecież wokół Nowego Miasta zaczęli się budować także bogaci ludzie znęcani rychłym przeniesieniem dyrekcji kolei do tego zapyziałego żydowskiego miasteczka. Okazało się, niestety, że wielu przed Felukiem wpadło na podobny pomysł, w dodatku byli ze wsi, tańsi, w ukłonach i lepiej patrzyło im z oczu. Lucek zataczał coraz szersze kręgi ulicami rozrastającego się miasta. Mimo chłodu noc przespał pod paltem w parku z widokiem na strzelające ponad Chełm wieże kościoła Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, a pierwszego dnia bezrobocia zjadł śniadanie i wychylił setkę wódki jeszcze jak człowiek: w knajpce przy Lubelskiej. Niestety potem każdy kaprys uszczuplał jego kieszeń znacznie prędzej, niż wcześniej dostawał kolejne dniówki. Feluk uznał, że znajdzie sposób na przeczekanie, dlatego ślimaczym, oddalającym się ruchem okrążył Górkę Katedralną, zaglądając do żydowskich nor przy Lubelskiej i Lwowskiej, później na Hrubieszowskiej, a gdy i tam zrobiło się dla niego za drogo, okrążywszy śródmieście, dotarł aż za tory na Pilichonki, gdzie w parterowych ruderach siódmy pułk piechoty Legionów używał kurew za pół złotego, zaś nieszczęsny bezrobotny za tę samą kwotę mógł zjeść kolację. Żarł łapczywie, a stara Żydówka za kontuarem patrzyła na niego jak policjant, by nie buchnął sztućców.

Tym bardziej omal nie zadławił się pulpetem, gdy w tym właśnie lokalu jakiś facet w garniturze, z wyglądu prowincjonalny urzędnik, postawił na blacie dwie lufy i przysiadł się bezpardonowo.

– Sieniawa jestem. Pamiętasz mnie pan? – zagadnął.

Zredukowany robociarz nie pamiętał, chociaż coś mu mówiło, że w tej sytuacji stanowczo powinien. Serdecznie uścisnął rękę facetowi, skinieniem głowy dziękując za wódkę.

– Byłeś pan sportowcem, panie Feluk. Co pan robisz tutaj?

Zmięte spojrzenie bezrobotnego i pełen miłości bliźniego wzrok Sieniawy styknęły się nad stolikiem. Brzękło szkło. Wypili.

– Co robię? Rybki sobie łowię – zaśmiał się chojracko Lucek, sam jednak czuł, jak śmierdzi mu z pyska i jak przy każdym

ruchu wonieje potem jego przenoszone ubranie. – A myśmy...?

– Myśmy się spotkali na turnieju zapaśniczym w Siedlcach. – Sieniawa wypełnił mu lukę w głowie. – Niezły pan był jak na nieurobionego. RKS „Marymont”? Dobrze pamiętam?

Jakkolwiek Feluk wciąż nie przypominał sobie faceta, istotnie w trykocie w barwach tego robotniczego klubu położył na łopatki kilku przeciwników. Bez wysiłku, miał wzrost i wagę jak mało który zawodowiec. A technikę? Technikę oni też mieli raczej z ulicy niż z treningu.

– A pan szanowny był za trenera? – Luckowi coś zaczynało świtać.

– W Krasnymstawie, na prowincji, ale owszem – powiedział niespodziewany fundator. – A pan bynajmniej nie na wozie, mam rację?

Feluk wzruszył ramionami. Wolał dojeść, póki ciepłe, niż tracić czas na gadanie. Szczególnie że akurat za posiłek sam zapłacił, tylko wódka przy płynęła po cudzej dobroczynności.

– Robił pan na budowie Dyrekcji? – zapytał Sieniawa, równocześnie pokazując Żydówce za kontuarem dwa podniesione palce.

Na stole wylądowały dwie kolejne setki i to był, zdaniem zredukowanego robotnika, jeden z przyjemniejszych widoków w Chełmie, tamtej odszczekującej się dziewuchy nie licząc.

– A gdzie tu indziej fachowy murarz miałby robić, zdaniem pana szanownego?

– Znam inżyniera Herdę i mogę porozmawiać z nim o panu. – Trener z namysłem obrócił w dłoni szkło. – Tylko czy mi się to opłaci?

Nazwisko kierownika budowy zrobiło wrażenie. Gdyby Feluk miał uszy jak zając, postawiłby je w słup. Natomiast pytanie spodobało mu się znacznie mniej.

– Nie mam nic na rewanż – powiedział ostrożnie.

– Okaże się. – Sieniawa machnął ręką. – Pańska decyzja, czy chce pan leżeć i kwiczeć, czy jeszcze się odbić. Za dobrą decyzję! – Stuknął szkłem w kieliszek Lucka, lecz ten nie był pierwszy lepszy frajer, żeby szczerzyć zęby, skoro nie wiedział do czego.

– Jak się odbić?

– Nie wiem, ja nie jestem Herda, ale porozmawiam z nim jutro z rana i coś się załatwi. No, napijmy się! – niemal zażądał trener.

– Ja nie jestem pijak, nie muszę. – Feluk demonstracyjnie odsunął od siebie setkę. – Dziękuję za hojną kieszeń i dobre chęci, ale czego pan ode mnie chce?

– Charakternyś, podoba mi się to! – Sieniawa roześmiał się głośno, aż spojrzeli na niego z sąsiednich stolików.

Że przeszedł na ty, jakby pasali razem gąski, murarzowi również się nie spodobało, mimo to zmilczał.

– Powiedzmy, że przeprosisz się z Herdą i nie będziesz już podskakiwał. To chybabyś potrafił, mam rację? I powiedzmy, że będziesz dalej robił tu na budowie. Ale po robocie... Z Chełma do Krasnegostawu nie masz daleko, a mi trzeba sprytnego chłopaka w twojej wadze. KS „Start” Krasnystaw! No co, teraz ze mną wypijesz?

Klub Sportowy „Start”? Krasnystaw? Gdzie to, do jasnej kurwy, w ogóle jest?! Feluk, który pocił się na macie dla warszawskiego „Marymontu”, zasadniczo powinien chlusnąć mu wódką w twarz. Tyle że zasadniczo był bezrobotnym... Podniósł kieliszek wagi ciężkiej i wychylił za jednym zamachem. Niech sobie przynajmniej ten prowincjonalny sportsmen nie myśli, że trafił na mięczaka!

– Może być, ale to tylko póki co, trenerze – zastrzegł. – Ja kiedyś wrócę na Marymont.

– A wracaj sobie, chłopaku! – Sieniawa serdecznie klepnął go w ramię. – Czy ja się chcę z tobą żenić? Z samego rana porozmawiam z Herdą. – Pochylił się i mrugnął. – A ty czekaj jutro na pocztę na moją wiadomość. Przyślę na *poste restante*. Najadłeś się przynajmniej?

Dwa pulpety pod tłuczone ziemniaki z kwaśną kapustą, owszem, zaspokoily pierwszy głód Feluka, lecz żeby się tym najeść? Był jednak honorowy.

– Może być – powiedział.

– No to dobrze, bo zaraz mam pociąg. – Sieniawa uściśnął mu dłoń. – Płacę za stół – zapowiedział bufetowej, uregulował



i zaraz się zmył, zostawiając Lucka bynajmniej nie szczęśliwego.

Jak by jednak nie patrzeć, zaoszczędził.

– Jeszcze setkę i duże piwo! – zażądał głośno i znów z sąsiednich stolików spojrzeli na niego złym wzrokiem.

Żydówka z początku nie ruszyła się, jakby ogłuchła. Kiedy jednak pokazał pieniądze, w mig zakrzętnęła się przy stole. Pretensji mieć nie mógł. Sam rozumiał, że w swoim zniszczonym robociarskim ubraniu akurat na króla życia nie wyglądał.

## Rozdział 4

### – Wacuś miał słaby system nerwowy

*Chełm, niedziela 15 maja 1938 roku*

Pan inspektor nie weźmie dorożki? – zdziwił się na komendzie dyżurny podoficer Kalina, kiedy Maciejewski zapytał, czy znajdzie się wolny służbowy rower.

– W taką piękną pogodę? – Zyga wzruszył ramionami. Fakt, wczesnym popołudniem słońce wyszło zza chmur pierwszy raz od kilku dni, chociaż o to szło mu w najmniejszym stopniu. Spodziewał się za to, że narajony dryndziarz nie tylko będzie zadawał głupie pytania, ale w dodatku po skończonym kursie zaraz pobiegnie do Hejwowskiego i zda szczegółowy raport, gdzie komisarz był, jak długo i z kim rozmawiał.

Podpisał kwit i pożałował tego już kilkadziesiąt metrów za komendą, przy kościele. Twarde siodełko zaczęło dosłownie kopać go w dupę, a kierownica szarpać i wyrywać się z rąk. W dodatku rozklekotany dzwonek rozdzwonił się prawie jak te w rękach ministrantów, wychodzących na czele procesji zza rogu. Zyga wcisnął hamulec do oporu, ten jednak ledwie szurał o oponę i komisarz musiał zatrzymać rower własnymi podeszwami. Widząc, że tłum za obrazem Matki Boskiej Łaskawej ani myśli rzednąć, wykręcił w prawo. Niepewnie manewrował między chrześcijańskimi żebrakami i żydowskimi straganami z odpustową tandetą, wreszcie na Katowskiej, gdzie droga była jeszcze gorsza, lecz pusta, nacisnął na pedały.

Gdy zostawił za sobą katedrę, spoglądającą z góry na miasto jak surowy ksiądz prefekt na niepokorną klasę, i znalazł się na Hrubieszowskiej, dzwonek szczęśliwie umilkł, za to koła co i rusz poczęły wpadać w koleiny. Z lewej, od strony budowy pokazywali go sobie palcami młodzi robotnicy, paradujący w ciasnawych niedzielnych marynarkach i szukający draki.

Z prawej gapiły się na komisarza stare baby, siedzące w drzwiach drewnianych budynków oraz lichych kamieniczek, i niezależnie, czy były to Żydówki w perukach z dziewiętnastego wieku, czy chrześcijanki w równie wiekowych chustkach chroniących siwiznę przed wiosennym słońcem, złym spojrzeniem zgodnie kibicowały rowerzyście, aby się wreszcie wyrócił.

Zrobił im na złość, bo stracił równowagę dopiero za bramą szpitala miejskiego, kiedy wjechał w niegroźną z pozoru topolową aleję prowadzącą do głównego wejścia. Zdążył podeprzeć się nogą i niezgrabnie zeskoczył. Na tylnym kole miał flaka, a z rozdartej, pokrytej jasnym pyłem opony wychylała się czarna dętka. Zaklął i w pierwszej chwili miał ochotę cisnąć policyjny złom pod parkan, lecz tylko zlorzecząc pod nosem wszystkim inżynierom z bydgoskiego „Tornado”, rozsądnie podprowadził jednoślad ku największemu z parterowych pawilonów i oparł o mur z czerwonej cegły.

Gdy pokazał stróżowi swój niepozorny znaczek służbowy, ten domyślnie skierował Maciejewskiego na tyły posesji, gdzie obok sterzącego komina kotłowni znajdowała się parterowa kostnica obsadzona cherlawymi jałowcami. Prosto od progu schody wiodły ostro w dół jak do piekieł. Tam czekał już na komisarza doktor Fuhrman, przylizany inteligent w rogowych okularach. Z miejsca przeszli do sedna.

– Według mnie dwie rzeczy powinny zwrócić pańską uwagę, panie komisarzu. – Lekarz wskazał pęsetą. – Te zasinienia – dotknął karku denata – i te ślady kredy – przeniósł zaimprovizowaną wskazówkę na dłonie, łokcie, kolana, w końcu na stopy. – Dawno nie robiłem obdukcji, ale to nietypowe.

– Kredy? – Zyga przyjrzał się białawemu nalotowi na skórze zabitego. – Nie rozumiem. Łaził na czworakach w jakimś wyrobisku?

– Albo w piwnicy gdzieś na Starym Mieście. Tam pod każdym domem kiedyś kopano kredę, odkrywkowe wyrobiska to świeża historia – wyjaśnił lekarz. – Nie wiedział pan?

Maciejewski pokręcił głową. Bardziej jednak niż dzieje

drobnego chełmskiego przemysłu zastanowiła komisarza pozycja łokciowo-kolanowa, jaką przed śmiercią musiał przybrać denat. Typowa dla pacjentów hemoroidalnych, zapaśników, kobiet desperacko pragnących zająć w ciąży oraz pederastów.

– Odbyt w normie? – spytał Zyga.

– To samo przyszło mi na myśl, panie komisarzu – przyznał doktor. – Czysty, nierozwarty, bez śladów spermy także w cewce moczowej. Jeżeli nawet miał stosunek płciowy, to zdążył później ją przepłukać, oddając mocz.

– Wracając do śladów kredy... – Zydze strasznie zachciało się zapalić, dym zabiłby też ten nieodmiennie kojarzący mu się ze śmiercią odór chloru. – Zwłoki były ubrane, bez krawata, w rozpiętej koszuli, tak jak do pana przyjechał, a ubranie czyste co najmniej jak jego odbytnica. Skąd więc jej ślady na ciele denata?

– Zasadna uwaga. – Fuhrman stuknął w blat stołu sekcyjnego pęsetą niczym kamertonem. – Nie wydają się mieć one związku z przyczyną zgonu. Co do zasinień, to są oczywiste ślady walki, wydaje się, walki zapaśniczej. Ktoś, tak można mniemać, siłował się z tym młodym człowiekiem i w rezultacie skręcił mu kark. Przerwanie rdzenia kręgowego nie ulega wątpliwości, niech pan sam posłucha. – Lekarz obrócił bezwładną głowę w lewo i w prawo. Poruszała się bez oporu, zgrzytając jak nienaoliwiony zawias.

– Denat ćwiczył zapasy – powiedział Maciejewski.

– I to by się zgadzało. Jednakże nie umiem z mocą powiedzieć, czy to zasinienie świadczące, wydawałoby się, o śmiertelnym uchwycie, rzeczywiście powstało w chwili śmierci, czy wcześniej.

– Podczas bójki?

– Raczej sportowego pojedynku – ocenił lekarz, odrzucając z brzękiem pęsetę na tacę z przyrządami do zdezynfekowania. – Brak śladów uderzeń pięścią czy nawet otwartą dłonią, to wszystko są chwytty przytrzymujące. Jeżeli coś wskazałbym jako znak szczególny, to to, że widzę tu tylko jedną rękę. Proszę spojrzeć na układ palców. Kark, ramię, tu niech pan spojrzy,

pod obojczykiem... – wyliczał. – Za każdym razem prawa dłoń.

– Ta dłoń mogła skrócić mu kark, kiedy już był ubrany?

– Rzeczywiście, ktoś mógł go uchwycić w ten sposób, lekko wsuwając dłoń pod koszulę. – Lekarz zademonstrował to na zwłokach, imitując ubranie prześcieradłem.

– Czyli nie znać w tych zasinieniach żadnej różnicy czasowej?

– Dla zasinień, panie komisarzu, kilka godzin to żadna różnica, a dla człowieka może być znacząca. – Medyk rozłożył ręce. – Domyślam się, że nie jest możliwe zdjęć z ciała odcisków palców?

– Nie jest. Natomiast czy pan doktor może mi odwzorować kształt tej dłoni?

– W przybliżeniu tak, skoro pan sobie życzy. – Fuhrman przeszedł do stolika, wyjął z szuflady arkusz półprzezroczystego papieru śniadaniowego i ołówek. – Trudno to jednak będzie nazwać ekspertyzą.

Spojrzawszy na obrys, Zyga musiał się zgodzić z lekarzem. W tej łapie nie było żadnych znaków szczególnych: nierównych palców, kikutów po nierozważnym bawieniu się piłą, nietypowego rozstawienia kości. Taką dłoń mógł mieć każdy, chociaż mało kto równie wielką. Raczej nie nadawała się do precyzyjnych robót, ale jedno było pewne: jak taka walnęła, to nie mogło dobrze się skończyć.

Opuściwszy prosekatorium, Maciejewski już w świetle dnia przyłożył szkic do własnej ręki. Gdyby był kobietą i przymierzał zbyt szeroką sukienkę, poprawiłby sobie pewnie humor. Jako były bokser jak rzadko kiedy poczuł się mikrusem. Chyba nawet Fałniewicz, jego nieoceniony tajniak z lubelskiego wydziału śledczego, który chował w garści ołówek, na ten widok poczułby respekt.

Komisarz włożył zawstydzający go rysunek do kieszeni, bo przed szpitalem dostrzegł pustą dorożkę.

– Wolny? Pan postawi budę – zażądał Zyga.

– W taką piękną pogodę? – zdziwił się woźnica.

– W radio zapowiadali deszcz – burknął Maciejewski.

Najpierw umieścili w dorożce rower, potem komisarz ukrył się w niej sam. Wystarczyło cmoknięcie woźnicy i koń ruszył

między topolami. Znał swoją robotę. I podobnie jak Zyga na wiosenne uroki przyrody był całkiem obojętny.

Maciejewski rozwinął arkusz szeleszczącego pergaminu i facet na koźle pomyślał, że pasażer zabiera się do pożarcia kanapki. On jednak znów patrzył na obrys dłoni, którą, był pewien, ścisnął tego samego dnia po śniadaniu.

\*

Kiedy komisarz dojechał przed komendę, zatrzymała się tam właśnie inna dorożka i wysiadło z niej najpierw monstualne babsko około czterdziestki, potem drobny, zasuszony, starszy od niej o kilka lat mężczyzna. Oboje byli ubrani na czarno. Kobieta miała na głowie toczek z żałobną woalką, jej kontrastowy mąż świecił gołą łysiną, bo swój kapelusz miętosił w dłoniach.

Zyga odprowadził ich wzrokiem, wyciągając z dorożki nieużyteczny bicykl, po czym skręcił za róg komendy. Przy tylnym wejściu zastał posterunkowego, który sapiąc miarowo, pompował dętkę innego roweru. Na widok komisarza zsalutował palcami czarnymi od kurzu. Maciejewski odstawił swój złom pod ścianę i wszedł do środka.

W korytarzu bez okien jeszcze czuć było od lamperii, pociągniętej świeżą farbą zapewne w związku z inspekcją. Właściwie powinien mieć wyrzuty sumienia, że nie umieścił tego w raporcie, ale z natury był podły i niechlujny. Minął klozet, potem magazyn zamknięty na kłódkę. Pchnął drzwi wychodzące na dyżurkę i znów zobaczył tych dwoje z dorożki. Teraz stali przed zagrodzonym poręczą biurkiem przodownika Kaliny.

Maciejewski miał ochotę od progu powiedzieć mu coś do słuchu na temat stanu rowerów służbowych, a potem zażądać dwóch mundurowych do zrobienia rewizji w gospodzie Dubowa, lecz złowił zdziwione spojrzenie chudego mężczyzny skierowane na jego spodnie. Dopiero teraz zorientował się, że przez cały czas rozmowy z doktorem Fuhrmanem, a potem jazdy dorożką nie odpiął z prawej nogawki klamerki, zabezpieczającej garderobę przed wkręceniem się w łańcuch.

Schylił się i ze złością cisnął drewnienko pod biurko.

– To państwo Zimowscy – wyjaśnił Kalina, uprzejmie zignorowawszy fochy rewizora. – Przyjechali porozmawiać z panem inspektorem.

W pierwszym odruchu miał ochotę powiedzieć im, że nie byli umówieni, a interesantów chętnie obsłuży komisarz Hejwowski. Knajpa mogła jednak poczekać, ostatecznie po świeżych śladach dawno nic tam nie zostało.

– Maciejewski, oficer inspekcyjny – przedstawił się.

– Pan tu podobno jest teraz najważniejszy. A ja w ogóle nie mam siły mówić ani myśleć. – Matka zamordowanego załamała rękę. – Tym bardziej mówić z byle kim.

– Małżonka moja jest załamana nerwowo. – Mikrus wystąpił przed nią, jak przystało mężczyźnie, osłaniając babsko przed złem świata własną osobą wagi muszej. – I to z pewnością potrafi pan zrozumieć jako człowiek inteligentny. Moja małżonka chciałaby pomówić z panem o naszym synu.

Słyszając „naszym”, wyraźnie zachnęła się, po czym znowu zapadła w żalobę. Mąż podał jej ramię, a ta złapała go pod łokieć i wtargnęła na schody, ledwie Zyga wskazał im kierunek.

Gdy weszli do gabinetu, Zimowski podsunął jej krzesło. Zyga uznał, że w jej przypadku powinna to być raczej kanapa, lecz takiego mebla, po pierwsze, nie było na stanie komendy, po drugie, ten facet by go nie dźwignął.

– Widziałem dziś państwa syna... – zaczął komisarz, zajmując miejsce naprzeciw, kiedy również pan Zimowski usiadł na przysuniętym krześle.

– Mojego syna – sprecyzowało babsko. W tych dwóch krótkich słowach była i mściwość, i zazdrość, i cholera wie co jeszcze. – Mój mąż jest jego ojczymem. To on zachęcał go do sportu, a Wacusz zawsze miał taki słaby system nerwowy, i takie tego skutki, o Jezu, Jezu!

Dobrze wytresowany małżonek natychmiast podał chustkę do nosa, żeby w nią popłakała.

– To niestety prawda – przyznał. – Uważałem, że młody człowiek, obdarzony słusznym wzrostem i temperamentem, powinien wybiegać się, spociec, nabrać zdrowia i tężyzny, żeby

nie myśleć o głupstwach...

– To ty sugerowałaś Wacusiowi zapisać się do drużyny futbolowej! – Zimowska wysmarkała się w chustkę i oddała lepką mikrusowi. Schował ją do kieszeni niczym artefakt.

– Prawda, moja droga, jednakże ani nie myślałem o zapasach. To dobre przecież dla cyrkowca, a nie kogoś, kto będzie wkrótce uczył na uniwersytecie!

– Zatem syn pani zamierzał podjąć studia? – wtrącił się Maciejewski. – To może okazać się bardzo ważne.

– Mój Wacus był takim dobrym chłopcem, po prostu marzycielem.

Marzycielem? Jak wynikało ze słów Miazgarskiego, raczej rozpuszczonym smarkaczem. Bardzo plastycznie potrafił sobie wyobrazić wakacje w domu rodzinnym maturzysty, gdy to babsko, dziamdziając jak do niemowlęcia, przynosi Wacusiowi śniadanie do łóżka, zaś odsunięty mąż stara się nie odwracać tyłem, żeby nie oberwać czymś ciężkim.

– Rzeczywiście, pisał wiersze, to powiedział mi już jego profesor literatury. A czy zwierzał się państwu ze swoich spraw?

Chuderlak otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz ubiegła go żona.

– Mężowi nigdy. I przyzna pan, że nic w tym dziwnego, skoro ma matkę...

– Nic dziwnego – ojczym denata natychmiast poparł połowicę. – Czuj matkę swoją! Wacus słusznie kochał matkę jak nikogo na świecie.

– I kilka razy zdołałam obronić go przed złym towarzystwem! – fuknęła pani Zimowska. – Na przykład u nas w Szkodyniu którychś wakacji uczepliła się go taka miejscowa latawica. Wyobraża sobie pan? Miał siedemnaście lat, a ta dziwka osiemnaście. Czy to moralne? Albo na przykład w zeszłym roku, jak już przez mojego męża dostał tego atletycznego hyzia, przyznał się, że zaczął ćwiczyć te ich chwyt z synem szewca, w dodatku Żydem, wyobraża sobie pan?

Komisarz kiwnął głową, chociaż zupełnie tego sobie nie wyobrażał. Dubow, idol młodzieńca, prowadził knajpę, do



której Żydzi nie mieli wstępu.

– Widzisz, widzisz?! – zaatakowała męża. – Pan inspektor mówi to samo. Nie trzeba było go puszczać do szkoły w mieście. Nie mógłby w domu się uczyć i zdawać egzaminy eksternistycznie? No ale ty wiedziałeś lepiej! I zostałam całkiem sama!

– Jesteśmy małżeństwem dopiero od siedmiu lat – wtrącił łagodząco Zimowski. – Wacław był już wtedy podrastającym chłopcem. Zagwarantowałam żonie opiekę nad obojgiem oraz że w sprawie wychowania syna będę tylko życzliwym doradcą.

– Życzliwym! – wykrzyknęło babsko, nerwowo poruszając się na krześle. Omal go nie złamała.

– A z czego pan się utrzymuje? – zapytał Maciejewski.

– Jestem zegarmistrzem – ku jego zdumieniu odparł świadek.

– To nie jest chyba zajęcie aż tak popłatne, by można było myśleć o prywatnej, domowej edukacji dzieci...

– Jedyne dziecko! – Zimowska napadła teraz na komisarza.

– Gdyby się postarał, toby dał radę.

– Jak zwykle masz rację, moja droga, powinienem być bardziej się starać. – Mąż swojej żony westchnął jak w melodramacie.

– Proszę państwa, to są ważne okoliczności, ale niestety policja potrzebuje faktów – wtrącił się Zyga. – O czym, o jakich ludziach opowiadał państwu syn w ciągu ostatniego roku?

Chociaż Zimowska miała wiele do zarzucenia swojemu małżonkowi, do protokołu wniosła mniej niż oszczędny w słowach profesor Jaworski. Nie słyszała nigdy od syna ani o Dubowie, ani o Leszynie. O tym ostatnim dowiedziała się ze stugębnej plotki i wymogła na mężu przyjazd do Chełma tylko po to, by ta bestia w ludzkiej skórze zawisła na szubienicy, proszę pana inspektora! Wacús, jak przystało na wrażliwego młodzieńca, mówił bardzo mało, każde słowo wołami trzeba było z niego wyciągać, a z wiekiem robił się z niego coraz większy milczek, jakby nabierał nawyków swojego ojczyma.

Maciejewski wysłuchał tego cierpliwie, lecz niczego nie zanotował.

– A czy syn pani był z charakteru gwałtowny? To ważne.

Czy jest do pomyślenia, że mógł wszcząć bójkę, która źle by się skończyła, czy raczej uciekłby przed napaścią?

– Był ostatecznie mężczyzną. – Nastroszył się ojczym wagi muszej. – Pan by na jego miejscu...?!

Nie dokończył zdania i zastygł z otwartymi ustami. Małżonka wzrokiem sprowadziła go do parteru, założyła podwójnego nelsona i jeszcze tłustą dłonią sama przyklepała matę. Zyga nie wyjął wprawdzie szkicu doktora Fuhrmana, ale mógłby się założyć, że masywna dłoń Zimowskiej była niewiele mniejsza od łapy mordercy.

\*

Pająki, chociaż jedne z obrzydliwszych insektów, niejednokrotnie oddały śledczym przysługę: ich sieci precyzyjnie wskazywały miejsca, w których nikt niczego nie ruszał, a jeśli na pajęczynach zdążył osiąść kurz, były bardziej wiarygodne niż policyjna taśma z pieczęcią. Przynajmniej tych śladów nie zniszczyły amatorskie oględziny przeprowadzone tu wcześniej przez chełmskich funkcjonariuszy.

Maciejewski kilka razy spróbował szarpnąć wajchę starej prasy na wino. Jako jeden z niewielu sprzętów w pakamerze knajpy Dubowa nie porosła kurzem, lecz nie ruszyła się ani o milimetr. Naraz snop światła padł na białawy ślad. Kreda? Zyga przysunął się bliżej. Niestety, było to tylko ptasie łajno, pewnie kury, która przeżyła w tym składziku w ciemnej suterenie ostatnie chwile upojnego drobiowego żywota, zanim poszła na rosół.

Jeszcze raz powiódł latarką po zmurszałych ścianach. Agresywne elektryczne światło płoszyło pająki i stonogi, lecz poza regałem z butelkami piwa, gdzie sięgano najczęściej, ujawniało tylko stary, niewinny kurz. Brudne alibi.

– Panie Dubow! – Odwrócił się ku knajpiarzowi, który spokojnie czekał pod ścianą na rozwój wypadków. – Panie Dubow, niech pan przyłoży tutaj rękę. – Wyjął z kieszeni kalkę z obrysem dłoni domniemanego sprawcy.

Pasowała idealnie i były zapaśnik spojrzął na Maciejewskiego z tępą rezygnacją w oczach. Komisarz nigdy nie lubował się

w rosyjskich powieściach, lecz był przekonany, że Tołstoj albo Dostojewski włożyliby mu w usta coś w rodzaju: „Wot, skoro taka wola boska, to mnie powieście. Kiedyś umrzeć trzeba”.

– Pan domyśla się, że to odrysowana ręka zabójcy Zimowskiego?

– Nie, skąd mnie to wiedzieć? – Dubow flegmatycznie pokręcił głową. – Pan aresztuje mnie?

– Kto oprócz pana ma takie duże dłonie? – Komisarz sięgnął do kieszeni, ale zamiast kajdanek wyjął paczkę sokołów bez gilzy.

Poczęstował byłego zapaśnika, a ten wydlubał papierosa wielkimi paluchami bez najmniejszego nerwowego gestu.

– Nie przyglądałem się, ale chyba każdy, jak nie konus. – Knajpiarz wzruszył ramionami. – Wiktor, Miazgarski, ja, pan inspektor...

Maciejewski skrzywił się na wspomnienie swojej dłoni na tle obrysu na papierze śniadaniowym. Kacapski podlizuch czy debil tylko? Oparł się o regał, sięgając do kieszeni po zapalki, ale nacisnął łokciem obluzowaną półkę. Puste i pełne butelki z kilku browarów zadzwoniły ostrzegawczo. Dubow rzucił się w ich kierunku jak bramkarz. Dwa żywce chwycił w swoją wielką prawą łapę, chorą lewą próbował zastąpić kolanem, wystawiając je po piłkarsku, niestety butelka okocimskiego ciemnego potoczyła się po posadzce, a spod obluzowanego kapsla trysnęło spienione piwo. Maciejewski zdążył zatrzymać tylko cztery puste butelki po lubelskim jeleniu, upadek pięciu innych zamortyzował brzuchem, rozbił jedną. Też niezły wynik.

– Przepraszam pana. – Zyga złapał okocimskie, toczące się z sykiem ku zmiecionym na bok odpadkom zimowego węgla. Podniósł butelkę: w połowie pełna, warto by wypić, zanim zwietrzeje...

Nim jednak spytał Dubowa, czy nie będzie miał za złe, do pakamery zajrzał mundurowy.

– Panie inspektorze, jest pan proszony – oznajmił.

Maciejewski spojrział na niezapalonego papierosa, którego mimo całej ekwilibrystyki wciąż trzymał w palcach. Z westchnieniem wcisnął go z powrotem do paczki. Knajpiarz

swojego zgubił.

Na sali Miazgarski pił piwo, znowu pożywiając się tutejszą kaszanką. Policjant postawiony przy wejściu patrzył na ten obrazek jak zahipnotyzowany i co chwila przełykał ślinę. Fakt, pora obiadu już minęła, a pod okiem inspektora z Lublina nie śmiał zamówić choćby kapuśniaku. Za to, mimo że miał przykaz nie wpuszczać do sali obcych, po knajpie plątał się krępy wąsacz w towarzystwie starszego pana w okrągłych rogowych okularach. O ile pierwszy wydawał się po prostu ciekawski, o tyle drugi zaciskał zęby, jakby dopiero co śmiertelnie go obrażono.

– Czy to pan prowadzi tu czynności? – zwrócił się do Zygi, ledwie ten zrobił krok w ich kierunku. – Pan jest Maciejewski?

Komisarz chciał zapiąć guzik marynarki, ale w świetle dziennym dostrzegł, że cały jest oblepiony pajęczyną. Nie było więc sensu odstawiać *savoir-vivre'u*, i tak nie wyglądał, jak przystało oficerowi.

– Kto panów wpuścił? – burknął. – Ciebie też nie powinno tu być – rzucił do Miazgarskiego. – Kto ci przygrzał kaszankę?

– Sam sobie przygrzałem – powiedział dawny kolega z pełnymi ustami i wskazał widelcem okularnika. – A to pan sędzia śledczy Szydłowski, którego...

– Którego nie raczył pan powiadomić o prowadzonych czynnościach – przerwał prawnik, podchodząc do Zygi. Jego przysadzisty towarzysz postępował za nim krok w krok z notesem w ręku.

Nadawali się do jakiejś lwowskiej komedii filmowej. Wysoki starszy pan z niemodnym wąskim kołnierzykiem i muszką oraz jadający tłusto facet z niepoddającą się żadnemu grzebieniowi burzą czarnych włosów i sterczącymi wąsami. W innej sytuacji komisarz wziąłby go za prowincjonalnego aptekarza.

– Ustalając fakty, pan nakazał zamknąć lokal i przeprowadzić rewizję? – pierwszy zaatakował pan sędzia.

– Żeby zaszkodzić chrześcijańskiej firmie? – Drugi intruz nie chciał być gorszy.

– Mam odpowiadać panu sędziemu czy jego aplikantowi? –

Maciejewski jednak zapiął marynarkę, zgarniając nieco pajęczyn z klap.

– Ten pan nie jest moim aplikantem, tylko redaktorem tutejszej gazety. – Szydłowski uśmiechnął się kwaśno.

– Czernicki. – Dziennikarz wyciągnął dłoń, ale Zyga udał, że tego nie zauważył.

– I ja się od prasy muszę dowiadywać o działaniach policji? – zapytał tymczasem pan sędzia.

– Zostawiłem funkcjonariuszom jasne instrukcje i...

Komisarz przerwał, ale nie dlatego, że akurat głośno trzasnęła zapalka w rękę Miazgarskiego, gdy ten zapalał papierosa. Maciejewski właśnie rozumiał, że Hejwowski go wystawił. Doskonale wiedział, gdzie udaje się Zyga, sam przydzielił mu przecież policjantów, lecz do biura sędziego śledczego nie zatelefonował, tylko wysłał mundurowego jako posłańca z surowym przykazaniem, aby się, broń Boże, nie spieszył.

– ...i najwidoczniej zaszło niedopatrzenie – dokończył zdanie Maciejewski.

– Najwidoczniej. – Szydłowski skrzywił wąskie usta. – A jakie są wyniki, jeżeli wolno uprzejmie pana komisarza zapytać?

Zyga spojrzął ku Horejukowi, który minutę wcześniej wszedł do sali restauracyjnej, tylko nie śmiał się odezwać.

– Ślady w korytarzu i na podwórzu, jeżeli nawet były, zadeptane, panie inspektorze – zameldował.

– A pan komisarz robi aferę – powiedział sędzia śledczy donośnie, jakby wraz z tonem głosu wzrastał i jego autorytet. – Tu nie Lublin, tu się przestrzega procedur, za co będę panu komisarzowi stokrotnie zobowiązany.

Ukloniwszy się sztywno, wyszedł wraz z dziennikarzem.

– A skoro tak, to czy mogę otwierać lokal, proszę pana władzy? – Prostuduszne pytanie Dubowa pierwsze przerwało ciszę.

– Otwieraj pan – mruknął Maciejewski. – A czy wam, Horejuk, pan sędzia śledczy nie przypomina fizjonomicznie ojczyrna Zimowskiego? – zapytał tajniaka lekkim tonem, chociaż czuł, że nadciągają kłopoty. – Ciekaw jestem, jak wyglądał jego rodzony ojciec nieboszyk.

– Dlaczego nieboszczyk? On żyje, panie inspektorze – zdziwił się wywiadowca.

\*

Dwunastu somnambulików o błędnym wzroku spacerowało między młodymi drzewkami na tyłach Wojewódzkiego Komunalnego Szpitala Psychiatrycznego, a trzynasty przemawiał, wyraźnie przyzwyczajony, że nikt w tym potężnym gmaszysku na obrzeżach miasta nie ma uszu do słuchania.

– Nie będziesz miał kobiety, aby niesplugawione było męstwo twoje i siła twoja – prorokował. – Nie będziesz miał chudej, bo tyć będzie chciała, ani grubej, żeby nie pożarła twego ciała do kości białej, ani nawet kształtnej, bo takie są najgorsze kurwy. I mówi Pan, tych strzec się także będziesz, jako że niewiadome ich zamiary wszeteczne. Kurwy one, kurwy i po wsze czasy kurwy!

– Schizofrenik i alkoholik – szepnął do Maciejewskiego doktor Fuhrman.

– Nie spodziewałem się spotkać pana również i tutaj. To takie małe miasto... Czy pan doktor ma takie potrzeby finansowe? – Komisarza brała chęć zapalić, ale wiedział z doświadczenia, że wtedy jak ćmy do lampy zlecą się żebrzący o papierosa wariaci.

Odeszli alejką w stronę budynku.

– Chętnie zamieniłbym moją funkcję dyrektora szpitala miejskiego chociażby na ordynatorstwo tutaj. To kwestia zainteresowań medycznych i naukowych, panie komisarzu. – Fuhrman wskazał ławkę pod świeżo otynkowanym murem.

– Nie starał się pan? – rzucił śledczy, siadając.

Doktor machnął ręką.

– Zadowolam się dyżurami, dzięki którym mam możliwość pracy nad habilitacją – odparł wymijająco. – A jeżeli chodzi o tego pacjenta, to przyznaję, w pierwszej chwili nie uzmysłowiłem sobie jego związku z denatem. On nie nazywa się Zimowski, tylko Radwaniuk. Synowi zapewne zmieniono nazwisko po unieważnieniu pierwszego małżeństwa matki.

– Ukraińiec?

– Zupełnie spolszczony, pił jednak kiedyś dosłownie po

rosyjsku – ocenił z ironicznym uśmiechem Fuhrman. – Pan też by zresztą pił przy takiej żonie, chociaż zaznaczam, to nie jest do protokołu.

Zyga kiwnął głową, bo rozumiał, co lekarz ma na myśli.

– A kurwy one są i kurwy nad kurwami, bo mówi Pan, nieczyste są serca cór tej ziemi, a usta ich pełne fałszu, jako ich łona z błota są, ołowi ciężkiego i pokrzyw palących – głosił tymczasem swe kazanie w ogrodzie nieświadom zbrodni na jego pierworodnym ojciec.

I jak zawsze nie słuchał go nikt, no może poza doktorem faryzeuszem i komisarzem policji po cywilnemu.

– A wie pan, komisarzu, że jest pan pierwszym śledczym, który według mojej wiedzy zainteresował się osobą ofiary przez przyzmat jego leczonego psychiatrycznie ojca? – pochwalił Fuhrman. – Pan interesuje się psychologią?

– Interesuję się boksem. – Maciejewski wzruszył ramionami.

– Sprawa śmierci Zimowskiego bardzo mi się jednak nie podoba. Dla mnie widać gołym okiem, że ten chłopak sam prosił się o kłopoty. Pisze wiersze i trenuje zapasy. Pupil swojego polonisty, a jednocześnie zapatrzony w przygłupiego knajpiarza z bicipsem jak moje udo. Wprawdzie jeszcze nie wygłaszał kazań o kurwach, ale może odziedziczył coś po ojcu? – Komisarz wymownie popukał się w czoło.

Lekarz sceptycznie pokręcił głową.

– Według Freuda, a to dziś modne, można byłoby szukać problemów ofiary na styku klinicznego wariactwa ojca i jeszcze niehospitalizowanej manii matki. Jeżeli jednak w ogóle iść tym tropem, to bardziej zainteresowałbym się jego jak najzdrowszymi, choć niekoniecznie najmądrzejszymi impulsami, jak się z tego wyzwolić, słowem, jak samodzielnie pokonać swój kompleks Edypa. Oczywiście to już kwestia wyłącznie domniemań.

– Jakich na przykład?

– Wspomniał pan o trenowaniu zapasów. Humorystyczne to może, ale pasuje do postaci matki, lecz najdalej jest od postaci ojczyrna, bo wspomniał pan, że to człowiek miernej postury. Ojczym uzurpator, ujmując rzecz psychoanalitycznie.

Młodzieniec chciał nie tyle rozwinąć się sportowo, co stać się godnym matki, niestety to jednocześnie utrudnia przecięcie pępowiny, szczególnie że, o ile dobrze rozumiem sytuację, brakowało mu mężczyzny przewodnika, postaci takiej jak porucznik na froncie albo chociaż harcerski zastępowy. Autorytetu niepostrzeganego podświadomie jako konkurent, pojmujecie pan?

Maciejewski najchętniej posłałby Freuda do stu diabłów, ale tylko skinął głową, bo kompleks Edypa czy ojczyzna uzurpatora przerabiał już dawno, w gimnazjum, kiedy wykładano mu mity starożytne. Jeżeli cała ta słynna psychoanaliza sprowadzała się do opowiadania trudniejszym językiem powszechnie znanych greckich bajek, komisarz nie wróżył jej praktycznych zastosowań.

– Czcij ojca swego, powiada Pan, chociaż nie wylał on na ziemię nasienia swego, a z niewiastą zległ w żądzy i głupocie swojej, jako i jego praojciec uczynił – przerwał nagle ich rozmowę pacjent, teraz zwracając się wprost do Zygi niczym apostoł do pogan. – Czcij Maryję, Dziewicę Przczystą, a od matki swojej oblicze odwróć, albowiem jakobyś na węża i szatana patrzył, a lepiej dla ciebie po stokroć, abyś członek swój grzeszny odrąbał, niżbyś miał nie wejść do królestwa Ojca swego w niebiesiech.

– Amen – powiedział poważnie Fuhrman.

Ojciec Zimowskiego pobłogosławił obu i odszedł.

– Pan doktor wspomniał o kompleksie Edypa – przypomniał komisarz. – Edyp w końcu się okaleczył.

– Ten też. – Fuhrman wskazał wariata, który teraz spacerowałby prawie spokojnie, gdyby nie skrobał się bezustannie po głowie, jakby z wysiłkiem obmyślał nowe kazanie. – Tu w szpitalu mamy mały gabinet osobliwości. Pokazać panu jądra Radwaniuka w formalinie?

– Słucham? – Zyge zatkaną.

– Jądra w formalinie – powtórzył lekarz. – Wytrzebił się całkiem fachowo, zresztą jako felczer weterynarii znał się na tym. Tylko zrobił to kawałkiem szkła, ale jak pan widzi, odratowaliśmy. – Fuhrman spojrział na zegarek. – Mógłbym



w czymś jeszcze panu pomóc?

Maciejewski w końcu wyjął papierosa i zaczął grzebać w pudełku zapalek. Zaciągnął się łapczywie. Wariatom, jeśli przyjdą prosić, najwyżej da niedopalonego, uznał. W psychologię wciąż nie wierzył, mimo że zaczęła go przerażać.

– Ja jestem tylko gliną, panie doktorze, i w związku z tym tylko jedno pytanie: jakie prawdopodobieństwo, że denata ciągnęło do pedalstwa?

– Interesujące, że pan pyta właśnie o to. – Fuhrman zsunął okulary. – Nie daje to panu spokoju?

Zyga obserwował teraz innego pacjenta, szepczącego coś po cichu do przekwitających kwiatów kasztanowca. Ciekawe, czy oblał maturę i dlatego wyłądował w wariatkowie.

– Ani trochę, po prostu nie mam czasu na abrakadabry.

– Sferę płciową nie musiał, ale mógł mieć zwichniętą, zatem niewykluczone. Lecz, panie komisarzu, równie prawdopodobne są inne ryzykowne zachowania, jak chociażby nadmierne korzystanie z usług prostytutek, skłonność do przemocy lub pociąg masochistyczny, także masturbacja z każdym wybiciem zegara, żeby przynajmniej tak uporządkować sobie życie. Pan wybacz, ale tego młodego człowieka pierwszy raz widziałem na stole sekcyjnym i w interesujących pana sprawach nic nie powiedział.

## Rozdział 5

### – Czytanie gazety należy zaczynać od działu sportowego

*Chełm, poniedziałek 16 maja 1938 roku*

O szóstej rano Zygmuntowi Maciejewskiemu zaczęło boleśnie dzwonić w uszach. Kiedy jednak otworzył oczy, przekonał się, że to nie kac. Zresztą po czym, skoro do kolacji wypił ledwie dwa kieliszki wódki i kufel piwa?

Dzwoniły dzwony z kościoła Rozesłania Świętych Apostołów po drugiej stronie ulicy, a ich dostojny, pobożny jazgot wdzierał się przez uchylone drzwi balkonowe. Ledwie umilkły, z drugiej strony miasta odezwały się wyższym tonem, jak baba pyskująca chłopu, dzwonki z klasztoru Franciszkanów. Niestety, gdy nastąpiła niespodziewana cisza i Zyga zdjął z głowy poduszkę, ciężką od starego pierza, na nogi poderwał go potężny rumor, jakby ktoś wysypał z pierwszego piętra hotelu prosto na bruk całą skrzynkę amunicji.

Komisarz naciągnął spodnie i wyszedł na balkon z papierosem w ustach. Zapałkę z niespalonym łebkiem znalazł w pudełku już za trzecią próbą, co ktoś przesądny wziąłby za zły omen: miłe złego początki! Zapalił i odruchowo wsunął zwęglone drewnienko z powrotem.

Na balkonie poniżej stał i burczał coś pod nosem w jidysz równie zdenerwowany gość. Zyga milcząco przyznał mu rację, Żyd na pewno zapłacił za pokój w pierwszorzędnym hotelu „Victoria” co najmniej złotówkę więcej niż komenda za nocleg swego oficera inspekcyjnego, tymczasem niewygody identyczne. Pod narożnymi balkonami stał portier i z rękami w kieszeniach przyglądał się furmanowi oraz dwóm subiektem, którzy miotłami zgarniali z bruku śruby wysypane z roztrzaskanej skrzynki. Z zajmującego lokal na parterze

składu żelaznego wypadł właściciel czy kierownik i zaczął głośno drzeć się na nedorajdów, którzy zmarnowali mu towar. A nim komisarz dopalił porannego sokoła, z dołu Lubelskiej wyroiła się zgraja pędzących na wyścigi i przekrzykujących się gazeciarzy.

– „Kronika Nadbużańska”! „Kronika Nadbużaaa...”! Numer specjaa...!

– Nie drzeć się, gnoje, jak stare prześcieradła! – Jakby mało było zgiełku, Zyga dołożył swój ryk. – Tu mi dawaj który gazetę do mojego numeru!

Po chwili na progu stał jedenasto-, może dwunastoletni chłopiec w za dużym kaszkiecie i chociaż bez pejsów, to z wyraźnie semickim nosem i kruczoczarnymi lokami wystającymi spod czapki.

– A dużo sensacji w tej waszej „Kronice”? – zapytał z powątpiewaniem Maciejewski, wyjmując pięćdziesięciogroszówkę. Drobniejszych monet nie miał.

– W „Kronice” jak zawsze same sensacje, proszę szanownego pana! – wykrzyknął z przekonaniem chłopak, robiąc raban na pół piętra. Nie trując się pytaniem, czy wydać resztę, zbiegł z tupotem po schodach.

Zaś komisarz, zamiast zobaczyć, co grają w kinie i jak stoją chełmskie kluby w rozgrywkach okręgowych, machinalnie spojrzął na pierwszą stronę „demokratycznego tygodnika regionalnego”.

## **PRZERAŻAJĄCE MORDERSTWO CHRZEŚCIJAŃSKIEGO MATURZYSTY!**

**Zbrodniarz ujęty. – Policja nieudolna. – Milczenie  
zabójcy zapowiada trudne śledztwo.**

*Nocy przedwczorajszej na tyłach chrześcijańskiego lokalu „Targowica” przy ul. Reformackiej 9, znanego publiczności ze znakomitych śniadań, w piątki postnych, oraz wyśmienitej krwawej kaszanki i innych dań w uczciwie przystępnych cenach, znaleziono ciało maturzysty tut. gimnazjum, Wacława Zimowskiego (lat 19). Właściciel gospody, Aleksy*

*Dubow, dawny mistrz sportowy ciężko ranny na wojnie z bolszewikami, znany od lat ze wspierania organizacji chrześcijańskich, oniemiał z przerażenia.*

*Sprawcą okazał się jego pracownik Leszyna, ateista z bandycką przeszłością kryminalną. Policja najpierw zaaresztowała Bogu ducha winnego chłopca rusińskiego, chociaż talmudycznym zwyczajem w sprawie próbował mataczyć żyd Gross, szofer taksówki. Przestraszony jednak grożącą mu za niepowiadomienie o zbrodni karą, po kilku godzinach zgłosił się na komisariat P. P.*

*Brak zasad moralnych, bezbożne i wynaradawiające podszepty pornograficznej ideowo judeoprasy krajowej padły w osobie dewianta Leszyny na urodzajną glebę. Ów, zaaresztowany, z faryzejską dumą przyznał się do czynu. Motywów swych pogardliwie nie wyjawiał. W zaistniałych okolicznościach zapowiada się trudne śledztwo, już od pierwszych chwil prowadzone ze znaną powszechnie nieudolnością (więcej na str. 2-iej).*

*Pierwszorzędna gospoda chrześcijańska „Targowica” p. Dubowa otwarta jest od godz. 8-mej rano do 10-tej wieczór. Jadłospis oraz cennik nie zmienił się. (K. Cz.)*

– Skąd ten skurwysyn tyle się dowiedział?! – warknął Maciejewski kilka minut później, otwierając drzwi boyowi hotelowemu.

Był już we wczorajszej koszuli i pod krawatem. Z porannych ablucji zrezygnował, bo w miednicy na toaletce pływał zdechły karaluch.

– Ja nic nikomu nie powiedziałem, ja nawet zupełnie nie widziałem, czy szanownego pana odwiedzały jakieś damy. A na przyszłość, jakbym nawet i zobaczył, to mam bardzo krótką pamięć – zapewnił chłopak, nadstawiając rękę po napiwek. – Przykazano mi powiadomić, że skoro państwo na piętrze już nie śpią, to śniadanie natychmiast będzie podane – wyrecytował, z zalem chowając pustą dłoń za plecy. – Życzy pan zejść do restauracji czy przynieść do numeru?

– Do numeru, i to dwa śniadania – rozkazał Zyga. – Wcześniej pójdziesz do recepcji, weźmiesz książkę telefoniczną, znajdziesz numer do mieszkania kierownika wydziału śledczego i powiesz mu, że Maciejewski bardzo serdecznie i stanowczo zaprasza na poranny posiłek.

– Ale to może potrwać, proszę szanownego pana – zaniepokoił się boy.

– Nie sądzę, Chełm Lubelski w książce telefonicznej zajmuje niecałe dwie strony, na pamięć można się nauczyć. A jak jesteś za głupi, machniesz się zaraz na Pierackiego 7 i zaprosisz pana komisarza osobiście, zrozumiano?!

– Tak jest, proszę pana pułkownika! – Służący stuknął obcasami.

Dlaczego tak go tytułował, Zyga nie dociekał. Zagłębił się w lekturze cholernie demokratycznej prasy regionalnej.

\*

Jajka na miękko okazały się jajkami na twardo, do kawy zaś wiano dość wody, żeby przypadkiem kofeina nie zaszkodziła któremuś z gości, mogącemu mieć przecież słabe serce. Hotel „Victoria” posiadał za to malownicze wieżyczki, gzymsy i dość innych pierdolek architektonicznych, aby właśnie tam reprezentacyjnie umieszczać niechcianych gości z województwa.

Maciejewski posmarował kromkę grubo masłem i plasnął szynki, jakby chciał spoliczkować chleb nasz powszedni.

– Czytał pan dzisiaj prasę, panie Józefie? – zapytał jadowicie dawnego zwierzchnika. – Szczególnie polecam stronę drugą.

## **PIĘĆ FAKTÓW POD ROZWAGĘ WŁADZOM BEZPIECZEŃSTWA**

*W Chełmie, jednym z najbardziej zjudeizowanych miast polskich, zamordowano chrześcijańskiego maturzystę. To fakt pierwszy. Do badania medycznego zwłok ofiary okrutnej zbrodni zaangażowany został mało że... psychiatra, lecz na*

*dodatek żyd nazwiskiem Fuhrman – oto fakt drugi. To nie omyłka drukarska, to ten sam lekarz, który wykorzystując swe stanowisko dyrektora szpitala w porozumieniu z izraelitką dr Katzową wszelkimi noszącymi pozór legalności środkami od lat usiłuje „wygryźć” z posady dra Schulza, zapalonego entuzjastę odżydzenia kraju i przewodniczącego Związku Polskiego. Faktu trzeciego nie potwierdzą protokoły policyjne, lecz jest on oczywistym dla każdego – nadzór nad dochodzeniem objął przysłany z Lublina oficer inspekcyjny. Nie ma powodów wątpić w jego kwalifikacje, lecz znajomości stosunków miejscowych w kilka dni wyrobić sobie nie sposób, będąc nawet Szerlokiem Holmesem. Fakt czwarty wiadomy! Klika żydowska jest w Polsce silna i potrafi umiejętnie dążyć do celu, tak jak masoneria posługując się zakulisowymi sztuczkami. Pan inspektor podobnież jest Polak i katolik, także wytrawny detektyw. Czy niezawodna dedukcja podpowiedziała mu już, że odegra w tej sprawie mało zaszczytną rolę szabesgoja? To bez wątpienia tajemnica śledztwa – fakt piąty. (K. Cz.)*

– Co za szkodnik to napisał? – Maciejewski na apetyt zjadł jeszcze śledzia i zatęsknił za kieliszkiem monopolki. Nieszczęśliwie dochodziła dopiero siódma rano. – Kto to jest ten ka-cze?

– Poznał go pan podobno wczoraj u Dubowa. – Sądząc z miny Hejwowskiego, hotelowe śniadanie smakowało mu równie mdło, jak oficerowi inspekcyjnemu. – Redaktor Kazimierz Czernicki.

– Więc dobrze, widział mnie, wie o zabójstwie jak każdy w tym mieście i klika żydowska nie ma przed nim tajemnic. Ale skąd wie o doktorze Fuhrmanie?

– Bo jak mało kto tutaj posiada znajomość miejscowych stosunków, panie Zygmuncie – odciął się kierownik wydziału śledczego.

Odkąd Zyga go znał, dawny przełożony może po raz trzeci powiedział coś inteligentnego i to wydało się Maciejewskiemu szóstym podejrzanym faktem. Chociaż sprytnych zagrywek

poniżej pasa wykazał więcej, jak choćby wczorajsze „przypadkowe” niezawiadomienie sędziego śledczego. Oczywiście Hejwowski całą winą obarczył dyżurnego przodownika i obiecał dać mu naganę. Że zniknie ona z akt zaraz po wyjeździe Maciejewskiego, tego komisarz był koncertowo pewien.

– Czy zamierza zapytać pan w starostwie, dlaczego cenzura nie skonfiskowała tej szmaty?

– Mogę zapytać, panie Zygmuncie, ale doprawdy nie warto – powiedział kierownik wydziału ze stoickim spokojem. Chociaż komisarz zaburzył mu porządek poranka, najwyraźniej nie zepsuł humoru, bo stary glina widocznie rozsmakował się w sałatce jarzynowej, zignorowanej przez Zyge. – Natomiast skoro za zezwoleniem komendy wojewódzkiej zajął się pan tą sprawą, muszę panu przypomnieć o uzupełnieniu notatek służbowych z pańskich rozpytań. Oczywiście rozumiem, że nie miał pan wiele czasu! – Po ataku zrobił taktyczny odwrót godny kościuszkowskiego generała. – Przydzielę panu wywiadowcę, który pana odciąży. Proponuję przodowników Gnatowskiego albo Polaka.

Istotnie, takie nazwiska były na liście płac chełmskiego Wydziału Śledczego, z pewnością też zostali oni przedstawieni Maciejewskiemu pierwszego dnia kontroli, lecz potem żadnego z nich nie widział na oczy. Poza tym, skoro rekomendował ich Hejwowski, komisarzowi pozostał tylko wypad na flankę.

– Nie, proszę o posterunkowego Horejuka.

– Horejuka? – Tego posunięcia kierownik wydziału nie oczekiwał. Podniósł ręce ze zgrozą. – Panie Zygmuncie, to z pochodzenia Ukrainiec.

Maciejewski dolał sobie kawy. Skoro była tak rozwodniona, potrzebował co najmniej litra, żeby mózg zaczął pracować.

– Kto jak kto, pan jednak z pewnością wyuczył go języka polskiego w mowie i zwłaszcza w piśmie. – Wypił, uśmiechnął się salonowo i znów sobie nalał. – Dobrych wywiadowców nie ma pan w nadmiarze, a mnie Horejuk w zupełności wystarczy.

Niech pan zapozna się, panie Zygmuncie! – Godzinę później, kiedy Maciejewski zaczął już urzędować, Hejwowski z satysfakcją położył przed nim kopię *dossier* z warszawskiego Urzędu Śledczego.

Takiego rewanzu za kiepskie śniadanie Zyga nie spodziewałby się nawet po swoim dawnym zastępcy i przyjacielu, skrupulatnym Krafcie, a już na pewno nie po tym starym rutyniarzu. Zwykle trzeba było czekać dwa dni, aż poczta raczy dostarczyć zapytanie do komendy wojewódzkiej, kolejne pięć, zanim dotrze ono do komendy głównej, następny tydzień, aż coś wygrzebią z archiwum i tak dalej. Nieraz mijał miesiąc, zanim dokładnie ustalono, co detalicznie podejrzany ma za uszami w poprzednich miejscach zameldowania. Tymczasem kierownik wydziału zdobył *dossier* Leszyny w iście amerykańskim tempie. Kogo i czym wzruszył w komendzie wojewódzkiej, a może i głównej, skrywał teraz za uśmiechem pełnym satysfakcji.

Zyga otworzył teczkę i zaczął czytać.

Był rok 1923, za papierowego dolara płacono ponad pięć milionów marek polskich, za dolara w złocie nawet kilka razy więcej. Wiktor Leszyna zatrudnił się jako wykidajło w jednym z lokali na Pradze i zaledwie kilka dni później został oskarżony o zabójstwo pijanego klienta. Zakwalifikowano mu to łagodnie ze starego kodeksu jako nieostrożne spowodowanie śmierci: trzy lata, ale też dalsze trzy zakazu wykonywania zajęć „mających związek z ewentualnością użycia przemocy fizycznej wobec osób”, czyli także uprawiania sportu zapaśniczego. Leszyna wyszedł więc wprawdzie szybko, jednak był skończony.

Nie potwierdzała tego harda mina na fotografiach kartotecznych, i to mimo metalowej obejmie usztywniającej głowę do zdjęcia profilowego. Podczas gdy większość zatrzymanych krzywi się lub po prostu wędnie, zdjęcie Leszyny podretuszowawszy i pozbawiwszy numeru, można było śmiało dać do „Przeglądu Sportowego”: posągowe popiersie podobne tym pozom, w jakich aparat chwycił zwykle Sztekkera albo Cyganiewicza. Także rubryki dwudziesta



pierwsza WSPÓLNICY oraz dwudziesta druga SCHRONISKA-SCHOWKI („MELINY”) wskazywały dobitnie, że nie pozostawiono go na pastwę losu.

W pierwszej wymieniono Aleksego Dubowa, zaznaczając w nawiasie, że chodziło o paczki regularnie przesyłane do więzienia mokotowskiego. W drugiej figurował NN, który zapłacił z góry za wynajem na trzy miesiące dwóch pokoi w Warszawie przy Nowogrodzkiej 42 mieszkania 20, w którym to lokalu Leszyna dochodził do siebie, przywykając do życia na wolności.

– Leszyna zarobi recydywę. – Głos Hejwowskiego nadal ociekał miodem. – I jak pan widzi, w tej sprawie doprawdy nie ma już sensu dzielić włosa na czworo.

– A ja widzę czarno na białym, panie Józefie, zupełnie co innego. Ten facet wziął na siebie wyrok, który należał się komu innemu, za co ferajna mu się honorowo odwdzięczyła. – Maciejewski pokręcił głową. – Boli pana noga? – Zauważył, że stary policjant wciąż zmienia pozycję na krześle. Nawet nie zabrzmiało to fałszywie.

– Na zmianę pogody – powiedział Hejwowski. – Pana też to czeka prędzej czy później. A czyj wyrok miałby na siebie wziąć, pańskim zdaniem?

– Ten poprzedni? Pojęcia nie mam. – Zyga wzruszył ramionami. – Tym razem natomiast nie podoba mi się Dubow.

– Dubow! – Kierownik wydziału jęknął, czy to z powodu nogi, czy ciąglej mitregi z niechcianym oficerem inspekcyjnym. – Ale co ja mam na Dubowa?

„Przed państwem Goliat jednoręki w morderczym starciu z chromym Hefajstosem!”, tak mógłby wykrzyzczyć konferansjer albo tak można byłoby napisać na plakacie przybitym do drzwi komendy. Tyle że Hejwowski, mimo przejściowych trudności z chodzeniem, na siłacza nigdy nie wyglądał.

– A na Leszynę co pan ma? Poszlaki, nie dowody. – Komisarz zamknął *dossier*. – Tak się nie robi dochodzenia. Tak się tylko odfajkowuje statystykę.

– Pańskie przeszukanie też niczego nowego nie wykazało. – Kierownik wydziału niespodziewanie stanął sztorcem. Nawet

jego bóle reumatyczne jakby zelżały, bo przysunął się z krzesłem bliżej biurka i założył nogę na nogę. – A pan sędzia śledczy nie weźmie pod uwagę opinii doktora Fuhrmana. Powoła jako biegłego doktora Schulza.

– Tego samego, który nie powiedział nic mądrego przy pańskich poprzednich niezidentyfikowanych trupach? Doktor Fuhrman zwrócił uwagę na istotne szczegóły: ślady kredy i ten chwyt jedną ręką.

– Zdaniem pana sędziego śledczego był to po prostu chwyt zapaśniczy, który się sprawcy udał jak udał. Poza tym Fuhrman, chociaż ma doktorat, to z psychiatrii, a nie z medycyny sądowej. No i z decyzją sędziego śledczego nie będziemy przecież dyskutować, nie uważa pan, panie Zygmuncie?

Maciejewski uważał tylko, że nie po raz pierwszy przyszło mu rozmawiać z przyrośniętą do biurka kukłą.

– Dlaczego wszyscy w tym mieście postawili sobie za punkt honoru, żeby osłaniać Dubowa?

– Osłaniać? To uczciwy obywatel, panie Zygmuncie. – Hejwowski potrząsnął głową z oburzeniem. – Odznaczony Virtuti Militari.

– A skąd powszechna niechęć do jego pracownika?

– Nie wiem, ale służę w Chełmie dopiero siedem lat – zastrzegł kierownik. – Jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że już wtedy tutejsza opinia traktowała go podejrzliwie. I jak widać, coś w tym musiało być...

\*

Horejuk przyszedł jak na ścięcie i zameldowawszy się, czekał obok krzesła, aż oficer inspekcyjny pozwoli usiąść. Zyga jednak nie uczynił najmniejszego gestu. Przeciwnie, wlepił w tajniaka zaczerwienione z niewyspania oczy, a wszystko inne, włącznie z urzędowo ozdabiającym gabinet portretem prezydenta Mościckiego, traktował jak nieistotny szczegół krajobrazu.

– Jak pan pewnie wiesz – zaczął nieprzyjemnym tonem – poprosiłem komendę wojewódzką, żeby dano mi czas na przyjrzenie się sprawie waszych dobrze odżywionych denatów

z byczymi karkami. Ciekaw pan jesteś, z jakiego powodu mi na tym zależało?

– Nie, panie inspektorze. Pan inspektor wie lepiej, dlaczego mu zależy, i to nie jest moja sprawa – odpowiedział natychmiast młody wywiadowca.

Zyga kiwnął głową z aprobatą. Tajniak kłamał, ciekawiło go to jak cholera, chociażby z tego powodu, by sam umiał odnaleźć się przy nowym, tymczasowym przełożonym. Przeszedł jednak szkołę Hejwowskiego i miał pecha służyć pod nim dłużej niż komisarz.

– Ale i tak wam powiem.

Ta obietnica zabrzmiała w uszach Horejuka jeszcze mniej zachęcająco. Maciejewski najpierw mówił mu *pan wie*, potem przeszedł na *pan wiesz*, teraz zwracał się na wy jak sierżant do rekruta albo polski pan do rusińskiego służącego. Miał mu za złe polecenie doktora Fuhrmana? Tajniak uprzedzał przecież, że to nie jest najlepsze wyjście.

– Jestem takim samym leniem patentowanym jak wy i każdy inny w korpusie Policji Państwowej – oznajmił niespodziewanie oficer inspekcyjny. – Najbardziej lubię pić wódkę i łowić ryby, ale skoro już muszę użerać się na służbie z przygłupimi gliniarzami, to z dwojga złego wolę prawdziwą robotę policyjną niż obijanie się. Przynajmniej mniej nudy. A co wy chcielibyście robić, Horejuk, gdyby nie wasza służba i moja wredna osoba?

– Grać na harfie i chodzić do opery, panie inspektorze – odparł Rusin z kamienną twarzą.

Z początku był przekonany, że to fatalna odpowiedź i mniejsza z tym, że zupełnie nieprawdziwa. Pytania Maciejewskiego nie podobały mu się jednak ani trochę. Nawet komendant czy komisarz Hejwowski nie mieli zwyczaju upokarzać podwładnych takimi nieprowadzącymi donikąd gierkami. Niech ten wredny lubelski śledczy machnie na niego ręką, skończy się najwyżej na podaniu do raportu i dodatkowych służbach.

Patrząc na kanciąstą twarz Szczepana Horejuka, jego starannie przyczesane włosy i oczy koloru zamulonej Uherki,

Maciejewski przez chwilę miał wrażenie, że w powidoku mignęło mu znane z „Dziennika Inwigilacyjnego” i demokratycznej prasy oblicze Stepana Bandery, odsiadującego dożywocie za zamach na ministra spraw wewnętrznych Pierackiego. Relegowany z Politechniki Lwowskiej, od czterech lat bożyszcze Rusinów, przynajmniej tych przed trzydziestką, oświadczył przed warszawskim sądem karnym: *Ja budu widpowidaty tilky w mowi ukrajinskij*, a wyprowadzany z sali wznosił okrzyki za *samostijną* Ukrainą. Horejuk natomiast, mimo fizjonomicznego podobieństwa, zdawał się spokojnie znosić nie tylko oględziny Zygi, ale i idee narodowościowe niegdyś zaprzyjaźnionych ludów.

Komisarz najpierw jakby dostał czkawki, a potem roześmiał się na cały głos i wskazał krzesło.

– Siadaj pan i powiedz mi na dobry początek, czy już piszą na mnie donosy – zażądał.

– Chęć mają, ale nie piszą – odparł spokojnie tajniak. – Nie ośmieliliby się, panie inspektorze.

– Komisarz – poprawił go Zyga. – Głaskanie tytułami nie robi na mnie wrażenia. Dlaczego nie ośmieliliby się?

– Bo słuchają rozkazów, panie komisarzu.

– Wytresowani jak mały w cyrku, bardzo dobrze. A pan moich słuchać *budesz*?

– *Budu*. – Horejuk kiwnął głową. – Tylko nie wiem, po co pan komisarz sili się przy mnie na *naszu muzyčku mowu*... Dziękuję za uprzejmość, ale język polski znamy obaj.

– No to nie gniewajcie się, posterunkowy. – Maciejewski znów zmienił formę, jakby wywiadowca był przesłuchiwanym, którego śledczy próbują zbić z pantałyku. Chyba dla zmiękczenia, poczęstował go papierosem i sam chciał zapalić, niestety poranne szczęście go opuściło i teraz szukał dobrej zapalniczki jak jakiś Kopciuszek przebierający mak z popiołu.

Horejuk podał ogień i zaliczył ten ostatni test, mimo że zgodnie z regulaminem w gabinetach komendy tytoniu palić nie było wolno. Komisarz kiwnął jednak głową z pełną aprobatą.

– Nie bierzcie sobie do serca, że będę do was mówił jak do

stangreta. Tak samo traktowałem na służbie moich dawnych wywiadowców, chociaż po fajrancie chętniej chodziłem na wódkę właśnie z nimi niż z panami oficerami. Wam tego nie proponuję, dopóki nie wiem, czy umiecie pić i jesteście godni zaufania. Póki co jednak robicie niezłe pierwsze wrażenie jak na powiatowego tajniaka. Wybrałem was, bo się domyślałem, że skoro jesteście rusińskiego pochodzenia i prawosławny, musieliście od lat starać się dwa razy bardziej niż wasi jeszcze bardziej leniwi polscy katoliccy koledzy. Więc kto zabił Zimowskiego, waszym zdaniem? – przyszpilił Zyga po wstępie zapoznawczym. – Leszyna?

– Wystawił się, ale jaka motywacja, panie komisarzu?

– Kogo więc osłania? Dubowa? – warknął Maciejewski.

– Pan Dubow to szanowany obywatel, zrobił wiele dobrego dla...

– Ani słowa! – przerwał mu komisarz. – Nie interesują mnie dobrzy ludzie. Was też nie powinni. Miazgarski?

– Dlaczego? To świadek i pański kolega.

– Więc i to wiecie, niezłe. – Zyga pochwalił Horejuka tonem egzaminatora. – Tyle że glina nie ma kolegów, jedynie świadków i podejrzanych, zapamiętajcie sobie. A kto wie, jaka jest prawda?

– Leszyna.

– No to co tu siedzicie i *kuryte cyharku*?! – Maciejewski zdusił papierosa z takim obrzydzeniem, jakby to był robak. – Znajdźcie taksówkę i jedziemy do roboty, Horejuk!

\*

Taksówkarz Pliszczycki z nudów wyglancował całą karoserię swojego renaulta polakierowanego na czarno-szaro, po warszawsku. Później tylko siedział i kręcił głową nad złożoną na pół „Kroniką Nadbużańską”. Czekający za Pliszczyckim w kolejce po nienadchodzącego klienta Szyja Gross, szofer taksówki numer dwa, płachtą „Chelemer Sztyme” tylko zasłonił się od słońca, które od rana zdążyło już nagrzać przednią szybę wozu niemal tropikalnie. Kupić gazetę kupił, bo uważał za swój obowiązek popierać jidyszową prasę, nawet nudną. Czytać jej

jednak, szczególnie w ładne i leniwe majowe przedpołudnie, nie widział potrzeby, bo poza cenami produktów rolnych i programem trzech chełmskich kin żadnych aktualności nie podawała. O zabitym chrześcijańskim maturzyście, na przykład, nie było ani słowa, nawet drobnym drukiem... Lecz słusznie, uznał Gross, bo po co pisać, skoro wszystkie miejscowe nowiny na bieżąco omawiali sprzedawcy i klienci ciasnych sklepów w pobliskim Okrągłaku, a o tym, co dopiero się zdarzy, spekulowała giełda luftmenschów rozciągnięta w hierarchii starszeństwa i doświadczenia od rynku aż do ulicy Lwowskiej, zstępującej ze starożytnego miejskiego wzgórza ku wsiowym polom i łąkom na podobieństwo Mojżesza, który zstępował z Synaju z tablicami prawa do hałaśliwego i kłótliwego żydowskiego prostactwa.

Do Grossa jednakże zamiast proroka zstąpiła konkurencja. Pliszczycki oparł się o drzwi jego auta, pochylony, jakby podpierał się laską przemieniającą inne kostury w węże.

– Słuchaj, Gross – zaczął, cwaniacko cedząc słowa – trafia się kurs, ale nie chcę jechać z policją, nie chcę w nic być zamieszany, to w ogóle nie jest moja sprawa. Weźmiesz to?

Żydowski szofer złożył gazetę, spoglądając na niepozornego faceta, który czekał obok samochodu konkurenta w szarym garniturze i czarnym pilśniaku na głowie, zwłaszcza w tak piękną pogodę z miejsca zdradzającym tajniaka. Też nie przepadał za towarzystwem policji, lecz był przecież czysty jak noworodek: co przedwczoraj widział, zameldował.

– Dziękuję, Pliszczycki. No wiadomo, jesteśmy tak jakby koledzy! – Starając się nie okazać zbyt dużego zadowolenia, Gross odłożył gazetę na fotel pasażera. – Ile chcesz procent?

– Daj złotówkę i bierzesz kurs – rzucił wielkopańsko chrześcijanin.

– A ja wiem, gdzie będzie ten kurs? Może tylko spalę benzynę i nic nie zarobię ponad tę złotówkę?

– Żydzisz! – warknął Pliszczycki. – Dajesz pięćdziesiątka i koniec rozmowy?

– *Git!* Nie będziemy robić więcej rabanu. – Szofer taksówki numer dwa wyjął z kieszeni drobne i szybko odliczył dwie

dwudziestogroszówki oraz mniejszą, zupełnie zaśniebiałą dziesiątkę. – Bardzo proszę szanownego pana! – Wyskoczywszy z auta, usłużnie otworzył tylne drzwi pasażerowi.

Drugi, po którego zajęchali pod komendę, na glinę wyglądał dwakroć bardziej. Jego czarna marynarka i także spodnie u tutejszego żyda by uszły, ale u chrześcijanina w maju nadawały się tylko na pogrzeb.

– Zapomniałem was zapytać, czy czytaliście dzisiejszą gazetę – rzucił nowy pasażer do towarzysza. Szoferowi ledwie się uklonił. Położył kapelusz na siedzeniu i wcisnął tajniakowi „Kronikę”.

– Od jakiegoś czasu nie lubię czytać po polsku, kiedy nie muszę. Jeżeli jednak pan inspektor sobie życzy... – Młodszy rozłożył szeleszczącą, dość już zmiętą płachtę.

Gross cofnął na Pocztową, po czym wykręciwszy, dodał gazu. Inaczej wyobrażał sobie inspektora policji, ale właściwie nigdy przedtem takiego nie wiózł. Garnitur leżał na nim jak komedianckie przebranie z okazji święta Purim, ale w mundurze wyglądałby chyba jeszcze gorzej. Miał krzywo zrosnięty nos i niedogoloną twarz. Wyższy od taksówkarza o głowę, musiał odżywiać się lepiej, o czym świadczył brzuch lekko wystający nad pasek u spodni. Miał jednak siłę i rozpór w ramionach, pod tym względem prześcigając taksówkarza, który również po ojcu odziedziczył klockowate gabaryty. „Wcale nie jesteś gruby, Szyja”, tłumaczył mu poczciwy *tate*, kiedy przyszły szofer zbierał docinki w szkole. „Twoje ciało stosuje się po prostu do boskiej proporcji. Gdyby to, jak jesteś szeroki, dodać do twojego wzrostu, okazałoby się że twój wzrost ma się tak samo do sumy, jak twoja tusza do wzrostu. Tak budowali dawni Grecy, nazywając to złotym podziałem, taka też była świątynia w Jerozolimie przed zburzeniem”. Pamiętał, objął serdecznie ojca, wdzięczny za to wyjaśnienie, lecz niepotrzebnie się cieszył. „Szyja, w którym roku zburzona została świątynia jerozolimska? Jakim równaniem wyraziłbyś algebraicznie złoty podział? Trzy minuty z zegarkiem w ręku! Stawka: deser po obiedzie. Zjesz dwa albo żadnego”. Nie zjadł

żadnego, bo mimo treningu ojca nie umiał wzbudzić w sobie zamiłowania do nauki. O złotym podziale przypomniał sobie dopiero przed siedmiu laty, gdy jeszcze pracował w warsztacie mechanicznym u Glincmana i przyszło mu reperować fiata pięćsetósemkę. Dwudrzwiowe auto niemal oddawało te proporcje i chociaż nie miało prawa prezentować się na szosie naprawdę elegancko, tak cieszyło oko, aż chciało się przejechać dłonią wzdłuż karoserii. Niestety, chociaż w Warszawie wiele takich fiacików wozilo pasażerów, na prowincję były za mało wystawne; tu, gdy ktoś od wielkiego święta chciał jechać taksówką, to miała prezentować się jak limuzyna prezydenta Mościckiego. Dlatego trzy lata później Szyja Gross kupił na raty przechodzonego, długiego jak furmanka cws-a i przynajmniej z wierzchu odmłodził auto o dobre dziesięć lat.

I albo to spodobało się inspektorowi, albo po prostu czuł sentyment do starej polskiej marki. Gross widział, że pasażer z przyjemnością rozpierał się na tylnej kanapie, stukając palcami w tapicerkę.

– Chcecie być gliną czy idiotą? – zapytał tajniaka z pozoru ostro, lecz szofer pamiętał podobny ton u ojca. Nie straszył, żeby straszyć, tylko budzić respekt. – Ja u siebie codziennie przeglądam nawet gazetę w jidysz.

Taksówkarz tylko na chwilę ułowił w lusterku wzrok rosnącego pasażera. Mówił serio? Na poliglotę to on nie wyglądał.

– Pierwszą stronę macie już za sobą – rzucił do młodszego tajniaka, podczas gdy taksówka zdążyła wykręcić w ciasnych skrzyżowaniach starego Chełma i przyspieszyła na szerokiej ulicy Kolejowej w stronę Nowego Miasta. Po zmroku Gross nie przyjąłby kursu na takie przedmieście, chyba że płatny z góry. – Odwróćcie na drugą. Tytuł taki sobie, ale i wasza „Kronika” nie „Express Lubelski”! Przeczytaliście? No to powiedzcie, dlaczego mi poleciliście Fuhrmana?

– Uprzedzałem pana komisarza, że kierownik Hejrowski nie będzie zadowolony. – Tajniak złożył gazetę.

Gross oczywiście patrzył głównie na drogę, żeby nie zderzyć się z furmanką ani nie przejechać kogoś z dzieciaków, które tabunami biegały po jezdni obok szkoły, jakby to było



podwórko. Lusterka wsteczne wymyślono jednak nie tylko dla poprawienia bezpieczeństwa jazdy.

– Ale nic nie powiedzieliście, że to psychiatra! – warknął ten postawny gość. Szofer miał wrażenie, że skądś go znał, jakby widział tę twarz na jakimś zdjęciu. Na liście gończym albo w „Przeglądzie Sportowym”, który nie tylko czytał, odkąd skończył dwanaście lat, lecz także wciąż przechowywał wszystkie numery.

– Pan komisarz prosił o dobrego lekarza. – Tajniak oddał gazetę swojemu inspektorowi. – Doktor Fuhrman niby jest od wariatów, ale kiedy mój młodszy brat miał zapalenie ucha, laryngolog uznał, że przynajmniej na jedno będzie głuchy nieodwołalnie. A jak wziął się za to Fuhrman, to mój brat dziś śpiewa w chórze cerkiewnym.

– I ja, z całym szacunkiem, powiem panu inspektorowi, że doktor Fuhrman o ładnych kilka lat przedłużył życie mojemu ojcu – wtrącił się do rozmowy Szyja Gross, mijając dworzec kolejowy i aleję Marszałka Piłsudskiego, przy której w oddali rosły dwupiętrowe kamienice i większy niż synagoga, nawet niż katedra, gmach dyrekcji kolei.

– Będzie okazja, to przekażę doktorowi, jacy obaj panowie mili. Daleko jeszcze do więzienia? Zaczeka pan tam na nas – polecił postawniejszy z gliniarzy, wygrzebując z kieszeni papierosa.

Więzienie? Szyi Grossowi taki finał kursu wydawał się wyjątkowo pechowy. Przynajmniej jednak nie straci na interesie z Pliszczyckim!

\*

Mnie pan nie przestraszy! – wybuchnął Leszyna. – To nie jest morderstwo, tylko nieszczęśliwe spowodowanie śmierci. Chcę wrócić do celi!

Rozmównica była zajęta, więc stali na spacerunku w miłym cieniu majowego popołudnia. Chyba zbierało się na burzę, bo zapanowała duchota, jakby byli w Sokolim Gnieździe z *Głosu pustyni*, gdzie Bodo wyszczerzał zęby jako krwawy szejek Beduinów, a piękna Nora Ney potrzasała bransoletkami na

dłoniach i stopach. Zyga pamiętał, jak Róża dąsała się po seansie, że nie zabiera jej nawet nad polskie morze. Jakby to nie wiedziała, że komisarz policji nie dostaje dygnitarskiej pensji! Pod Lublinem zresztą też dość wody, wystarczy pojechać jedną stacją do Zemborzyc. Słońce do opalania się wszędzie jest przecież takie samo, a on miałby gdzie usiąść z wędką... Nie uznała tego za hojną ofertę, podobnie jak Leszyna nie okazał wdzięczności za spacer poza regulaminem.

– Powiedziałem panu, chcę wrócić do celi – przypomniał burkliwie aresztowany, nieco zbity z tropu milczeniem komisarza.

Maciejewski zerknął najpierw na Horejuka, który zgodnie z rozkazem miał stać z boku i notować każde słowo, potem na dawnego zapaśnika. Wyjął papierosa i sadystycznie zaczął go ugniatać.

– Nieszczęśliwe spowodowanie? Nie ma takiej kwalifikacji. – Pokręcił głową. – Pan już siedział w więzieniu, powinien lepiej znać kodeks.

– Nie jestem adwokatem, a pan i tak dobrze wie, co mam na myśli. Pan Miazgarski znajdzie mi adwokata i wyjdę stąd, zanim się pan obejrzy.

Komisarz westchnął z bólem. Na wieżyczce klawisz w brudnozielonym mundurze odstawił karabin i oparty o poręcz, wystawiał głowę do słońca wędrującego powoli wzdłuż szosy na Lublin.

– Panie Leszyna... – Maciejewski popatrzył mu wymownie w oczy. Zrobił pauzę, specjalnie bez pośpiechu szukając w pudełku zapalek niespalonej. – Już by mnie tu nie było, gdybym nie chciał panu pomóc, czy pan w to wierzy, czy nie. Jestem oficerem inspekcyjnym, a nie śledczym. Gdybym nie podziwiał pana na arenie jako młody chłopak, dawno bym to odfajkował. Jeżeli jednak chce pan wiedzieć, to pan Miazgarski nie tylko nie wspominał nic o adwokacie, ale i został wiarygodnym świadkiem oskarżenia. Pan może liczył, że z jego pomocą związek zrobi pana jeszcze trenerem? – Komisarz zaszarżował na czuja.

I trafił. Leszyna potrafił walić w mordę, kłaść na łopatki albo

milczeć w śledztwie. Robienie dobrej miny do złej gry wychodziło mu znacznie gorzej. Po pytaniu Zygi nerwowo zacisnął zęby i pięści, po czym splótł ręce na piersi, jakby chciał założyć chwyt obronny przed przeciwnikiem rozciągającym go w parterze do finałowego przyłożenia.

– Miazgarski wystawił pana. Wszyscy pana wystawili. – Tu komisarz urwał na chwilę, bo jak rzadko kiedy w służbie śledczej uznał, że prawda będzie jego najlepszą bronią. – Poza jednym Dubowem, który na pańską korzyść odstawia poczciwego idiotę. Panie Leszyna, pan może uznać, że próbuję pana podejść, ale prawda jest taka, że wszyscy w tym mieście już uwierzyli w pańską winę. Poza mną. Ja nie chcę w nią uwierzyć, ale tylko dlatego, że nie chcę brudzić sobie wspomnień. Niech się pan obroni, bardzo pana proszę.

Maciejewski nigdy wcześniej nie położył przed przesłuchiwanym serca na dłoni. No może raz, gdy cisnął Trąbicza, ale to było osiem lat wcześniej! Wtedy nie nabral jeszcze rutyny i łatwiej przychodziły mu odruchy serca.

– Mam najwyżej kilka dni, aby panu pomóc, tylko i pan musiałby powiedzieć prawdę – dodał, bez pośpiechu zapalając papierosa.

Spod bibułki wypełzła smużka dymu początkowo zwarta, zaraz rozplynęła się w czystym majowym powietrzu. Zyga delectował się tą chwilą nie tylko jako stary nikotynista. Wyczekał, aż zapach podrażni węch aresztowanego, po czym niefrasobliwie wydmuchał dym nosem.

– Panie Leszyna, pan ma jeszcze trochę czasu do namysłu. Nie wiem ile. Dzień, może dwa... Zaczekam, ile będę mógł, ale kiedy ruszy prokurator, będę bezsilny, proszę to mieć na uwadze.

Więzień uparcie wpatrywał się w jasny mur okalający spacerniak.

– Nie mogę panu pokazać protokołów z przesłuchania Miazgarskiego, ale mogę pokazać to. – Maciejewski strzepnął popiół i wyjął z kieszeni „Kronikę Nadbużańską”. – Niech pan czyta tu, na tej stronie.

## MORDERCA ZBYT DŁUGO TOLEROWANY!

*Winny morderstwa Wiktor Leszyna (lat 47) aresztowany przez Policję milczy, jakkolwiek zwłaszcza w naszym mieście wiadomo o nim wiele. Właśnie w niegdysiejszej guberni chełmskiej Leszyna, wówczas czynny zapaśnik, zarejestrowany został ok. 1910 r. jako czynownik niesławnej tajnej policji carskiej, agent ochrony. Wrócił do Chełma w 1928 r., odsiedziawszy wcześniej wyrok kryminalny w w-wskim więzieniu mokotowskim. Przyjął go pod swój dach i dał mu pracę oraz chleb znany tutaj. filantrop Aleksy Dubow, wł. wartej polecenia gospody chrz. „Targowica”. Ukrywający się pod maską przykładnego obywatela Leszyna nie wzbudził dobrej opinii ani zaufania, a jednak żył w Chełmie niemal 10 lat. Tolerancja ma swoje granice! Bezdzusznego zbrodniarza wskazali liczni świadkowie, wśród nich sędzia Pol. Zw. Atletycznego W. Miazgarski. P. prokurator Ignasiak żądać będzie kary śmierci.*

Komisarz chwilę spokojnie palił, czekając, aż bezdzusny zbrodniarz pozna poglądy opinii publicznej.

– Poproszę strażników, żeby nie zabrali panu gazety – obiecał łaskawie.

Leszyna oddał mu ją ze wstrętem, ale i to Zyga przewidział.

– Źle pan robi. – Zasmucił się aktorsko, poprawiając kapelusz. – Niech się pan z tym prześpi, panie Leszyna.

Aresztant ruszył w stronę drzwi i kilkakrotnie zastukał, jak na obyczaj więzienne za delikatnie, za cicho. Strażnik na wieży powoli założył karabin na ramię, potem zszedł bez pośpiechu. Minęło parę minut pełnych nerwowego milczenia, nim już bez broni dozorca otworzył Leszynie wrota na oddział. Maciejewski zdążył w tym czasie wypalić i zdeptać papierosa, a Horejuk uzupełnić notatki. W progu Leszyna odwrócił się i patrząc na suchą, białawą ziemię spacerniaka, powiedział:

– Co miałem do zakomunikowania, to napisałem.

Minął znudzonego strażnika i zniknął w więziennym

korytarzu, zostawiając zaskoczonego Maciejewskiego z otwartymi ustami.

– No i co myślicie? – zapytał komisarz wywiadowcę, kiedy zostali już tylko we dwóch.

– Wszystko zanotowałem, tak jak pan inspektor rozkazał. – Tajniak wykręcił się od odpowiedzi. – Taksówka czeka.

– Czekala tyle, to poczeka jeszcze. – Maciejewski sięgnął po papierosa. – Musimy porozmawiać z naczelnikiem, bo najwyraźniej pan sędzia śledczy nie raczył nas o czymś powiadomić. Cokolwiek jednak o nim myśleć, nie powinien sprowadzać prasy do knajpy Dubowa.

– Dubow należy do Związku Polskiego, walczy z zażydzeniem miasta. – Horejuk schował notes do kieszeni, podejrzliwie patrząc na oficera, który nie rozumiał spraw oczywistych. – A ja nie wiem, jak prokurator Ignasiak, ale sędzia Szydłowski popiera związek od lat.

– Sędzia śledczy przecież nie może należeć do Związku Polskiego. Nie wolno mu nigdzie należeć! – Zyga omal nie złamał w palcach zapalki, traf chciał, że niespalonej.

– Ma pan inspektor rację. Do Związku Polskiego należą za to obaj bracia pana sędziego, małżonka i syn. Więc on już należeć naprawdę nie musi.

Maciejewskiemu odechciało się nawet palić. I słusznie, lecz nie uprzedzajmy wypadków...

## Rozdział 6

### – Rózczką Duch Święty dziateczki bić radzi

*Chełm, poniedziałek 16 maja 1938 roku*

*Ja, niżej podpisany Wiktor Juliusz Leszyna, syn Ignacego i Marianny, urodzony 12 sierpnia 1890 roku w Nowej Aleksandrii, obecnie Puławy, z własnej woli oświadczam, że dnia 14 maja 1938 roku około godziny 8 wieczorem zabiłem Waclawa Zimowskiego, maturzystę. Skręciłem mu kark chwytem zapaśniczym prawego ramienia przez uchwyt głowy pod żuchwą w łuku podłokciowym w pozycji stojącej, mając ofiarę przed sobą odwróconą plecami. Do nieszczęścia doszło na skutek zatargu, jako że zastałem Waclawa Zimowskiego w korytarzu na zapleczu gospody „Targowica” przy ul. Reformackiej 9, gdzie gościom przebywać nie wolno. Fakt ten zdenerwował mnie. Nadmieniam, że Waclaw Zimowski był wysportowanym człowiekiem, o czym może zaświadczyć na przykład p. Waclaw Miazgarski z zarządu Pol. Zw. Atletycznego. Przestraszywszy się odpowiedzialności karnej, wyniosłem zwłoki i położyłem na wozie pozostawionym obok gospody, którego właściciela nie znam, następnie przykryłem Zimowskiego leżącą na wozie derką i wróciłem do pracy w gospodzie. To wszystko, co mi wiadome i mam do powiedzenia i powtarzać tego samego w śledztwie po sto razy nie będę. Czynu swego, jak również próby zatajenia śmierci Zimowskiego żałuję.*

Komisarz Maciejewski odłożył pismo na niewielkie biurko między telefon a przybornik z piórami i bibularzem. Siedzący naprzeciw podkomisarz Dłużniewski, szczupły mężczyzna

z krótkimi wąsikami, spojrział wyczekująco, opierając dłonie na blacie. Niewygodny mundur zapięty pod szyją zmarszczył mu się na karku, ale niewielka strata, pomyślał Zyga. Brzydka, przejaskrawiona zieleń, w jaką ubierano Straż Więzienną, prezentowała się przyjemnie tylko na zdjęciach czarno-białych.

– I pan naczelnik, rozumiem, wciągnął to do akt, informując jedynie sędziego śledczego? – mruknął Maciejewski.

Po pułapce z gazetą, jaką zastawił na Leszynie, prawdę mówiąc, nie spodziewał się szybkich efektów. Miał jednak nadzieję docisnąć podejrzanego osobiście, póki jeszcze będzie miał mętlik w głowie. Dla jego dobra, do cholery! Nieraz zdarzało mu się już łamać kryminalistów udających niewiniątka, ale skłaniać do odwołania zeznań nigdy.

– A co miałem zrobić, zdaniem pana komisarza? – Dłużniewski wzruszył ramionami. – Więzień milczał, zapowiedział tylko, że ma coś pisemnie do zakomunikowania, ale rozmawiał z nikim nie będzie. Nie znam przecież sprawy, panowie też nas nie informują – zauważył. – A on twardy zawodnik, ruska szkoła.

– Ruska szkoła? – nie zrozumiał Zyga. – W jakim sensie?

– Nie wie pan? – Naczelnik uśmiechnął się pod wąsem. – Leszyna był za cara agentem ochrony.

– Wierzy pan w to, co wypisują po gazetach? – Maciejewski machnął ręką.

– Nie, ale słyszę o tym od czterech lat, odkąd jestem w Chełmie – powiedział Dłużniewski.

Komisarzowi znów stanęła przed oczami scena z czasów gimnazjalnych. Powoli stawało się jasne, dlaczego jego idol mógł bezkarnie obnosić się w cyrku w biało-czerwonym stroju, a panowie w melonikach, o ile również nie byli przebierańcami, dali się łatwo spławić. Zaczynał też lepiej rozumieć, skąd taka niechęć ciotki do fascynacji przyszłego komisarza polskim zawodnikiem.

– Tutaj to tajemnica poliszynela. – Naczelnik poczęstował Zyge papierosem. Wyjął z szuflady masywną szklaną popielnicę. – Podobno policja polityczna sprawdzała także pana Dubowa.

– Pana Dubowa? – Maciejewski zgniótł bibułkę w palcach. – Wszyscy mówią tu o nim z dużą atencją, a przecież kacap.

Otworzyły się drzwi i młody chłopak jeszcze bez dystynkcji na rękawie munduru wniósł tacę z dwiema parującymi szklankami i cukiernicą.

– Bądźmy sprawiedliwi, kto zrobił z Chełma miasto, jak nie kacapy? I Żydzi, oczywiście – dodał nad wyraz sprawiedliwy naczelnik więzienia, jednak dopiero kiedy młodszy dozorca wyszedł. Podał komisarzowi ogień. – Skoro pan stara się protegować Leszynę, nie moja sprawa. Uprzedzam tylko, że to strata czasu i nerwów, chyba że ma pan takie plecy, by przenieść sprawę do Warszawy albo lepiej jeszcze dalej, na przykład do Poznania.

– Nie jest pan pierwszym, który daje mi dobre rady, ale dziękuję. – Zyga uśmiechnął się półgębkiem. Od większych objawów serdeczności w służbie odwykł, chociaż Dłużniewski i tak mówił mu więcej niż taki Hejwowski. – Sprawa wygląda niestety tak, że zabił kowal, a Cygana powieszą. Nie ma jednoznacznych dowodów, a im Leszyna usilniej się przyznaje, tym mniej mu wierzę. Moim zdaniem jedynie ukrył zwłoki, tylko zabrał się do tego amatorsko. I leci teraz jak ćma do lampy.

– Proszę pana, odkąd przejąłem po panu naczelniku Bidzie ten rządowy hotel dla niewinnie posądzonych, proszę mi wierzyć, że jest mi naprawdę wszystko jedno, jak było. – Naczelnik więzienia poczekał, aż Maciejewski przesłodzi kawę i sam wsypał łyżeczkę cukru do swojej filiżanki. – Jeżeli przekona pan prokuratora, żeby na miejsce Leszyny dać mi kogoś innego, to proszę uprzejmie. Też będę pozwalał mu składać pisma, skargi i inne zażalenia, bo po ludzku rozumiem, że tym kryminalistom się nudzi. Wie pan, ile tego mam każdego dnia? Nie wie pan. To proszę się nie dziwić, że nie robię wielkiej afery z oświadczenia więźnia śledczego Leszyny.

Kiedy kwadrans później Maciejewski wracał długim więziennym korytarzem, minął dwie gazetki ścienne. Jedną, bezczelnie przypochebną, wdzięczni kryminaliści przygotowywali na cześć dwudziestolecia więziennictwa



odrodzonej Rzeczypospolitej, drugą, wiszącą pewnie od zeszłego tygodnia, w dwunastą rocznicę objęcia władzy przez świętej pamięci Marszałka i jego pułkowników.

– Uroczą robotę ma pan naczelnik – burknął Zyga pod nosem.

W złą godzinę.

\*

Z Horejukiem mógł rozmówić się na komendzie, ale tam nie dziabnąłby kielicha do późnego obiadu. Uczyniwszy to, komisarz Maciejewski spróbował śledzia w śmietanie i dopiero potem wyrzął na świat.

Parterowy wyszynk, w którym siedzieli, dociśnięty do dwóch kamienic od strony ulicy wyglądał jak smętny klocek. W środku jednak pachniało niezłe, a ze stolika przy oknie czuć było puls miasta. Nierówny – o ile tutaj, przy rynku, na budowach czy na Lwowskiej roili się ludzie, o tyle reszta powiatowej stolicy drzemała, śniąc niezdrowe, złośliwe koszmary po ciężkostrawnym popołudniowym posiłku. Jako oficer inspekcyjny Maciejewski nie musiał rozumieć niuansów, lecz skoro znów wszedł w skórę śledczego, stanowczo powinien. Na razie przypomniał sobie ku analogii o dawnej sekretarce z lubelskiej komendy. Sam przespał się z nią tylko prawie, bo podlał koniakiem kilka zarwanych pod rząd nocy. Natomiast Tadek Zielny, jeden z jego najlepszych tajniaków, sekretarkę skonsumował. Pozując na dżentelmena, nie wchodził w detale, zwierzył się wszakże: „Zagadkowa kobieta: gorąca pupa, zimne nogi”. Coś jak Chełm...

Zyga zamówił drugi kieliszek i zaraz wlał go sobie do kawy, a szkło natychmiast oddał kelnerowi. Horejuk siedział natomiast sztywno nad herbatą z konfiturą, jakby bał się prowokacji.

– Zapalcie chociaż papierosa. Zamówić wam ciasteczko? – Komisarz łyknął kofeiny z prądem. – Nie myślcie, Horejuk, że ciągam was ze sobą ze złośliwości. Ja tylko potrzebuję was jak lustra, żeby do niego pić i do niego mówić, i patrzeć, co się dzieje za moimi plecami. No bo że nie powiecie mi zawczasu,

co w Chełmie piszczy, to już się przekonałem.

– Przepraszam pana inspektora, ale nie wydał pan polecenia.

– Owszem, jestem wobec was okrutnie niesprawiedliwy, myśląc sobie, że będziecie Duchem Świętym. Na marginesie, u was, prawosławnych, Duch Święty też wszystko wie, tylko trzyma mordę na kłódkę? Bo u nas, katolików, tak, jest bardzo charakterny. – Maciejewski obtoczył śmietanowym sosem dzwonko śledzia i wsadził sobie do ust. – Jak zauważyliście pewnie, Horejuk, liczyłem na to, że Leszyna okaże odruch samozachowawczy i postanowi wyjść z aresztu. To był wielki człowiek, mówię wam, niestety teraz głupszy od robaka. Zauważcie, Horejuk, jak nadepczecie robaka, on stara się przynajmniej odpełznąć, a ten?! – Mówiąc to, Zyga systematycznie wyciągał z pudełka zapalek zwęglone drewnianka, aż wreszcie trafił na niespaloną i mógł zaciągnąć się papierosem. Pstryknięciem zwrócił uwagę kelnera, by domówić jeszcze pięćdziesiątkę monopolki. Natychmiast utonęła w kawie. – Wobec powyższego, Horejuk, będziecie odpowiedzialni za dwie rzeczy. Po pierwsze, powrócicie do waszych niezidentyfikowanych muskularnych trupów męskich. Przejrzelście dokładnie ich koszmarne wykonane zdjęcia?

– Tak jest, przejrzałem. – Albo do herbaty dano mu za mało konfitur, albo tajniak wbrew swej okrągłej twarzy nie należał do łasuchów, bo skrzywił się jak po gorzkim lekarstwie. – Jeden ma tatuaż. To chyba jedyny punkt zaczepienia...

– Tatuaż? – Zyga zamieszał kawę. – Był widoczny na zdjęciach? Bo nie przypominam sobie.

– Nie był sfotografowany, za to ja go osobiście widziałem. Mogę narysować. – Wyjął z kieszeni notes i nakreślił ołówkiem kotwicę owiniętą łańcuchem.

– Bardzo kinowo dawkujecie mi informacje – burknął Maciejewski. – Wiecie więcej, niż na to wyglądacie, tylko jak to Rusin nie ufacie polskiemu panu, tak?

– Pan inspektor o to wcześniej nie pytał – powtórzył spokojnie wywiadowca.

– Doskonale, więc od teraz, nawet milcząc, pytam was o wszystko, co tylko mądrego przychodzi wam do głowy.

Potelefonujecie jutro do komend i spróbujecie ustalić tożsamość tego wytatuowanego. Marynarz jakiś? Jakim sposobem dopłynął tu od samego morza waszą głównianą Uherką? A druga rzecz, chcę natychmiast wiedzieć, cokolwiek by się działo wokół Leszyny albo Dubowa. Wiecie, dlaczego uparłem się zrobić u niego... remanent? – Komisarz zająknął się i zmienił słowo, bo akurat inny klient knajpy chwiejnym krokiem przechodził obok ich stolika.

– Dla porządku. – Horejuk opróżnił swoją szklanę herbaty niemal do linii fusów.

– Nie, dla złego samopoczucia – powiedział Zyga, też wypijając większość swojej tak zwanej kawy. – Dla zirytowania, po pierwsze, komisarza Hejwowskiego, a po drugie, Dubowa, Leszyny i wszystkich innych, którzy mogą mieć związek ze śmiercią Zimowskiego. Zirytowani ludzie popełniają błędy. Wiercie mi, ale poza tym, że nie wierzę w winę Leszyny, nie mam pojęcia, kto zabił tego chłopaka.

– Komisarz Hejwowski? – zapytał tajniak z kamienną twarzą. Zyga skinieniem głowy docenił dowcip. Dopił kawę i podnosząc portfel, przyzwał kelnera z rachunkiem.

– Będę w hotelu, bo muszę i to przemyśleć. Odmaszerować, Horejuk! – rozkazał.

W tej legendzie było ziarno prawdy. Rzeczywiście potrzebował przemyśleć na spokojnie sprawę zabójstwa i niewiarygodnego podejrzanego. Przede wszystkim jednak wódka, mimo że wlana do kawy, zamiast rozjaśnić umysł, zaczynała go usypiać.

\*

*Lublin, rok 1912*

Zygmuś klęczał w kącie między słabującą palmą daktylową a etażerką z dziełami Sienkiewicza, Kraszewskiego i Wincentego Pola, zdaniem gimnazjalisty, starego nudziarza. W wyprostowanych rękach trzymał nad głową ciężkie żeliwne żelazko, ciotka zaś miotała się po salonie, z coraz większym trudem powstrzymując łzy.

– Może już masz dość? Przeprosisz i obiecasz, że więcej

nigdzie nie pójdziesz z tym łobuzem? – zapytała wreszcie. – Daruję ci karę.

– Bardzo ciocię przepraszam i bardzo cioci dziękuję – powiedział twardo Zygmus. – Za żadne skarby świata nie chciałbym cioci martwić, ale ten łobuz jest moim przyjacielem. Ciocia tego nie może zrozumieć, za to ja rozumiem ciocię i jestem wdzięczny za karę. Wyrobię sobie mięsaki.

– Ty mnie do grobu wpędzisz! – zawołała, miętosząc fałdy sukni.

– To niemożliwe, proszę cioci! – odwzajemnił się okrzykiem siostrzeniec, a potem już cedził z wysiłkiem: – Wkrótce będzie wojna i ja zginę za wolną Polskę, a ciocia, o ile mnie szrapnel nie rozszarpie nie do poznania, będzie składała kwiaty na moim grobie. Ciocia zobaczy, że mnie przeżyje, takiz los polskiej kobiety...

– Zostaw już to żelazko i wstań, ja cię proszę, moje dziecko! – Z trudem się powstrzymała, żeby nie walnąć pięścią w okrągły stolik do kart, lecz dałaby tym fatalny przykład wychowawcy.

– To niemożliwe, proszę cioci! – sapnął Zygmus. Szczęśliwie tylko tapeta w kwiatowe wzory mogła zaświadczyć, jaki był czerwony na twarzy i jakże bliski płaczu. – Ciocia kazała mi tak klęczeć pół godziny, a ja mam obowiązek słuchać się kochanej cioci.

– Mój Boże, jaki ty jesteś podły! – Nie wytrzymała i wyszarpując siostrzeńcowi z rąk żelazko, przyklękła i wzięła chłopca w objęcia. – Jak ja cię kocham, Zygmusiu!

– I ja nikogo tak na świecie nie kocham jak ciocię – zapewnił z ulgą. – I zostanę starym kawalerem, bo na całym świecie nie spotkam takiej kobiety jak kochana ciocia. Ja ciocię zapewniam! Ale Miazgarski jest moim serdecznym przyjacielem i ciocia musi zrozumieć, że są pewne sprawy między mężczyznami...

Spodziewał się, iż wyrzekł coś nad wyraz dorosłego, co powinno trafić do przekonania na wiarę, prawem zaklęcia, bez zbędnych słów komentarza. Ciotka okazała się jednak sceptyczna niczym niewierny Tomasz, bo chociaż jeszcze przed chwilą niestosownie klęczała wraz z siostrzeńcem na dywanie,

naraz podniosła się, chwyciła go pod brodę i badawczo spojrziała chłopcu w oczy.

– Ale nie kazał ci, uchowaj Boże, bawić się z nim po grecku ani nic takiego?

– Ciocia mnie zawstydzła! – Zygmunt spalił raka.

– Ciocia nie jest głupia – westchnęła, gładząc go po głowie. Chociaż w tej niewygodnej pozycji gorset wrzynał jej się boleśnie w lędźwie, z czułością wtulała w siebie chłopca, który już czuł się dorosły, lecz jeszcze tak nie pachniał. – Wiesz, Zygmunty, że gdybyś kiedykolwiek potrzebował rady albo pomocy, to masz mnie, prawda?

– To ciocia ma mnie do pomocy! – zaproponował oburzony. – W każdej godzinie. To ja w tym domu jestem mężczyzną!

\*

*Chełm, poniedziałek 16 maja 1938 roku*

Maciejewski ocknął się i z zadziwieniem spojrzął na swój rozporek. Materiał spodni wybrzuszał potężny, gruchowaty kształt. Aż o tyle męskości nigdy się nie posądzał.

Ktoś zapukał do drzwi po raz kolejny. Zyga wstał z hotelowego łóżka, potrącając stolik nocny. W połowie opróżniona butelka żywieckiego zachybotowała się, ale zdążył ją złapać, za to z popielniczki wypadł niedopałek zgnieciony w znak zapytania, brudząc i tak nie za czysty hotelowy obrus. Komisarz niezgrabnie podszedł do drzwi; prawa noga zupełnie mu zdrętwiała. Nacisnął klamkę, lecz było zamknięte.

Dopiero po trzecim pukaniu, wciąż przymroczone drzemką, sięgnął do kieszeni i wyjął klucz na drewnianym breloku w kształcie dojrzałej gruchy. Drętwienie nogi z miejsca ustąpiło, a i męskość komisarza nie stanowiła już dumy narodowej. Maciejewski otworzył.

Na progu stał Horejuk, w rękę niczym policyjną pałkę trzymając pompkę rowerową, której wołał nie zostawiać przy ramie, żeby ulicznicy nie ukradli. Zdążył przebrać się w kraciastą marynarkę, koszulę z wykładanym kołnierzem i jasną letnią cyklistówkę. Najwyraźniej spuszczone z oczu

wrócił do domu i zajął się cywilnymi sprawami, o czym świadczyły niedokładnie umyte ręce z ziemią za paznokciami. Miał szczęście, że jego kierownik, przeczulony na punkcie higieny, tego nie widział.

– Jesteście pasjonatem ogrodnictwa? – Komisarz, wciągając brzuch, wpuścił wywiadowcę do wąskiego korytarzyka z szafą i umywalką.

– Nie, ale lubię ogórki małosolne. Mam wiadomość dla pana inspektora.

– No to usiądźcie sobie. – Wskazawszy krzesło, Zyga upchnął koszulę w spodnie. – Pewnie pilną, skoro komisarz Hejwowski nie poczekał do rana, żeby przekazać mi ją osobiście wraz z którąś ze swoich dobrych rad. I pewnie złą, skoro właśnie was przysłali mi na pożarcie.

Ukradkowym kopnięciem komisarz posłał walający się na podłodze niedopałek pod łóżko. Sam usiadł w pościeli i zapalił papierosa. W zapalkach akurat grzebać nie musiał, bo po wyjściu z knajpy kupił dwie paczki i „Przegląd Sportowy” w kiosku obok pachnącego pieczywem, przyprawami i pastą do butów Okrągłaka. Kiosku nie było na widokówce posłanej Róży, więc nabył kolejną. Ze znaczkiem kosztowała wprawdzie czterdzieści groszy, pół obiadu w podłej knajpie, za to rozkładana na trzy części, przedstawiała panoramę Chełma: skupisko budyneków wokół górki z katedrą, chałupinki czepiające się jak rzepy psiego ogona głównych ulic wyjazdowych, poza tym głównie pola i łąki. Zrobił atramentem gwiazdkę, krzyżyk i kółko, by opisać na odwrocie:

*Kochana Rózo!*

*„Chołmok horodok pid nebesa wysok” – mówią miejscowi.*

*\* Tu jest burdel, ale jeszcze nie byłem.*

*x Tu jest knajpa, tu oczywiście byłem.*

*o Tu znaleźli interesującego trupa i zostaną dłużej.*

*Twój Z.*

Wrzuciwszy widokówkę do skrzynki, myślał powąłęsać się po chełmskim śródmieściu, odpędzić senność i poobracać w głowie wydarzenia ostatnich dni. O ile śpik go odszedł, to zastanowić się nad sprawą nie dał rady, na rynku panował zbyt ni harmider. Żydowsy luftmensze, przez urzędy notowani jako ludzie bez zajęcia, gardłowali w pocie czoła i wymieniali się banknotami oraz asygnatami. Co chwila ktoś podchodził do nich i zamieniwszy kilka zdań, znikał w bramie lub jednej z bocznej ulic. Podobno w ten sam sposób co sekundę przenikają ziemską materię kosmiczne elektrony, Maciejewski czytał o tym w „Expressie”. Przypuszczał jednak, że elektrony nie kłębią się tak, a już na pewno tak nie hałasują.

Nie dawali się skupić, nawet kiedy usiadł w knajpie naprzeciwko Szkolnej, więc nie dopaliwszy papierosa, wziął dwie butelki piwa na wynos, chociaż rozlane w kufle byłyby tańsze. Upchane po kieszeniach, zmieniły jego sylwetkę w rewolwerowca z amerykańskich filmów; pewnie dlatego tak dziwnie przyglądał mu się dzieciak w krótkich spodenkach, kiedy komisarz szukał spokoju na ławce obok sterczącego pomnika poległych w wojnie bolszewickiej. Orzeł na obelisku zachowywał się przyzwoicie, natomiast przysiadające mu pod skrzydłami wróble srały co chwila. Stary, siwy wasał, który przyprowadził tu dzieciaka, stuknął małego laską i obaj zasalutowali obeliskowi, a Maciejewski, z dwoma żywcami niczym kołty, odszedł Lubelską w stronę zachodzącego słońca.

Tylko że w hotelu zaraz zasnął.

– Więc o co chodzi, Horejuk? – Zyga poprawił krawat i łyknął piwa z butelki. Po namyśle sięgnął ręką za łóżko, by podać tajniakowi drugiego żywca.

Wywiadowca pokręcił jednak głową.

– Anonim. – Z bocznej kieszeni marynarki wyjął szarą kopertę. – Wczoraj pod wieczór przyszedł pocztą do komisariatu na Młynarskiej. Dzisiaj przesłali wszystko razem do nas do wydziału raportem zbiorczym.

– Wcześniej byli na grzybach, że nie mieli czasu? – warknął Maciejewski, otwierając kopertę.

– Na grzyby jeszcze za wcześnie, panie inspektorze –  
sprostował Horejuk.

*Zgodnie z rozkazem z dnia 27 stycznia b. r. melduję, że do tut. komisariatu w dniu ubiegłym wpłynęły następujące anonimowe doniesienia, które załączam do meldunku:*

*1/ Na Majera Dobkowskiego, właśc. kiosku przy rynku / Pl. Łuczowskiego/, że nie wystawia w sposób widoczny dla klientów polskiej prasy narodowej, ukrywając ją pod „Chelemer Sztyme”. List pisany ręcznie, poprawnie.*

*2/ Na Perłę Zajdmanową, właśc. kina „Apollo” przy ul. Pierackiego. Zajdmanowa, która utraciła koncesję z powodu sprzedaży nie rejestrowanych biletów, następnie sprzedała firmę p. Lubaszewskiemu. Anonim podaje, iż był to interes na tzw. „lipę”, ponieważ Zajdmanowa jest widywana w kasie kina i dalej prowadzi swój handel pod cudzą firmą. List pisany ręcznie, poprawnie, z kleksami.*

Maciejewski odwrócił stronę i następną.

*7/ Na Władysława Miazgarskiego, czasowo zam. w Chełmie w zajeździe „Targowica”. Anonim podaje, iż Miazgarski jako sędzia sportowy i organizator walk zapaśniczych w tut. Cyrku Sportowym, wymusił kilkakrotnie większą sumę pieniędzy od Aleksego Dubowa, właśc. w. w. zajazdu. List pisany na maszynie, z poprawkami. Na odwrocie kartki znajduje się napisany ręcznie i zamazany fragm. wiersza „przed państwem maska czarna i bestia biała, która łańcuchy rozerwała”.*

– To Zimowski. – Zyga odłożył papiery. – Ta grafomania na odwrocie! Rozumiecie? Leszyna od początku był wystawiony, Dubow... Tak, dałem się zwieść, jednak zbyt oczywisty. Smażyłby spokojnie kaszanke, gdyby gotowało mu się pod dupą?



– Ale...

Komisarz nie dał mu dokończyć.

– Ale to angielskie piwo! – Prawą ręką sięgnął po walającą się wśród pościeli marynarkę, a lewą do szuflady stolika nocnego po kaburę z rewolwerem. – Nie patrzcie na to, że to mój dawny przyjaciel. Glina nie ma przyjaciół.

– Ale Miazgarski zniknął. Od śniadania nie było go w zajezdzie – wyrzucił z siebie Horejuk.

Komisarz opróżnił butelkę. Piwo było zwietrzałe, lecz gimnazjalny sentymentalizm drapał go w gardle bardziej niż ostra goryczka żywca.

## Rozdział 7

### – Teuton wydał wojnę Wandzie, pięknej dziewicy

*Chełm, poniedziałek 16 maja 1938 roku*

Sieniawa był mocny przy wódce, ale widocznie nie gdy przyszło co do czego. Feluk, zły na siebie, już dwa razy odwiedził pocztę, a teraz przyspieszył kroku, by zdążyć jeszcze przed zamknięciem. A po łbie krążyły mu coraz głupsze myśli.

Na przykład ten gość, starszawy mizerota, który sapiąc, otwiera zniszczoną teczkę, by podać urzędnicze kopertę razem z wypełnionym już kwitkiem. Forsy było grubo, ale w małych banknotach, chociaż razem dawały ponad pięćdziesiąt złotych, jak dla niesprawiedliwie wyrzuconego na bruk robociarza, widok pociągający. Gdyby tak jutro czy pojutrze zacząć się nieco wcześniej... Wprawdzie w maju szósta wieczór to jeszcze niemal środek dnia, ale do gmachu poczty prowadziła alejka przez zarośnięty krzewami niewielki park, a ulica Obłomska, przy której znajdowała się brama urzędu, w tym miejscu nie była już zabudowana dwupiętrowymi kamienicami, tylko cisnęły się do niej drewniane parterowe domy z ogródkami. Gdyby szczęście dopisało, nikt by nie zobaczył, jak Feluk wciąga faceta w którąś z wąskich przecznic, zakłada mu na szyję chwyt, od którego mdleje się po kilkunastu sekundach, i fru na łąki, w stronę mostu kolejowego nad Uherką. Tam pociągi zwalniają... Gdyby znów mieć odrobinę szczęścia i jakiś skład by się napatoczył, Lucek wskoczyłby na bufor i szukajcie wiatru w polu!

Gość napotkał spojrzenie Feluka i uśmiechnął się głupio, odsłaniając żółte zęby. Bezrobotny uklonił się. Potem jego uwagę zwróciła stara Żydówka, która marudziła przy okienku, najpierw długo licząc drobne, a potem pytając kilka razy urzędniczkę, czy na pewno dała dobry znaczek, bo na nim jest

Piłsudski, a list ma iść do syna do Ameryki, gdzie polskiego marszałka nikt nie widział i nikt nie zna. Z ubrania nie wyglądała na zamożną, jej zakurzona peruka od lat musiała być istną wylegarnią moli, za to miała na palcu pierścionelek, a skoro syn w Ameryce, to w domu musiała trzymać dolary...

– Słucham pana! – wyrwał go z przestępczych planów zmęczony głos młodej kobiety w okienku.

– Lucjan Feluk, proszę pani. Czekam tu wiadomości na post aresztant – powiedział, akcentując ostatnią sylabę.

– *Poste restante* – poprawiła go jak jakaś cholerna nauczycielka, chociaż nie nosiła okularów. – Pan już był przecież dzisiaj. Mówiłam, że nie mam nic dla pana.

– Mogło przyjść coś później...

– Nie przyszło. Czy mogę służyć czymś jeszcze? Zaraz zamykamy.

A niby czym oprócz listu mogła mu służyć ta cholernie chuda szkapa?! Niecały kwadrans później Feluk szedł wzdłuż torów i burczał pod nosem na świat i ludzi. Wyjął z kieszeni marynarki ćwiartkę wódki kupioną rano u Żyda. Łyczek wzmocnił go, lecz humoru nie poprawił. Coraz bardziej zły, minął łopian, pokrzywę, przeszedł skrajem równo skoszonej łąki na tyłach szkoły, na której dzieciaki kopaly piłkę pod okiem małego, ale cholernie ruchliwego faceta wiatru z gwizdkiem. Za późno było na lekcje, widocznie jednak tutejszy nauczyciel gimnastyki łowił talenty jak rybak albo tamten ze „Startu” Krasnystaw, Sieniawa jego mać! W oddali Lucek widział semafony i coraz gęściej krzyżujące się szyny przed stacją kolejową. Łyknął jeszcze, a ponieważ w butelce zostało tylko na dnie, dopił.

I naraz przyszło olśnienie! Feluk wiedział już, gdzie powinien pójść, żeby poprawić sobie nastrój. Na samą myśl uśmiechnął się krzywo, mściwie.

\*

Posterunkowy Bawoluk spokojnie wysączył piwo w „Targowicy” i dostojnym, patrolowym krokiem wracał na komendę. Notatkę sporządził jeszcze w gospodzie: „podczas

pełnienia służby nic istotnego nie zaszło”. Czekał go teraz przyjemny wiosenny wieczór, zwłaszcza że miał zamiar odwiedzić swych przyszłych teściów i pokazać im dwa pisma z Lublina, które otrzymał przed południem, gdy rozpoczynał służbę.

Minęły już trzy tygodnie, odkąd Bawoluk napisał w podaniu, że „narzeczona moja jako Polka i katoliczka oraz wdowa bezdzietna, posiadająca własne mieszkanie, zaopatrzone, jest wdową odpowiadającą mojemu stanowisku. Ze względu na brak kobiety do obsługi gospodarczego mojej osoby i z uwagi na fakt nieposiadania przeze mnie stałego mieszkania zawarcie związku małżeńskiego z wyżej wymienioną narzeczoną jest tym bardziej konieczne, iż polepszę znacznie swój byt, zdrowie i uniknę narażenia się na straty finansowe przez wynajem pokoju przy rodzinie, co miało miejsce dotychczas”. I komendant wojewódzki akurat odesłał kopię pisma z adnotacją: „zezwala się”, a Kasa Samopomocy Niższych Funkcjonariuszy PP jak na zamówienie potwierdziła przyznanie pożyczki na zagospodarowanie. Prawie czterysta złotych! Policjant aż miał ochotę wychylić na tę okoliczność drugi kufelek, pan Dubow już nawet przepłukał szkło i podniósł pod pipę, lecz Bawoluk poważnie pokręcił głową. W tak ważnym dniu powinien być zupełnie trzeźwy i punktualny.

Na rogu Strażackiej, krótkim skosem wspinającej się pod górę, przystanął na chwilę, by zerknąć w kierunku magistratu, czy przed gmachem spokój. Jednakże jak okiem sięgnąć Lubelska i Pierwszego Maja wyludniły się; całe reprezentacyjne chełmskie śródmieście usypiało powoli wraz z zamknięciem urzędów. Od wschodu ciągnęły ciemne chmury, jak nic będzie ulewa, poza tym kierownik chodził dziś skrzywiony, a to jak amen w pacierzu zwiastowało ból nogi i zmianę w pogodzie. Bawoluk ruszył dalej. Według zegarka do końca służby zostało mu dziesięć minut.

Ledwie jednak spokojnie wszedł do budynku, gotów zdać raport, pożałował, że nie posażał po drodze miętówki, zabijającej zapach piwa.

– Stelmasiak, obchód Lubelska, Obłońska do Sienkiewicza,

z bocznymi! Kulski, Kolejowa, Starościńska, Młodowskiej! – Na dyżurce oddzielonej balustradą od sali dla interesantów pieklił się czerwony na gębie Orłowski, jego bezpośredni przełożony. Burkliwie rozdzielał nowe przydziały innym policjantom z dziennych patroli, którzy także powinni kończyć właśnie służbę. – Bawoluk, dobrze żeś wrócił! Stare Miasto od Młodowskiej do Pocztowej. Tylko w każdy zaułek zaglądać!

– Ale za co, panie dyżurny? – jęknął posterunkowy.

– Za miłość do ojczyzny i chęć do życia! – ryknął mu ktoś za plecami.

Odwrociwszy się, Bawoluk zobaczył zdenerwowanego komisarza Hejwowskiego z tym nasłanym na nich inspektorem, Maciejewskim.

– Panowie, nadgodzin jak zwykle się nie zapłaci, ale sprawa pilna. Wykażecie się, pójdzie do akt. – Komisarz z Lublina otworzył kopertę i wyjął z niej plik zdjęć. Jeszcze niedoschnięte, lepiły się jedno do drugiego i musiał oddzielać je paznokciami. – Władysław Miazgarski, lat z wyglądu czterdzieści, świadek w sprawie zabójstwa. Unika przesłuchania i idzie na podejrzanego – powiedział, rozdając fotografie. – Lokale z wyszynkiem, pokoje do wynajęcia i co wam przyjdzie do głowy. Broni przypuszczalnie nie posiada, ale kiedyś był zapaśnikiem. Więc na przykład wy – wskazał Bawoluka, który wprawdzie starał się nie zapominać wieczorem o gimnastyce hantlami, lecz wzrostu mu od tego nie przybywało – bez głupich numerów, tylko śledzicie i gwizdacie po kolegów. Albo telefonować na komendę, jak będzie skąd. Pytania jakieś?

Akurat Bawoluk miał ich wiele, jednak nie dotyczyły bezpośrednio faceta ze zdjęcia. Popatrzył po twarzach pozostałych mundurowych. Podobnie jak on nie wyglądali na szczęśliwych.

– Nie ma pytań, to na patrole – rozkazał Orłowski.

Minutę później Maciejewski stał niczym interesant przy barierce i spoglądał na dwa zdjęcia szkolnego kolegi, jakie mu jeszcze zostały. Jedno miało odklejoną twarz, drugie, zupełnie zmarszczone, przypominało odbicie w krzywym zwierciadle

w lunaparku. Pan Kupś z chrześcijańskiego zakładu artystyczno-fotograficznego wykonał zlecenie ekspresowo, niestety papier światłoczuły miał swoje prawa.

Komisarz ruszył w stronę gabinetu, Hejwowski za nim.

– Pan się gorączkuje, panie Zygmuncie, ale przecież się go złapie – z uśmiechem pocieszył Maciejewskiego kierownik wydziału. – Jak nie u nas, to zdejmą go gdzieś na dworcu. Może w Lublinie, może w Warszawie. Pan lubi przecież piłkę, to wie, że to gra drużynowa.

– Bardziej lubię boks. – Zyga przyszpilił wzrokiem dawnego przełożonego. – A pan, panie Józefie, chyba najbardziej pokera?

– Skąd! Hazardować się? – Kierownik wydziału zaczął przeglądać akta, chociaż powinien znać je już na pamięć.

– Nie wiem, ale blefuje pan jak zawodowiec. Skąd Miazgarski wiedział wcześniej niż ja, że jest na widelcu? Z komisariatu czy z komendy? Kto miał dostęp do tych donosów?

– Kierownik komisariatu, komendant, pan, ja i biuro sędziego śledczego. I Horejuk! – Hejwowski w ostatniej chwili wymyślił jeszcze jednego podejrzanego. – Wezwę go, mógł komuś powiedzieć z głupoty.

– Niech się pan nie trudzi – prychnął komisarz. – Przekonałem się, że to aż nazbyt mało wylewny człowiek. Co ustaliliście? Gdzie może być Miazgarski?

Weszli do wypożyczonego Maciejewskiemu gabinetu.

– Dubowa rozpytał dzielnicowy. Nie ma pojęcia. Twierdzi, że poza nim i Leszyną Miazgarski nie miał w Chełmie żadnych starych znajomych. Zaprzeczył, aby był przez niego szantażowany. Tu jest notatka. – Hejwowski chciał podsunąć komisarzowi akta, ale ten je odepchnął. Zaczął grzebać w pudełku zapalek.

– Nie pytam pana o to, co już sam przeczytałem. Proszę o pańskie hipotezy. Pan chyba powinien lepiej niż ja znać teren i środowisko. Chyba że się mylę?

Zyga zapalił papierosa. Nikotyna zrobiła swoje, uspokoiła. Być może nie dorósł do oficerskiej funkcji, komendant Brożyński też był tego zdania. „Niech pan przestanie ganiać jak kot

z pęcherzem, pan ma tylko kontrolować wykonywanie rozkazów”, mówił po inspekcjach w Krasnymstawie, Lubartowie i Siedlcach. Zyga, niestety, ilekroć usiadł na dupie, czuł isticie powieściowy bezmiar porażki.

Dawny przełożony również siedział, oklapły, pogiębiony, a komisarz, mimo że kilkanaście lat temu wiele by dał za taki widok, teraz nie czuł wcale satysfakcji. Widział przed sobą starzejącego się człowieka, który kiedyś wystartował z przytupem, ale potem pętał się po komendach powiatowych, czekając emerytury. Oby dostał ją jak najszybciej i nie przeszkadzał w pracy. Z drugiej jednak strony i Maciejewski nie robił się coraz młodszy. Kto wie, czy i on nie będzie unikał kiedyś wzroku młodego i ambitnego oficera inspekcyjnego, jeszcze gorszego niż on sam.

– Proszę mi tu zaraz przysłać wszystkich, którzy mogli ostrzec Miazgarskiego.

– Anonim sam w sobie nic nie znaczy – powiedział cicho Hejwowski.

– Owszem, ale jeżeli ktoś go tak bierze sobie do serca, to co by pan pomyślał na moim miejscu?

– Przysięgam panu, że kontaktowałem się tylko z sędzią śledczym Szydłowskim.

– A jakie kontakty z Miazgarskim mógł mieć pan sędzia?

– Żartuje pan?

– Ani trochę. – Zyga sięgnął po telefon i wykrecił numer posterunku kolejowego. – Oficer inspekcyjny przy aparacie. Co u was?

Hejwowski pożegnał się skinieniem głowy i wyszedł. Korytarz komendy o tej porze był cichy, pusty, lecz ani trochę tak przyjemny jak jeszcze kilka tygodni temu. Może nie należało Maciejewskiemu szkodzić? Kierownik wydziału przejechał dłonią po coraz rzadszych włosach. Powinien był pozwolić, żeby młody wilczek sam się wyprztykał. A tak tylko dolał oliwy do ognia... I jak znał byłego podwładnego, teraz dopiero się zacznie!

Szyja Gross wracał w końcu do domu po dobrym dniu. Jak rzadko miał *ganz git* klientów!

Najpierw ten inspektor, co kazał wieźć się do więzienia, aż za dworzec kolejowy. Kurs jak na Chełm przyzwoity, w dodatku czekania więcej niż jazdy, a licznik bił należycie, mimo że akurat przy takich pasażerach taksówkarz nie odważył się go przyspieszać.

Ledwie wrócili na Stare Miasto, zaraz trafił się drugi kurs, dzięki zepsutemu zegarowi starej Geltmanowej. Przez spóźniające się wskazówki musiała wykosztować się na taksówkę na dworzec, żeby złapać osobowy do Lublina. Gross podarował jej trzydzieści groszy przez wzgląd na znajomość staruszki z jego matką, a i tak wyrzekała, że kto patrzy tylko słodkiej chałki, niech uważa, żeby starczyło mu na chleb. Za to przed dworcem znowu trafił się klient, pewnie z pociągu z Zamościa. Co prawda kręcił nosem, że wolałby auto chrześcijańskie, nie żydowskie, ale wyboru nie miał. Dorożki już były zajęte, a Pliszczycki dopiero co odjechał, niby to wioząc córkę radnego do wiejskiego dworku tatusia, lecz dla każdego z dwóch chełmskich szoferów było jasne, że po drodze dosiądzie się jej kawaler i umkną razem ludzkim oczom na majówkę nad Bug. Że zaś maj chłodny, przyjdzie im się przytulać, oj mocno!

Pasazer Grossa miał garnitur nieco już znoszony, lecz taksówkarz zwrócił uwagę na brązowe półbuty. Widział je wyraźnie, wypolerowane jak lustra, gdy facet postawił nogę na stopniu auta. Solidny gość, uznał zatem szofer i gdy kazano mu zaczekać kwadrans, powiedział tylko:

– Według rozkazu pana prezesa.

Stanowisko nadał mu na wyrost, był pewien, nie zdarzyło się jednak nigdy, aby ktoś protestował. I aby probierz jakości butów kiedykolwiek zawiódł. Nauczyła go pewna przyjezdna prostytutka, którą woził od jednej do drugiej kwatery panów oficerów podczas odbywających się w pobliżu Chełma manewrów wojskowych, że obuwie mówi o człowieku więcej niż oczy, że zbiedniały elegant prędzej pogodzi się z cerowanymi, uwierającymi go w dupę gaciami niż



kamaszkciem bez połysku.

Pojechali do „Targowicy”, a ledwie facet zniknął za drzwiami knajpy, Szyja Gross skręcił pod mur klasztorny i otworzył maskę wozu, by z aktorskim smutkiem zacząć w niej grzebać. Gaźnik pracował wprawdzie jak złoto, linka też była jeszcze *git* ani nie brakowało oleju, mimo to taksówkarz sięgnął do bagażnika, gdzie trzymał dwa hebry. Kiedy obdarte żydowskie dzieciaki z ciekawością zaczęły gromadzić się wokół auta, wybrał kilku chłopców. Dumni z wyróżnienia, pocili się nad wajchami, zaś Gross tylko pilnował, by oba przednie koła podnosili równo i by auto zawisło na hebrach niczym kocur gotujący się do skoku. Sam usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Dzieciaki miały głupie miny, widząc, że silnik przecież gra jak należy, a koła kręcą w powietrzu. Szofer natomiast z przyjemnością obserwował obracający się taksometr, nie pierwszy raz takim sposobem nabijający frajerowi kilometry.

Wprawdzie Gross miał powody, by czuć osobistą niechęć do knajpy Dubowa, lecz odkąd były zapaśnik zabił w niej chłopaka, obaj taksówkarze kursowali do niej z dworca regularnie według rozkładu pociągów. Trup! Trup to dobry *geszeft* i nic dziwnego, że knajpa Dubowa prosperowała teraz jak w dzień targowy. Zaś nietutejsi, zjeżdżający z Krasnegostawu, Hrubieszowa czy Zamościa, a bywało, nawet z Lublina, skąd mogą wiedzieć, czy z dworca pod lokal, gdzie mordują, jest dwa z haczykiem, czy pięć kilometrów?

Gross przypomniał sobie jednak przysłowie starej Geltmanowej i wyłączył silnik, kiedy taksometr zbliżył się do sześciu. Przez otwarte okno wozu podał dzieciakom kilka groszy.

– *Aweklojfn!* Awek! – Machnął niecierpliwie ręką i uciekły.

Sam postawił wóz na kołach o wiele szybciej, niżby się to odbyło z ich pomocą. Hebry schował w bagażniku i przykrył derką. Zapaliwszy papierosa, czekał za kierownicą, jak przystało na uczciwego taksówkarza.

Jego pasażer rzeczywiście opuścił knajpę po piętnastu minutach, ale nie wyszedł sam. Kolejny nieznamy był niższy, chociaż nie ułomek, ale zdecydowanie mniej godny zaufania,

ponieważ jego buty, co prawda z nieschodzonymi jeszcze obcasami, już miały zmarszczki jak Geltmanowa. Przytrzymał drzwi i wypuścił jeszcze gestykującego inżyniera Herdę z budowy nowego osiedla i sędziego śledczego Szydłowskiego. Ci dwaj zaniepokoiili Grossa. Inżynier rozbijał się po Chełmie taksówkami wręcz nałogowo, zwykle z Pliszczyckim, bo jak obśmiewali go robociarze z budowy, „*warsiaskich* bucików kierownik boi się pobrudzić”. Rzeczywiście, Herda był panisko i nigdy nie wyklócał się o wysokość zapłaty, ceny jednak znał. Prawnik zaś tym bardziej mógł zwrócić uwagę na podkreślenie licznika, szczególnie że lubił szkodzić Żydom. Na szczęście pożegnał się zaraz na progu.

– Tak że uprzedzam pana, panie Miazgarski, że piszą donosy. I na tego swojego kolegę też niech pan uważa, bo pewnie będzie pana wkrótce szukał – rzucił głośno na odchodnym i ruszył pieszo w Podwalną, ku lepszym rejonom Starego Miasta.

Gość w wyglansowanych półbutach gestem dał znak taksówkarzowi, aby poczekał jeszcze chwilę, na co Gross uklonił się zza kółka. Trzej panowie stanęli pod oknami „Targowicy” i zapalili papierosy.

– Tylko kto? Skoro nie Dubow, to kto, panie Sieniawa? – spytał nerwowo Miazgarski pasażera, którego szofer przywiózł tu z dworca.

– Pan powinien wiedzieć lepiej, komu jeszcze zalażł za skórę.

– Facet cofnął się pół kroku, jakby tamtemu cuchnęło z ust.

Miazgarski złapał go za łokieć i przez chwilę nie tyle nawet do niego mówił, co syczał jak wściekła żmija. Cicho jednak i Gross nie zrozumiał ani słowa. Kiedy facet w podniszczonych butach skończył, pierwszy pasażer zaśmiał się z przymusem.

– Mnie niech się pan nie obawia – powiedział łagodzącym tonem. – Sport to sport, a interes to interes. Właśnie! – zwrócił się do Herdy. – Feluk czeka na pańską odpowiedź. Robi się nerwowo.

– Nerwowo? Bardzo dobrze! – Inżynier odsonił w uśmiechu pełen garnitur zdrowych zębów, ale krótkich, jakby za mocno żuł lub zbyt często nimi zgrzytał. Kiedy zaś trzej panowie zdeptali papierosy i wsiedli razem do auta, roztaczając woń

dobrego tytoniu, dodał jeszcze: – Jak nam skruszał, to czekam go jutro.

\*

Kwartal baraków robotniczych do złudzenia przypominał geometrycznie rozplanowane Nowe Miasto. Różnica była jedna. Tamto z dobrej cegły i betonu, rozrysowane na deskach kreślarskich za prosperity w połowie lat dwudziestych, a podfundamentowane przed kryzysem, teraz dopiero, po powrocie krajowej koniunktury, zaczęło naprawdę rosnać. To zaś, z byle jakiego drewna i cienkiej pilśni odgradzającej prowizoryczne izby, zbudowano w dwa tygodnie i planowano jeszcze szybciej rozebrać, gdy Chełm zostanie już kolejarską Gdynią.

Na razie jednak Magda Królik przeciskała się wąskim korytarzem baraku między zmęczonymi robotnikami wieszającymi pranie, przez co wilgoć szła, rozmięczająca i fałdująca pilśń przepierzeń. Pod sufitem porobiły się ponadcalowe szpary i która za głośno westchnęła w kącie, słycać ją było przy wejściu. Na Królikównie nie robiło to wrażenia. Przywykła żyć z dziadkiem, rodzicami i siedmiorgiem rodzeństwa w jednej izbie, niewiele większej niż obecna kłitka dzielona raptem z trzema koleżankami. Dziadek co chwila pierdział jak motor, ojciec, kiedy spał, chrapał. Matka, kiedy ojciec nie spał, tylko ją ruchał, jęczała mimo poduszki ściskanej w zębach. Zaś z rodzeństwa dwoje najmłodszego drobiazgu popłakiwało każdej nocy do złych snów. Dobre raczej być nie mogły, bo niby z jakiej przyczyny, skoro dzieci czekała taka sama harówka jak ich wszystkich, po której ma się nie więcej niż odciski i żyłaki. Dlatego też Magdy nie chciał żaden poważny kawaler, a przynajmniej nie chciał jej przed ołtarz, chociaż pod kościelny mur próbował ciągnąć niejeden. Nie dała się zbałamucić. Nie żeby była taka znowu pobożna i cnotliwa! Wiedziała, że kiedyś to musi przyjść, bo tak już jest: weźmiesz ślub, ktoś będzie cię ruchać, a ty będziesz mu gotować i rodzić dzieci. W szkole podobała jej się legenda o Wandzie, która wolała utopić się Wiśle, niż żeby wyruchał ją Niemiec. Magda

nie miała nic do Niemców, mówiący po szwabsku koloniści z sąsiedniej wioski gospodarzyli jak się patrzy, lecz z rzeką i u niej było coś na rzeczy. Bardziej niż chadzać z chłopakami podobało jej się kąpać w Uherce albo w Bugu z dziewczuchami ze wsi, patrzeć na ich ładniejące, krągłe ciała, a zwłaszcza na ciemny puch skrywający kuciapki. Te wszystkie swoje rówieśnice pamiętała z dzieciństwa, kiedy nie miały jeszcze żadnych włosów oprócz tych na głowie, zalatujących zawsze łojem. Kiedy już Bozia kazała im skrywać włosami wstyd w innych miejscach, kuciapki, Magda była tego pewna, zaczęły pachnieć zupełnie inaczej i miło. Nigdy nie powąchała żadnej prócz swojej, a to nie to samo. Teraz, przechodząc obok tyłu stłoczonych robotnic, obok ich schnącej bielizny, pomyślała przez chwilę o zakazanym zapachu. Przede wszystkim jednak musiała zaraz się wysrać i porządnie odpierdzić w latrynie, bo ją wzdęło.

Magda otworzyła drzwi baraku, rzuciła szybkie spojrzenie na zachmurzone niebo, po czym zeszła po trzech stopniach na ścieżkę wydeptaną w białawo-gliniastym gruncie, jakiego u siebie na wsi nigdy nie widziała. Za to obok, odgradzona od ścieżki wciśniętymi w grunt kamieniami, pachniała taka sama maciejka, tutaj wysiana i podlewana przez Kaśkę, rudą, ale wcale przez to nie fałszywą, przynajmniej zdaniem Królikówny. Rozmarzoną taką raczej, choroba wie na co i do kogo, chociaż na budowie pracowita.

Sracz stał pod parkanem obok kwitnącego krzaku jaśminu. To akurat bardzo się Magdzie podobało i była pewna, że jeśli kiedykolwiek znajdzie się na własnym gospodarstwie, pobrzeże wygódki urządzi tak samo. Srało się, nie czując gówna. Romantycznie, tak kiedyś o czymś innym powiedziała Kaśka, a Królikównie zostało to w głowie i spasowało. Przyspieszyła kroku.

Zobaczyła go, zanim zdążyła wsunąć rękę pod spódnicę i rozwiązać troczki od majtek, żeby było potem szybciej. Stał pod klozetem, oparty o ścianę z nieheblowanych desek, z daleka cuchnący wódką.

– Nawet ty, Dulcyneo, musisz srać i sikać?! – zarechotał

donośnie, ubawiony własnym dowcipem. – Czekałem na ciebie.

Nie rozpoznała go od razu, dopóki w pierwszej błyskawicy nie pokazała się wstętna gęba Feluka. Brzuch Magdy burknął, a chwilę potem spod spódnicy dobiegło stłumione pierdnięcie, którego, zaskoczona, nie zdołała powstrzymać.

– To przez ciebie! Przez ciebie wylali mnie z roboty!

Rzucił się w jej kierunku, a Królikówna ukucnęła odruchowo, tak jak wtedy, gdy pijany ojciec brał się do bicia. Tym razem miała więcej szczęścia, bo namacała dłonią jeden z kamieni na obrzeżu ścieżki dla ozdoby wciśniętych przez Kaśkę w ziemię. Feluk chwycił Magdę i chciał obrócić do wydupczenia, ale odwinęła mu się z kamieniem w garści. Że trafiła, przekonał ją wściekły ryk i to, że zaskoczony napastnik upadł na klęczki kilka kroków od niej.

– Ratunku! Bandyta! – krzyknęła z całych sił.

Wystarczyło, że wołanie przyciągnęło do okna baraku jedną głowę. Którą, Królikówna nie miała pojęcia. Zaraz alarm poniósł się po całym prowizorycznym mieszkaniu robotnic i już kilka dziewczyn, które były najbliżej drzwi, wyskoczyło na ścieżkę to z miotłą, to z warząchwą, z czym to miały pod ręką.

– Chciał zgwałcić! – Królikówna upadła na plecy, nie spodziewając się siły swojego ciosu. Odwrócona, odpełzała jak najdalej, myśląc głównie o tym, żeby nie zesrać się w gacie.

Wcześniej śmiała się z Kaśki, która pracowicie odgradzała kamieniami ścieżki od kwietników: kto to widział tyle roboty dla zielska, z którego tylko wygląd, ale żadnego pożytku! Teraz gotowa była rudą wyściskać, gdy przygotowane jak raz kamienie jeden po drugim zaczęły uderzać w kulącego się mężczyznę, a do razów kochane dziewczyny dołączały i wyzwiska:

– Skurwysynu jeden!

– Zwyrrodnialcu jebany!

– Poczekaj tylko, kurwa twoja mać!

Lucek Feluk ani myślał czekać. Dość mu było upokorzenia najpierw na budowie, a teraz z rąk tych wściekłych bab, które zupełnie nie znały się na żartach. Czując rosnący siniec na policzku i kolejne od pocisków spadających mu na plecy

i pośladki, na czworakach dotarł do parkanu. Przesadziwszy go, już biegiem uciekł na łąki. Miał ochotę odszczeknąć się chociaż, jak cholera miał ochotę, ale kamienie waliły w niego i obok niego jak bomby, tyle dobrego, że coraz mniej celnie.

– Jutro powiem brygadziście, żeby zameldowała policji – obiecała Magdzie jedna ze starszych robotnic, prawie czterdziestoletnia Marynia, którą mąż zostawił z czwórką dzieci na dwóch morgach. – Zobaczysz, jest Bóg na niebie, złapią chuja złamanego! Chodź, zrobię ci herbaty. – Objęła dziewczynę ramieniem.

– Zara, Maryniu, zara! – Królikówna wyrwała się i przyspieszyła kroku, bo przede wszystkim musiała jednak do latryny. – Poczekasz tu na mnie?

Marynia ze zrozumieniem pokiwała głową.

Zagrzmiało znowu. Jaśmin pachniał, a niedaleko, od strony, gdzie uciekł pogoniony przez kobiety Feluk, dał się słyszeć gwizd lokomotywy, powtórzony kilkakrotnie i tak rozpaczliwy, jakby maszynista zobaczył kogoś na torach. Niechby to był on, skurwysyn jebany, pomyślała mściwie Królikówna, kucając nad dołem kloaczny.

## **Rozdział 8**

### **– Na kolei nie wolno włączyć pod maszynę**

*Chełm, wtorek 17 maja 1938 roku*

Panie Józefie! O Jezus Maria! – Pomocnik wrzeszczał, nie mogąc oderwać wzroku od okna budki lokomotywy. Dotąd nie przejechał człowieka, chociaż służył już pięć lat na parowozach i wkrótce miał przejść na prawą stronę, zostać maszynistą. Zachował się, owszem, jak należy, uruchamiając piasecznicę dla lepszej przyczepności i obracając hamulec, podczas gdy pan Józef dał przeciwparę i szarpał za linkę gwizdka. Więcej dla tego biedaka żaden z nich nie mógł już zrobić. Histerie były nie na miejscu i starszy kolejarz z początku chciał ofuknąć pomocnika, lecz przypomniał sobie swój pierwszy wypadek i dał spokój.

Po początkowym przestraszeniu, pamiętał, przyszło zdziwienie. Tamta kobieta, która piętnaście lat temu wyszła na tory za Trawnnikami, także nie ruszyła się mimo sygnałów ostrzegawczych i nagle zniknęła mu z oczu. Pan Józef, wówczas jeszcze większy gówniarz niż jego obecny pomocnik, niby wiedział, że ciało ludzkie ma się nijak do masy parowozu, ale wbrew logice był pewien, że poczuje przynajmniej drgnięcie prawie wyhamowanej maszyny. Nic takiego nie nastąpiło i zrazu dziękował Bogu, że kobieta, opamiętawszy się, w ostatniej chwili uskoczyła z torów. Pociąg nie stanął jeszcze, a on wbrew przepisom wyskoczył z lokomotywy, nawet nie prosząc swojego maszynisty o pozwolenie, żeby powiedzieć babie coś do słuchu za to, że najadł się przez nią tyle strachu, a w dodatku zarobił spóźnienie. Nie miał jednak na kogo krzyżeć, bo kobieta naprawdę zniknęła. Może tylko wszystkim się wydawało, że stała na torach?

– Dzięki Bogu nikogo nie ma – powiedział wtedy do

konduktora, który zeskoczył obok ze stopni wagonu.

– Żeby mi to było ostatni raz, szczeniaku! – krzyknął z budki maszynista. – Wracaj tu zaraz i pilnuj kotła!

– Pan daruje chłopakowi, panie Robaczewski. – Konduktor, chociaż słychał ze złośliwości, niespodziewanie ujął się za nim. – Niech zobaczy, jak naprawdę wygląda służba na kolei.

Kazał mu iść za sobą i zaświecił latarką pod ostatni wagon, pulmana pierwszej klasy. Tory pod nim wyglądały tak, jakby ktoś wyrzucił z klozetu mielone mięso. Trwało dłuższą chwilę, nim przyszedł maszynista zrozumiał, co naprawdę widział. I tak krótszą niż jego rzyganie na poboczu nasypu.

– Może zdążył odskoczyć, panie Józefie? – zapytał teraz jego pomocnik z nadzieją w głosie.

Pan Józef objął go ramieniem i uściśnął po ojcowsku.

– Staniemy, to pójdziesz zobaczyć – zdecydował. – Ja przypilnuję kotła.

Każdy musi to przejść, zanim siądzie po prawej stronie lokomotywy, takiego właśnie był zdania. Żeby zrozumieć i nigdy nie zapomnieć, za jakiego potwora pod parą człowiek jest odpowiedzialny. I że niektórych rzeczy nie uniknie, chociażby jota w jotę trzymał się przepisów.

\*

Więc mówicie, że Miazgarski się znalazł? – Komisarz Maciejewski omal nie wdepnął w świeże wymiociny, idąc przez ciemne torowisko w stronę świecącego reflektorami i dymiącego ospale parowozu. Powietrze było ciężkie, co kilka minut od strony Krasnegostawu toczył się grzmot poprzedzony krótką, jaskrawą błyskawicą.

– To on, panie inspektorze – powiedział z przekonaniem posterunkowy Horejuk, jakby czuł się w obowiązku upewnić oficera, że nocny alarm nie pójdzie na marne.

Znał Zygę krótko i nie mógł wiedzieć, jak ów od kilku miesięcy marzył, by znowu ktoś w środku nocy zerwał go z łóżka jak za dawnych dobrych czasów w wydziale śledczym. Jego burczenie i przekleństwa należało traktować wyłącznie jako rytuał, nie wyraz złych intencji.



– Skąd jesteście tacy tego pewni? – Maciejewski ominął pokrzywy, by dalej sadzić już wielkimi krokami po chrzęszczących pod butami tłuczonych kamieniach.

– Jeżeli patrol nie skłamał, sam pan za chwilę zobaczy – obiecał Horejuk, ledwie za nim nadążając.

– Bardzoście tajemniczy.

Tajniak nie przyznał się, że takie właśnie otrzymał polecenie, gdy sam został obudzony z najlepszego snu tuż przed północą osobiście przez komisarza Hejwowskiego. Kierownik chełmskiego wydziału śledczego chyba w ogóle przestał sypiać, odkąd spadła mu na głowę inspekcja. Dlaczego jednak sam się nie pofatygował? Wywiadowca miał dość rozumu, aby go o to nie pytać, szczególnie że jeśli przełożony nie podłożył świni, Horejuk mógł dobrze wypaść w oczach inspektora jako oddany służbie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Kilkanaście kroków od lepkiej kałuży rzygowin płachta gazety przykrywała przedmiot wielkości dziecięcej piłki szmacianki. Stali przy nim mundurowy policjant, ubrany w jasny prochowiec aplikant sędziego śledczego oraz starszy kolejarz w wysmarowanym oliwą kombinezonie, lecz nieskazitelnej granatowej rogatywce. Zasalutował Maciejewskiemu zaraz po mundurowym z patrolu, zanim jeszcze przybyły się przedstawił.

– Zwłoki zostały rozczłonkowane, zaraz jak tylko wpadły pod skład. Maszynista z pomocnikiem wzorowo dopełnili swych obowiązków. Samobójstwo – zdał sprawę młody prawnik. – Nic tu po mnie. Mogę skorzystać z auta panów, skoro i tak będą panowie czekać na lekarza? – Źle ukrył ziewnięcie.

– Jeżeli życzy pan sobie, proszę się zdrzemnąć w taksówce, niestety szoferowi przykazałem czekać. Kto wie, czy po tym, co zobaczymy, nie uznamy za stosowne kogoś odwiedzić – powiedział Zyga, jednak swoją nienawiść do świata i prawników po aktorsku ukrył pod służbistym fraszunkiem.

Horejuk był bardzo zadowolony, że przytomnie wziął ze sobą teczkę. Mógł wyjąć z niej papiery i udawać, że całą jego uwagę pochłania formalne uzupełnianie dokumentacji. W Chełmie nie było dotąd zwyczaju odmawiać czegokolwiek urzędnikom

sądowym, nawet aplikantom. Inspektor jednak najwyraźniej nie musiał bać się nikogo.

Maciejewski pochylił się i uniósł gazetę.

Mimo że zakrwawiona i z pustym prawym oczodołem, była to bez wątpienia łysa głowa jego szkolnego kolegi, przez ostatnie kilka godzin poszukiwanego przez chełmską policję. Lewe oko, przymglone, patrzyło na Zyge obojętnie i bez pretensji. Nie powinien, ale nie powstrzymał się i zaciągnął palcem powiekę.

– Miazgarski! Jak się tu znalazł? – zapytał sam siebie na głos.

Aplikant wzruszył ramionami i znowu ziewnął. Błysnęło i grzmot rozległ się bliżej.

Tymczasem niecałe sto metrów od torów bezdomny niemowa kucnął w zaroślach, bo nie całkiem puste flaszki zawsze go interesowały. Nie mniej ucieszyła go zgaszona połówka drogiego papierosa z nowomodnym ustnikiem z bibuły, ale zgniecionym jak dawne tekturowe gilzy. Głuchoniemy żebrak nie miał zapalek, bo drogie, ale był dość mądry, aby nosić ze sobą hubkę i krzesiwo jak w dawnych czasach.

Kiedy jednak zapalił pozostawionego papierosa, najpierw zobaczył w powidoku ogniste kręgi, a potem zemdłał, chociaż palił już podlejsze i mocniejsze tytonie.

Spadły pierwsze krople deszczu i znowu zagrzmiało.

\*

Miazgarski Waclaw, syn Kamila, urodzony w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym w Żmudzi, powiat Chełm, województwo lubelskie – powtórzył do słuchawki Maciejewski.

– Zanotowałem, panie komisarzu, ale jest czwarta nad ranem – usłyszał w odpowiedzi głos dyżurnego z warszawskiego urzędu śledczego.

– Nie omieszkam zacytować tego o ósmej panu komisarzowi Przygodzie, kiedy rozpocznie służbę. Bardzo się ucieszy, że pan tak dba o nocny spoczynek teczek w waszym archiwum.

– Pan komisarz Przygoda rozpoczyna służbę o dziewiątej.

– Z pana detalista, a ja tu mam trupy – warknęła Zygą. – Ruszycie, panie aspirancie, dupę piętro niżej czy obaj poczekamy do dziewiątej, aż przełożony weźmie pana do

galopu?

Szcześliwie Warszawa też w głębi duszy była miastem gubernialnym dawnego zaboru rosyjskiego. Od tego czasu minęło ponad dwadzieścia lat, ale urzędnicy mimo zmiany pokoleniowej wciąż czuli podskórnie, że jak ktoś bez skrępowania wrzeszczy, obsobacza lub grozi, to prawdopodobnie ma prawo. Rewizor! Zyga nigdy nie zamieniłby tej krainy na Galicję, odzyskaną Wielkopolskę czy Śląsk, bo zbyt często czułby się tam jak dziki Azja Tuhajbejowicz.

– Tak jest, proszę czekać przy aparacie – dobiegło międzymiastową.

Maciejewski odłożył słuchawkę na biurko i spojrzał na siedzącego naprzeciw posterunkowego Horejuka, który wziął na siebie całą kwitologię i chociaż oczy mu się kleiły, nie odstępował Zygi niczym ordynans. Albo jak szpieg.

– Co o tym wszystkim sądzicie?

Tajniak podniósł głowę znad papierów.

– Leszynę mamy na widelcu, panie inspektorze – powiedział.

– I waszym zdaniem, siedząc w areszcie, zabił też Miazgarskiego?

– Miazgarski rzucił się pod pociąg, panie inspektorze. Bóg jeden wie dlaczego. – Wprawdzie Hejwowski kazał wywiadowcy więcej słuchać i raportować niż gadać, lecz to wydało mu się dość dobre, aby mówiąc, nic nie powiedzieć, tylko pociągnąć oficera za język.

– A jeżeli i ja wiem albo przynajmniej się domyślam? – rzucił niespodziewanie Maciejewski. – I nie jestem inspektorem, Horejuk, tylko komisarzem.

– Tak jest – rzucił tajniak, przeczuwając pęknięcie w osobie nasłanego im rewizora: lubił udawać, że mierzi go rola ważniaka, i jak teraz, prowokował do łamania regulaminu, sięgając po papierosa i wystawiając paczkę ku miejscowemu wywiadowcy. Horejuk już niemal wyciągał rękę, ale pokręcił głową.

– A waszym tajniackim zdaniem, dlaczego ludzie rzucają się pod pociągi? – ciągnął komisarz, ponownie sięgając po raport

z wypadku, niestety z powodu braku lampy błyskowej nie było w nim zdjęć. Za błyskawicami fotograf, mimo groźnych burknięć oficera inspekcyjnego, nie potrafił nadażyć, chociaż te rozjaśniały niebo niemalże w regularnych odstępach. – Bo im życie zbrzydło? – burknął Horejuk. Litery pływały mu niemal przed oczami i zaczynał przeklinać w duszy obu przełożonych: tego prawowitego, który przed północą zerwał go z łóżka, i tego śmierdzącego wódką i tytoniem uzurpatora.

– Warczycie na starszego stopniem, posterunkowy? – Zyga spojrział na niego spode łba. – No, może będą z was jeszcze ludzie – niespodziewanie pochwalili. – A gdyby wam życie zbrzydło, to czy nie byłoby wam milej zażyć truciznę, strzelić sobie w łeb, ostatecznie utopić się w jakiejś rzece? Waszej Uherki akurat nie polecam, bobyście głupio wyglądali z gębą w mule i nogami w powietrzu, ale mniejsza! Na ile znałem Miazgarskiego, to nie było samobójstwo.

Wywiadowca nie rozumiał do końca, w co tu się gra, lecz jedno pojmował doskonale: inspektor właśnie rozgrzebywał kolejną sprawę, która przecież gładko mogłaby pójść do umorzenia. Jaki miał w tym cel? Poza umoczeniem komisarza Hejwowskiego chyba żaden... Jedno pewne, że skrupi się to na szeregowym tajniaku.

– Miazgarski nie stawiał się do nas na pańskie wezwanie. Może chciał wsiąść do pociągu na gapę, tylko nie udało mu się? – zaryzykował przypuszczenie Horejuk.

– Nieźle! – Zyga strzepnął popiół z papierosa. – Ale w takim razie nie powinien wpaść pod lokomotywę, ale pod któryś z wagonów. Do parowozu przecież by nie wskakiwał. Powiedzmy jednak, że Miazgarski uciekał przed kimś. Tylko czy przed nami?

– A kogo innego ma pan inspek... pan komisarz na myśli?

– Nie mam pojęcia i w tym cały kłopot.

Ledwie to powiedział, z telefonu odezwał się głos warszawskiego funkcjonariusza.

– Halo? Sprawdziłem. Nie ma akt, o które pan prosił.

– Słucham?! – Maciejewski omal nie wstał z za biurka ze słuchawką przy uchu.

Nic jednak nie usłyszał poza długim sygnałem. Policjant po drugiej stronie drutu odłożył słuchawkę.

– Skoro tak, to zaczekamy do rana – mówił Zyga. Jakkolwiek komiczny był w tamtej chwili dla telefonistek z central po drodze, akurat przed Horejukiem zbłąźnić się nie zamierzał. – Tak, ale nie chciałbym być w waszej skórze, kiedy przyjdzie komisarz Przygoda. A co do was, Horejuk – zaczął, odkładając słuchawkę – macie mi ustalić, co Miazgarski robił przed śmiercią. Skoro nie żyje, ludzie powinni stać się rozmowni. Tym zajmiecie się, jak wrócimy ze Szkodynia.

Wywiadowca spojrział na Maciejewskiego z tak poczciwym wyrazem twarzy, że trudno było zgadnąć, czy to głupota, czy ironia.

– Ze Szkodynia? To ponad trzydzieści kilometrów stąd.

– Choćby było dwa razy tyle, musimy zahaczyć o pewien cyrk.

– Zyga uśmiechnął się ironicznie. – Bo widzicie, Horejuk, na pogrzebach trzeba skupić się na żywych.

\*

Pan inżynier kazał, aby się zgłosić... – Lucek Feluk miętosił czapkę, stojąc w drzwiach, jakby to był co najmniej salon, a nie barak kierownictwa budowy.

Herda spojrział na niego ze złością. Rzeczywiście, Feluk miał stawić się właśnie dziś, lecz inżynierowi zupełnie wypadło to z głowy.

– Ja pana inżyniera najmocniej przepraszam... – wydukał osilek. – Pan Sieniawa kazał przyjść z samego rana, no ale zanim ja odebrałem telegram, no to zeszło do tej dziewiątej... Nie z mojej winy, jak Boga Kocham! – Robotnik nieśmiało przekroczył próg.

– Siądźcie sobie gdzieś i nie przeszkadzajcie! – warknął Herda, zajęty kartkowaniem notesu.

Miazgarski! O jego śmierci na torach mówiło całe miasto już przy śniadaniu. Facet narobił kłopotów jak pijany zając dzieci, a na koniec pocałował lokomotywę! Herda nic nie rozumiał. Od dłuższego czasu nie był zachwycony spółką z tym typem. Cenił cwaniaków, ale facetów z nierównym charakterem unikał,

przynajmniej jeśli chodziło o interesy. Zaś Miazgarski wyglądał raczej na takiego, który innych wpuści w długi, a sam, koniec końców, wydobędzie się na wierzch po ich karkach.

By zebrać myśli po wydaniu porannych poleceń na budowie, przed ósmą wsiadł w taksówkę i kazał się wieźć wokół Chełma, jakby był rysikiem cyrkla, którego szpikulec wetknięto w Górkę Katedralną. Tam podobno jakiś ruski książe zaprowadzał kulturę i cywilizację w czasach, kiedy Wars i Sawa dopiero zeszli z drzew, a potomków umieli płodzić jeszcze tylko od tyłu. Coś takiego rzucił kiedyś Sieniawa; ciekawe, czy jako belfer mówi to również swoim usmarkanym uczniom, pokazując na mapie Wisłę niby wstążkę, stolicę niczym węzełek i Polskę niczym paczkę z niespodzianką!

Kazał się zatrzymać taksówkarzowi i wysiadł zapalić mimo siąpiącego deszczu. To już był najwyższy czas, żeby przeprowadzić zakup od miasta północnego stoku Góry Kredowej, wznoszącego się przed nim, mokrego, cichego i nieruchomego. Zgniótł niedopałek podeszwą i wsiadł z powrotem do taksówki. Najwyższy czas, a tymczasem Miazgarski, który obiecał tak załatwić w urzędzie wojewódzkim, żeby chełmskiemu magistratowi nie przyszły do głowy żadne odwołania, wziął i się, cholera, zabił!

Wróciwszy na budowę, Herda nie był pewien, czy telefonować do sędziego Szydłowskiego już teraz, czy odczekać, aż prawnik wypije poranną kawę i będzie w lepszym humorze. Wtedy właśnie, jak na złość, przyszedł Feluk.

– Wy zupełnie nie nadajecie się na robotnika! – rzucił mu inżynier, kiedy tamten przysiadł nieśmiało na brzegu krzesła.

Słowa Herdy poderwały go w górę, jakby w siedzisko ktoś dla kawału wmontował szpikulec na sprężynie i teraz kierownik budowy zwolnił ją sekretnym przyciskiem.

– Ja nie wiem, co majster nagadał panu inżynierowi, ale to nie było tak! A jeśli chodzi o sińce tu, na gębie, to nie wdawałem się w żadne bójkę, tylko mnie napadli – spróbował uprzedzić ewentualny zarzut ewentualnego chlebobawcy.

Herda spojrzał na niego uważniej, jakby dopiero teraz dostrzegł, że z gębą Feluka jest coś nie tak. Nie trzeba było się

wyrywać!

– Bardzo pana inżyniera proszę!

Zwaliste chłopisko kulilo się przed facetem, który choć też nie konus, niższy był o półtorej głowy. Jednakże gdy Herda podszedł do niego swym energicznym, władczym krokiem, wydawał się dość mocny, by skrócić kark. Ale poczęstował tylko papierosem.

– Wy nie nadajecie się na robotnika, macie za to inny talent – pocieszył inżynier, pstrykając zapalniczką.

Feluk podziękował skinieniem głowy i zaciągnął się z nieskrywaną lubością. Właściwie to nigdy nie palił dużo, najwyżej pięć papierosów dziennie, bo dbał o kondycję. Niestety w ciągu zaledwie kilku dni beczynność i brak rozrywek doprowadziły go do takiego stanu, jak podobno bywa w więziennym karcerze. Człowiek niby nie jest głodny, ma gdzie się przespać i gdzie wysrać, a jednak chodzi od ściany do ściany i nieraz wyje z bólu. Z jakiego bólu, tego Feluk nigdy nie rozumiał, gdy mu o karcerach opowiadano przy wódce. Chociaż wódki też wcześniej nie pił dużo. Nie mając nic do roboty, tylko by kurzył i pił, żeby się otumanić i żeby ulżyło.

– Ja, proszę pana inżyniera, jestem wykwalifikowany murarz – przypomniał.

– Wy jesteście zapaśnik! – Herda z rozmachem klepnął go w ramię i pomacał biceps. – Ale nie trzeba było drażnić się z majstrem, stawać mu sztorcem... Tu jest wielka budowa, a nie dżungla afrykańska, Feluk.

– Tak jest, panie inżynierze. – Zredukowany robotnik potulnie kiwnął głową. Nie umiał gładko rozmawiać z ludźmi, ale miał wrażenie, że teraz, mimo niedoróbek, idzie mu całkiem nieźle.

Herda oszczędnym machnięciem ręki kazał mu odejść od krzesła. Okrążył Feluka kilka razy, przyglądając mu się jak koniowi na targu. Tyle że w zęby nie zajrzał.

– Oklapliście jakby – zauważył. – Dojadła wam bieda, co?

– Dojadła, ale teraz będę dobrze pracował. Zrobię, co tylko pan inżynier każe.

– No, takie słowa lubię! – Kierownik wziął masywną

popielniczkę z wielkiego stołu zawalonego arkuszami papieru i kalki. Natychmiast Nowe Miasto, przypominające na planie polskie godło, zwinęło się, jakby od początku było jedną wielką błagą i nigdy nie miało się urzeczywistnić. Herda jednak nie zwrócił na to uwagi, tylko podsunął popielnicę Felukowi, żeby miał gdzie strzepnąć z papierosa. – I dam wam pracę, w dodatku bardziej do was pasującą. Co wy na to?

– Z całego serca dziękuję panu inżynierowi. – Robotnik uklonił się najpierw z godnością, potem niżej. Przez te ostatnie dni jakiś kundel bez charakteru załgał się w jego głowie i teraz Feluk, wściekły na siebie, czuł, że podziękować to za mało. Paść do nóg? Pocałować w rękę? Wsiowo, niehonorowo, poza tym ktoś mógłby wejść i zobaczyć.

Szczęśliwie Herda tego nie oczekiwał najwyraźniej, bo po raz pierwszy jego szerokie usta odsłoniły w uśmiechu dwa rzędy białych, po wojskowemu ustawionych zębów.

– Pewnie wiecie z plotek z budowy, że skoro tu już jestem i pewnie zostanę parę lat, pod Chełmem zamierzam budować sobie willę. Potrzebny mi tam fachowiec, zaufany fachowiec – zaznaczył, znacząco podnosząc palec.

– Pan inżynier może na mnie polegać. – Feluk huknęłaby się pięścią w potężny mięsień na lewej piersi, gdyby nie było to zbyt wsiowe i babskie. Robociarz uśmiechnął się w duchu, bo teraz odniósł wrażenie, że kierownik, choć lubi być górą, to woli rozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną.

– Ale to nie wszystko. Będziecie mieć siłę pracować dla mnie wieczorami? Późnymi wieczorami? – Herda wbił w niego wzrok.

Jakiś skok ma na myśli? Czy to pedał? Niemożliwe! Do inżyniera ulubione kurwy jeździły aż z Dorohuska, jak mówiono na budowie. Sprzeczne myśli krążyły po głowie Feluka, jednakże mimo swej słusznej postury do myślenia to on nie miał siły.

– Zrobię, co tylko spotrafię – obiecał. Był pod kreską.

– Spotraficie. – Herda po męsku uściśnął mu dłoń.

Trup trupem, lecz biznes to biznes, jak mawiają Amerykanie.



\*

Maciejewskiemu było jak w kinie. A przynajmniej jak na kronice filmowej PAT-u. Z głową pod poduszką niczym klasyczna ofiara uduszenia próbował złapać dwie, trzy godziny snu po nocy w komendzie. Przed oczami wciąż jednak na nowo przesuwwały mu się ruchome i dźwiękowe obrazy z ostatnich godzin.

Miazgarski zmielony na miazgę. Kiedyś w szkole pogroził jednemu, że jak go palnie, to matka łyżką będzie zbierać. Teraz w podobny sposób trzeba było zbierać jego. Gdzie ukrywał się przed przesłuchaniem, tego już nie powie, podobnie jak nie wyjaśni, co robił na przedmieściu. Zyga kazał wprawdzie policjantom przeszukać teren pomimo późnej nocy, niestety w strugach coraz gęstsze deszczu nie dało to żadnych rezultatów. Ponowił polecenie o świcie, kiedy z Horejukiem zajmował się aktami i telefonowaniem. A teraz komisarz, drżemiąc, ze szczegółami widział nieszczęsny raport z tych czynności, jakby go znów trzymał w rękach.

Czytał go, a zegarek na lewym nadgarstku, im bliżej było ósmej, tym wolniej tykał. Trwało wieki, zanim Maciejewski mógł wreszcie zatelefonować do Lublina i wynegocjować z Brożyńskim kolejnych kilka dni w Chełmie. Jeżeli miałyby dotrzymać trzech, na jakie pozwolił zwierzchnik, już musiałyby zbierać się do wyjazdu. Tymczasem przez sprawę Zimowskiego nie dokończył nawet raportu z kontroli.

– Ten wypadek czy też samobójstwo świadka wiąże się ze śmiercią chłopaka, to murowane, panie komendancie – słyszał sam siebie, mówiącego do słuchawki.

Brzmiało to o wiele gorzej i bardziej chropowato, niż gdyby to był film, a telefonowałyby Bodo. Miał wprawę, zagrał już komisarza Szczerbica w *Bezimiennych bohaterach*, to i z rolą Zygi dałby sobie radę, choć wymoczek. No i w kinie Bodo bezwarunkowo znalazłby w porannych raportach coś użytecznego, a Maciejewski nic. Horejuk, zatrudniony do wstępnej selekcji świeżych kwitów, zaczął mówić o jakimś zboczeńcu, który napastował robotnicę z budowy, lecz tym razem komisarza zboczeńcy w ogóle nie interesowali. Zresztą

tamtę kobiety same pogoniły, ciskając kamieniami.

– Rozumiem. Przyślemy kogoś z brygady śledczej... Tylko kogo? – zastanawiał się Brożyński. Też nie brzmiał jak Jaracz z kasowego kryminału.

– Panie komendancie, sam to dokończę, potrzebuję raptem kilku dni.

– Ze swojego urlopu, jak pan się zaofiarował?

– Tak jest.

– A jeśli odmówię, to co? Poda się pan do dymisji?

– Tak jest – powtórzył bez namysłu Maciejewski. Bliżej południa może by się zastanowił, lecz poranek to była dobra pora do straceńczych szturmów na bagnety.

Chociaż PAST-a liczyła za rozmowy międzymiastowe jak za zboże, po drugiej stronie zapadła cisza. Zyga przerwał ją pierwszy, nie tylko z powodu wrodzonego skąpstwa.

– Panie komendancie, pan przecież wie o mojej sprawie z alfonsami z trzydziestego pierwszego i pamięta rzekomego samobójcę w fabryce samolotów sprzed półtora roku...

– Pan chce mnie wzruszyć swoimi dobrymi chęciami czy przestrzec, że znowu trzeba będzie wyciągać pana za uszy z kłopotów? – wycedził Brożyński.

– Wzruszyć – odpowiedział bez namysłu komisarz. – Pan przecież wie lepiej ode mnie, że oficerem inspekcyjnym się bywa, a gliną się jest. Oberwałem po teczce personalnej, ale czy nie rozwiązałem tamtych spraw? Nikt tu w Chełmie tego śledztwa nie robi, boją się, a ja dojdę do prawdy prędzej niż brygada śledcza i to się komendzie opłaci – obiecał Maciejewski. – Na konto mojego urlopu. Kobyłka u płota. Proszę tylko o pańskie zezwolenie.

Minęło dobre dziesięć minut, zanim komendant dał się urobić, a Zyga znowu popatrywał na zegarek, bo wrócił kolejny patrol.

Niestety, miał do zaraportowania to, że w pobliżu miejsca wypadku znajdowało się niewielkie porzucone wyrobisko kredy. Przed kryzysem próbowała eksploatować je jakaś spółka, a że zrobiła plajtę, teren za długi przejęło miasto. Teraz w dole rozmiarów połowy boiska do szczypiorniaka rósł perz

i gnieździli się tam bezdomni. Jednego z nich, pijanego do nieprzytomności, znaleziono tam właśnie, lecz rozpytać z przyczyny jak wyżej nie zdołano.

Maciejewski nie miał zatem nic. Siedział półprzytomny naprzeciw zasypiającego na siedząco Horejuka i wyglądał prawie jak Junosza-Stępowski w *Znachorze*. Takim widział się również, drzemiąc w hotelu.

Pukanie do drzwi postawiło go na równe nogi.

Odrzucił kołdrę i zobaczył samego siebie ubranego jak do trumny w ciemny garnitur, tylko butów nie miał. Że nie chciało mu się rozbierać do bielizny, to odległe pamiętał, ale że nie zdjął nawet marynarki? Zerknął na zegarek. Po dziesiątej! Za godzinę Horejuk miał zameldować się z taksówką.

– Powiesiłem kartkę „nie przeszkadzać” – burknął, otwierając. Spodziewał się zastać na progu nierozgarniętą pokojową, ale stał przed nim sam kierownik „Victorii”.

– Najuprzejmiej przepraszam szanownego pana inspektora, niestety doba hotelowa za dwie godziny dobiegnie końca. Czy szanowny pan inspektor będzie łaskaw uregulować kolejne noce gotówką, czy czekiem? – zapytał bezczelnie.

Zyga nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek był łaskaw cokolwiek regulować. Nawet zegarek regulował zawsze z najwyższą niechęcią. Przypomniawszy sobie za to jedną z tych formalnych bzdur, które poruszył na koniec inspektor Brożyński: w zaistniałej sytuacji komenda wojewódzka nie poczuwa się już płacić za hotel Maciejewskiego. Może chełmska? A jeżeli nie, niech weźmie rachunki, potem coś się wymyśli.

– Noce trwają u was najwyżej cztery godziny. – Komisarz poprawił zmiętą marynarkę. – Do północy pijacy pod oknem, o świcie zawsze hałasy, spać się nie da! Na kilka dni naprzód powinno być zapłacone!

– Bardzo pana inspektora przepraszam, ale to wszakże centrum miasta. – Kierownik hotelu uniósł się powiatowym honorem. – Nic nie potrafię poradzić.

– Za to ja sobie poradzę! – Maciejewski na jego oczach wyciągnął walizkę spod łóżka, płosząc karaluchy. – Widzi pan

jeszcze, ile robactwa! Ani chwili dłużej tu nie pozostanę. I kontroli sanitarnej przysłać nie omieszkam!

Widocznie wszyscy tak mówili, bo na kierowniku nie zrobiło to większego wrażenia. Zyga natomiast z miejsca pomyślał o Dubowie i pokoju siłą rzeczy zwolnionym przez Miazgarskiego. Dlaczego nie miałby pomieszkać tam, skoro taniej i będzie miał na oku miejsce, od którego wszystko się zaczęło?...

– Ma pan wolny pokój, jak sądzę – powiedział pół godziny później, stawiając walizkę przy kontuarze w „Targowicy”. – I podobno u pana względnie mało pluskiew.

– Jak to w życiu, się robactwa nie upilnuje, panie. Ale żeby dużo, to *niet*.

Przynajmniej Dubow nie robił mu problemów. Z głupoty czy żeby władza nie patrzyła na niego wilkiem? To Zyga miał nadzieję rozeznaczyć już wkrótce.

## Rozdział 9

### – Dytyramby dionizyjskie

*Szkodyn, wtorek 17 maja 1938 roku*

Maciejewski nie cierpiał pism literackich. Jeden „Tygodnik” dawał się złożyć jak normalna gazeta, inne można było tylko zwinąć w rulon, a wtedy wybulowały kieszeń marynarki gorzej niż rewolwer czy butelka piwa. „Kamena” była nie tylko wyjątkowo nieporęczna, w dodatku ostatni numer, „poświęcony zgasłej nadziei awangardy poetyckiej”, zdaniem komisarza, stanowił dwudziestokartkową obrazę dla rozumu. W ciągu niemal godzinnej jazdy taksówką z Chełma przeczytał jednak wszystko poza najdłuższym wierszem.

*przed państwem czarna maska  
i biała bestia - - - ańcuchy rozrywa  
widzowie  
siedli  
zbledli  
i tytanowie  
się starli  
dzicy  
gdy w Szkodyniu żywi, pomarli  
śpiewali Bogurodzicy*

Trumnę z młodym grafomanem właśnie wyprowadzano z kościoła. Ksiądz zaintonował „Dobry Jezu, a nasz Panie”. Wsiowi chłopacy pospiesznie opróżnili flaszkę i delikatnie odstawili pod mur, żeby po ceremonii zabrać na wymianę. Pokrzepieni zdrowo, śmielszymi głosami przyłączyli się do śpiewu. Waclaw Zimowski zdziwiłby się, jak go tu powszechnie kochano.

Brama cmentarna otwierała się kilka kroków od wrót kościelnych, wystarczyło zakręcić trumną, by wejść w malowniczy zagajnik nad samym brzegiem Bugu. Wyłącznie zmarli nie musieli obawiać się chmar komarów, żałobników niestety gryzły. Maciejewski już kilka razy plasnął się otwartą dłonią w policzek na podobieństwo średniowiecznego pokutnika. Niemniej krzyż, trumna i szkolny sztandar tuż za nią zbliżały się, więc zdjął kapelusz.

*tu srebrne lato nad rzeką się wilo  
tu błędziła zaroślami miłość  
– napisał Zimowski.*

Zyga próbował wyłowić spośród żałobników stosownie do strof zasmuconą teraz dziewczynę, lecz nie było takiej. Oprócz pani Zimowskiej, którą niby to podtrzymywał, lecz tak naprawdę włókł się przy jej boku ojczym grzebanego, najsmutniejszy wydawał się wywiadowca Horejuk. Ten nie tylko nie przespał nocy jak Pan Bóg przykazał, ale też na polecenie komisarza musiał jeszcze dusić się w kościele i mieć oko na uczestników nabożeństwa. Maciejewski wołał zostać przed świątynią, mimo chmur pędzonych wiatrem nad domami wioski. Nie był ciekaw kazania, a przede wszystkim tu mógł zapalić i dokończyć lekturę.

*i żył chłopiec blady, niewinny  
czytał i chorzał - - - dla takich tylko sport!  
wyrósłniesz silny i duży  
więc rósł  
i rosły mu były  
muskuly  
i nie bał się już złych  
mord*

Które miałyby być tymi złymi, już nie było komu zeznać, natomiast przed komisarzem przesuwają się gęby kolegów szkolnych denata, szkodyńskich chłopów i tutejszej kawalerki.

Każdy przechodzący wbijał wzrok w czuby akuratnie wyglancowanych butów.

*lecz nocą gnały upalne, popielne sny śród ciemności  
w kręgu blasków znicza  
tańczył trzymając dłonie  
słonecznego Jerzyka Trąbicza*

Komisarz nie przypuszczał, że to nazwisko padnie po raz kolejny w tej sprawie babrzącej się niczym powiatowy ściek, zwłaszcza że dawny lubelski dziennikarz i literat wyjechał robić karierę w Warszawie. Co wyczyniał tam z rymami i akolitami liryki, tego komisarz nie śledził. Teraz chętnie znów zaświeciłby mu lampą w pysk, nawet gdyby miał potem przeprosić.

*tak oto przed państwem poeta  
i szatan- - - narożnik lewy  
tu zło się z dobrem zmierzy  
weźmie za bary  
wódka podnieca  
piwo, piwo ochłodzi  
szatan już stary  
on młody*

Czarna maska i biała bestia, szatan i anioł, to Maciejewski przypominał sobie z własnych lat szczenięcych, gdy tak kochał cyrk. Kina wówczas unikał jak mógł, odkąd ciotka zaciągnęła go na Życie i mękę Jezusa Chrystusa. Terkot aparatu był nieznośny, aktorzy głupkowato machali rękami, w dusznej sali śmierdziało cygarami i perfumą, tyle dobrego, że krwawe rany Zbawiciela ładnie i realistycznie podkolorowano na czerwono.

Zimowski był już z innego pokolenia: przywykł do o niebo lepszych filmów, za to o prawdziwym cyrku sportowym, takim jak przed wojną, mógł tylko usłyszeć od starszych. Od Dubowa? Jeżeli nawet, to nie zająknął się o tym ani słowem w swoim pokracznym poemaciku, za to znów zmienił temat.

*dlaczego jak topielica stajesz codziennie na brzeg  
i zasypujesz mnie pijanych słów drżącą wążanką  
odpowiedz – dlaczego – kochanko nie kochanko –  
dziewczyno – dziewico – dziewojo?*

Rumiane dziewczyny w chustkach i czarnych sukienkach szły, trzymając się pod ramię. Maciejewski próbował wyłowić w tłumie tę dziewczę z wiersza, jednak musiał przyznać nie po raz pierwszy, że poezja to gówniany dowód procesowy. Żadna nie uroniła łzy.

*bić się dla ciebie – nie moją?  
– zapomnij!  
przeczytasz w „Expressie”  
– wspomnisz*

Maciejewski nie miał już siły czytać o „występującym przed państwem Rimbaudzie spod Chełma”, tym bardziej o dziewczynie zebrzącej później: „O chłopcze, chłopię, chłopiątko, zerwij gałąź wiśni z mych ust, z mych ud”... To nie było nawet londonowskie, ale wzięte z najgłępszego amerykańskiego westernu. Dziewczyna chciałaby mu nieba przychylić, ale chłopak wybrał życie samotnego rewolwerowca.

„Kamenę” komisarz ukradkiem wsadził sobie za pasek od spodni. Najchętniej by wyrzucił, ale mogła się jeszcze przydać. Wyłowiwszy wzrokiem Horejuka, zgodnie z poleceniem idącego za żałobnikami, zapiął marynarkę i też powłókł się za konduktem.

\*

Dzień był chłodny. Wiatr przynosił wilgotny zapach ziemi i mokrej trawy. Nad głowami żałobników dokazywały jaskółki, lecz zebranych tu ludzi oblepiał męczący, fałszywy smutek. Wyłaził jak błoto spod podszew. Szkolny sztandar prawidłowo pochylał się nad trumną, trzymający go chłopak i dwie asystujące mu uczennice potrafili stać na baczność lepiej niż mundurowi z chełmskiej komendy, lecz mowa wygłoszona przez kolegę klasowego była tak banalna, że równie dobrze



mógłby napisać ją Maciejewski, chociaż żywego Zimowskiego nie widział na oczy.

Horejuk zerknął na komisarza, stojącego kilka metrów dalej. „Będziemy stać osobno i macie patrzeć uważnie, czy ktoś tutaj nie pasuje”, takie polecenie dostał wywiadowca. Niestety, wszystko mu pasowało. Jego zdaniem tylko oficer inspekcyjny, w garniturze jak psu z gardła wyjętym oraz z miną wyrażającą krańcowe znużenie, nadawałby się do zgarnięcia i rozpytania.

Komisarz niczym podtatusiały lubieżnik długo lustrował wzrokiem delegację czarniecczyków, w granatowych czapkach i z amarantowymi tarczami klas licealnych, stojącą godnie i z powagą. Już w kościele ksiądz podczas kazania dziękował młodzieży, która mimo nawału nauki między egzaminami maturalnymi stawiała się ze szkolnym sztandarem, godłem nauki, patriotyzmu i pobożności, aby pożegnać drogiego kolegę. On już ostatnie egzaminy zda przed Panem Bogiem, najlepszym i najsprawiedliwszym Nauczycielem. Od Niego dostanie on swe świadectwo dojrzałości i w niebie będzie miał zasłużone wakacje. A kiedy i reszta klasy kiedyś do niego dołączy, on zadziwi się: „Alem naczekał się na was, koledzy najmils! Tylko coście tacy zgrzybiali i postarzali? Toż my całą klasą po maturze mieli jechać na biwak, nad morze, w góry i rozmawiać długo o tym, co nas w tym dorosłym życiu czeka...”. Jakkolwiek Horejuk miał uraz do katolików, których pierwszym czynem bohaterskim w Chełmie po odzyskaniu niepodległości było wyrzucenie z krypt katedry na bruk trumien prawosławnych biskupów, to musiał przyznać, że ten wiejski klecha mówił dobrze i z pasją. Nie straszyl, koil. Tylko kadzidla, zdaniem rusińskiego tajniaka, używał za mało.

Co Horejuka zdziwiło, na pogrzebie brakowało dalszej rodziny. Krewni poumierali czy nie chcieli mieć nic wspólnego z tą parą i synalkiem? Nieszczerólnie zainteresowany dołą zmarłego był także jedyny ziemianin, zapewne znajomy rodziców. Co chwila popatrywał ukradkiem na zegarek, widocznie pilno mu było dojrzeć, czy ulewa nie poczyniła szkód w kłoszącej się ozimynie. Kilka sąsiadek, wdów lub starych panien, cicho plotkowało. Ludzie ze wsi przyszli, jak to

publiczność, zobaczyć ładny pogrzeb. Tyle miał obserwacji posterunkowy Horejuk. Nic, co nadawałoby się chociażby do notatki służbowej.

Z zupełną obojętnością Maciejewski patrzył, jak Zimowska w spazmach chciała się rzucić na trumnę, właśnie opuszczaną do grobu, i o mało nie zepchnęła tam swojego męża, który usiłował ją uspokajać. Po kwadransie grabarze uklepalii szpadlami mogiłę, wbili w nią drewniany krzyż i odeszli na bok łyknąć wódki; w końcu chłód szedł od ziemi, a od rzeki wiało malarycznie. Ksiądz, przepchnąwszy się przed ziemianinem, ledwie złożył kondolencje, ruszył alejką pospiesznie jak za potrzebą, a stary kościelny ledwie nadażał. Komisarz nie zwrócił na to większej uwagi i wciąż wodził spojrzeniem po żałobnikach, którzy jak to na wsi długo stali nad grobem. Naraz ściągnął brwi i oszczędnym ruchem głowy wskazał Horejukowi młodego człowieka.

Gdyby nie kapelusz zamiast szkolnej czapki, pasowałby na członka delegacji z gimnazjum Czarnieckiego. Jednak zamiast podejść do zbolalej matki ze swymi wyrazami współczucia dołączonymi do sztywnych kondolencji kolegów, zaczął wycofywać się dyskretnie, a potem żwawszym krokiem wyrwał w stronę bramy cmentarnej.

Komisarz ruszył za nim. Horejuk zdążył dołączyć, już kiedy oficer kładł dłoń na ramieniu chłopaka.

– Czy to wypada tak po angielsku opuszczać pogrzeb kolegi?  
– zapytał go cicho, prosto do ucha, przyjacielsko biorąc pod ramię.

Zaskoczony młody człowiek zasłonił się kapeluszem niczym puklerzem.

– Bo pan musiał chodzić ze zmarłym do jednej klasy, czy nie tak? – zaatakował Maciejewski.

– A co to pana obchodzi?!

We wzburzeniu chłopaka było coś komicznie pokracznego, jak w butach Chaplina, które tajniak widział na filmie w „Wersalu”.

– Bardzo wiele. – Komisarz ścisnął go silniej. – Wódkę pan pije? – dorzucił niespodziewanie.

– A kim pan jest?! – Chłopak spróbował się wyrwać, lecz

zastygł w bezruchu na widok podetkniętej pod oczy policyjnej blaszki.

– Bliźnim – wyjaśnił oficer inspekcyjny ze szczerym uśmiechem. – W dodatku dyskretnym. Ja stawiam, pan odpowiadasz mi szczerze na pytania, które nie pójdą do protokołu.

Tajniak zupełnie nie rozumiał, jak to się stało, że chłopak nagle zmiękł, wygrzeczniał. Ulżyło mu? Na to czekał? Tak chyba należałoby powiedzieć, bo miał w oczach coś takiego jak najmłodszy brat Horejuka za każdym razem, gdy przychodziło wreszcie Boże Narodzenie.

\*

Maciejewski pożałował, że na pogrzeb do Szkodynia wziął ze sobą Horejuka. Wcześniej druga para oczu wydawała mu się przydatna, teraz nieporęczna.

Symptomy komisarz zauważył bardzo szybko. Wszyscy w ten wietrzny dzień kulili się pod czarnymi ubraniami, natomiast tym chłopakiem chwilami trzęsły dreszcze i ocierał czoło wilgotną chustką. Owszem, trzymał pion, był w końcu dobrze wychowany, jednak niczym szczerzy z natury dzikus wepchnięty między cywilizowanych ludzi nie potrafił spokojnie ustać przy co większych kłamstwach wygłaszanych nad trumną. Z maturzystami znał się, wymienili uściski dłoni. Młodszy uczniowie ze szkolnej delegacji chyba byli mu obcy. I podczas gdy Zyga, omal nie ziewając, przyglądał się cmentarnemu spektaklowi; podczas gdy czarniecczyzy przejmowali się należycie powagą chwili, tamten coraz bardziej nerwowo dziobał czubkiem buta w błocie. Półkrok za półkrokiem oddalał się od reszty kolegów, jakby wstydził się lub odwrotnie: nie mógł powstrzymać obrzydzenia. Gdy przy spuszczeniu trumny do grobu przez twarze żałobników przelała się należyta fala smutku, on zareagował uśmiechem, patrząc pod nogi na dołek wykopany butem. To oczywiście mogło świadczyć wyłącznie o szczególnej wrażliwości lub braku opanowania.

Zyga przysunął się do niego tak blisko z jednej tylko przyczyny: chciał poczuć w oddechu alkohol albo zobaczyć oczy wybaluszone przez kokainę. „Wódkę pan pije?”, rzucił już na

pewniaka, gotów zaraz zmienić propozycję w zarzut, gdyby młody człowiek wyparł się nadużywania spirytualiów jak święty Piotr Jezusa. Chłopak nazywał się jednak Tomaszewicz, a na imię miał Marek, jak całkiem inny apostoł.

W oszpeconej koślawymi podcieniami szkodyńskiej gospodzie Zyga kupił litra i dwie ćwiartki, które pochował po kieszeniach na wszelki wypadek. Biorąc pod uwagę młody wiek ofiary, miał nadzieję, że jedna butelka wystarczy. Poszli na Bug.

– Po co to robimy, panie inspektorze? – szepnął po drodze tajniak, kiedy ich nieoficjalny świadek oddalił się w krzaki na wzgórek.

– Dla wiedzy, Horejuk. – Maciejewski poczęstował go papierosem. – Imię, nazwisko, urodzony, czy znaliście, czy widzieliście? To cały repertuar pytań, które umie zadawać komisarz Hejwowski. Wy zresztą też. A ja nie po to marnuję swój czas na wasze śledztwo, żeby zostać z gównem w garści. Jak dowiem się o wstydliwych sprawach ofiary, to może dowiem się przy okazji czegoś ciekawego o zabójcy. Was to nie ciekawi? Jak rebus albo inna zagadka umysłowa?

– Ale przecież nie spisze się z tego protokołu, więc zostaniemy z gównem w garści, wedle metafory pana inspektora.

– Oj, Horejuk, Horejuk... – Zyga pokręcił głową, szukając w pudełku niespalonej zapalki. – Nic na kursie nie zrozumieliście z wykładu o etyce służby wywiadowcy. Wy jesteście jak ksiądz albo jak ten wasz pop, wy macie znać wszystkie grzechy, jakie popełniają parafianie. A z których sędzia śledczy czy prokurator zechce zrobić użytek, to już jego sprawa. Ci panowie zarabiają więcej od was, po co macie myśleć za nich i wyrażać w robocie? No, chyba skończył.

Struga moczu, która zapowiadała się na wodospad spływający z niewielkiej skarpy, zatrzymała się szybko, zmieszała z błotem. Nerwowe sikanie, jak u psa. Nawet Horejuk to zauważył.

– No to będziemy pili czy patrzyli jak sroka w gnat? – Maciejewski poklepał Tomaszewicza po plecach, ledwie ten dołączył. Mógł uciec zaroślami, ale wybrał prawdę, to Zyga uznał za dobry znak. – Tam może usiądziemy? – Wskazał porośniętą rzadkimi sosnami skarpe, względnie osłoniętą od

wiatru i wzroku wścibskich parafian. – Jest pniaczek i piękny widok za rzekę na kresy nasze wschodnie. – Pierwszy pociągnął z butelki, by wydać się godnym zaufania. I w gruncie rzeczy, by samemu trochę odżyć. – Pana mało szlag nie trafił, kiedy powiedziałem o Zimowskim jako pańskim koledze.

Tomaszewicz przyssał się do flaszki, zanim jeszcze doszli na miejsce.

– Był ostatnim skurwysynem, a nie kolegą. Powinien był wylecieć ze szkoły z wilczym biletem, ale jego ojczym się zakręcił i posmarował, żeby powtarzał maturalną klasę. Ja zdałem.

– No i widzi pan, jak nam się dobrze rozmawia mimo różnicy pokoleń! – Zyga klepnął go serdecznie. – Narzeka się na was, że jesteście zepsuci i niepatriotyczni, a pan mi zaczyna mówić prawdę jak księdzu na spowiedzi. I widzi pan również, że dotrzymuję słowa. Niczego nie protokołuję.

– A tamten? – Chłopak wskazał Horejuka.

– My jesteśmy przecież gliny. Chodzimy po dwóch, bo jeden umie pisać, a drugi czytać. On akurat jest czytelnikiem.

Tajniak w pierwszej chwili poczuł się urażony, lecz po godzinie w pełni pojął grę komisarza, który z każdym przechyleniem flaszki dawał do zrozumienia, że Bogiem a prawdą Zimowski tylko narobił im kłopotu swoją śmiercią. Poskarżył się chłopakowi, że przez to zabójstwo przysłali z Lublina na kontrolę inspektora Maciejewskiego, ostatniego skurwysyna.

– Ja, koniec końców, nie przedstawiłem się panu. Przodownik Fałniewicz, dla pana Witold. – Ściskając dłoń młodzieńca, bez zmrużenia oka podał nazwisko swojego podwładnego z nie tak dawnych czasów. – A co w tym takiego złego, że Zimowski powtarzał klasę?

– Nic, ale widział pan litery na szkolnym znaczkun? – Nieoficjalny świadek zarechotał, sięgając po flaszkę.

– Tym z munduru? Na rogach chyba było ce-ha jak Chełm, reszta nie do rozczytania.

– Reszta to es i ef. Razem daje: skurwysyn, fajansiarz i chuj. Taki skrót, proszę pana! – roześmiał się na cały głos

Tomaszewicz. – Do niego pasowało jak ulał! – Skrzywił się może po zbyt obfitym łyku, a może jako człowiek prawy na myśl o gliście ludzkiej. – To był pederasta, proszę pana! Wchodzisz pan do szkolnego klozetu, chcesz się pan odlać, a on niby tylko stoi przy oknie i pali papierosa. Nie wolno, woźny poczuje, będzie kłopot, ale on pali, żeby pan myślał sobie, jaki z niego kozak. „A wiesz, Marek, jak można w bójce załatwić faceta?”, tak mówi. „Na przykład tego z pedagogika, który przystawia się do twojej upatrzonej dziewczyny”... Niby pokazuje chwytty krok po kroku i nagle jesteśmy w kabinie, sedes, on nogą zamyka drzwi i nic nie mogę zrobić, bo mam unieruchomione ręce. „Łapiesz go, Marek, za jaja”... I on mnie jedną ręką trzyma, a drugą rozpina mi rozporek. Coś mnie tknęło, jakiś chyba instynkt, że odbiłem się nogami, zaparłem nimi o ściankę w klozecie i wyrznąłem go plecami o drugą, aż się to wszystko prawie posypało. Hałas się zrobił, woźny mógł usłyszeć, no to mnie puścił i w śmiech, że niby tylko żartował, a ja jestem zestrachana baba.

Maciejewski spojrzał niepokojąco trzeźwo na Horejuka. We wzroku oficera inspekcyjnego tkwiło oczywiste pytanie, czy tajniak na pewno łowi każde słowo z rozmowy. Wywiadowca dla picu pociągnął z butelki łyczek jak dla ptaszka i ukradkiem skinął głową.

– A może jednak rzeczywiście tylko żartował? – rzucił na przynętę komisarz, znów w pijackim nastroju.

– No jak żartował! – Niedawny uczeń oburzył się aż tak, że Zyga musiał potrzymać mu głowę, inaczej chłopak zwymiotowałby prosto na całkiem przeciwie nowe spodnie komisarza. – On tak niejednego próbował... – zaczął wyznawać, chociaż Maciejewski już nie poił go wódką. – Tadek Kalinowski z szóstej klasy, chłop jak dąb! Zimowski obiecał, że nauczy go bić się. Przysięgał! – Młody człowiek huknął się w pierś. Spod rozchełstanej koszuli wyglądał blady i chudy tors, skąpo porośnięty żółtawymi kłakami. – Tadek przysięgał, że jak go Zimowski wziął w nelsona, tak żeby niby pokazać, to aż go w dupę ukłuł kutasem. Przez ubranie, no tak! No niech pan powie, to w bójce kutas staje komuś normalnemu?

Komisarz pokręcił głową. Wprawdzie sam odlegle pamiętał, że w tym wieku miewa się wzwód bez wyraźnej przyczyny, czy jednak podczas bójki? Tego akurat z własnego doświadczenia nie potrafił sobie przypomnieć.

– No ale ten wasz kolega pisał wiersze – zauważył, chcąc przejść z seksuologii na psychologię.

Tomaszewicz albo nie wierzył w przyszłość literatury polskiej, albo Zyga przecenił jego wytrzymałość na alkohol. Młody człowiek zsunął się z pnia i na czworakach odpełznął kilka kroków, by podparty łokciami jeszcze raz zwymiotować pomiędzy mankiety czarnej marynatki.

– Tylko pedały piszą wiersze – wybelkotał i legł, obróciwszy się wstydliwie od żółtozielonej, cuchnącej kałuży. Niespełna minutę później zachrapał.

Maciejewski nie dyskutował, pozwolił mu spać. Horejuk dla spokoju sumienia pomacał jego puls i położywszy chłopaka na boku, zapiął mu marynarkę.

– Weźcie gówniarzowi forszę z kieszeni, żeby go nie okradli – polecił komisarz. – Zdeponuje się na tutejszym posterunku.

Pociągnął łyk wódki i spojrzał na dno. Podał butelkę Horejukowi, a ten nie odmówił toastu. Cisnąwszy flaszkę w odmetę Bugu, Zyga niezmqczonym krokiem sportsmena ruszył w kierunku wsi. Tajniak za nim. Gross miał przykazane czekać pod posterunkiem, żeby widok samochodu ze stolicy powiatu nie zakłócił spokoju żalobników. Nie licząc drogi, licznik musiał nabić ponad pięć złotych... Szczęśliwie rachunek za taksówkę zapłaci chełmska komenda, bo pewne, że Hejwowski nie będzie miał odwagi zaprotestować.

Komisarz odwrócił się jeszcze i wyjął papierosa. Młody człowiek w czarnym garniturze leżał w trawie jak ofiara wiejskiego wesela albo poległy powstaniec. W leniwej rzece głodne ryby co chwilę chciwie całowały od spodu powierzchnię wody, zauważywszy smakowitego insekta. Piekło, niebo, piekło, niebo, komisarz zaczął szukać w pudełku zapalek niespalonej, wyrzucając te nieużyteczne, jak powinien zrobić to już rano. Pierwsza z ładnym łebkiem wypadła na piekło. Maciejewski zapalił.

\*

Dyżurny na posterunku w Szkodyniu, mimo okazanej mu policyjnej blaszki, bronił aparatu telefonicznego jak niepodległości. Zwyciężył go Horejuk, mniej wypity i z rodziną w tych stronach.

– To jest mój notes – chrapliwym głosem wykladał tymczasem Zyga obu policjantom, mundurowemu i w cywilu. – W nim znajduje się, proszę panów, szereg użytecznych numerów telefonów. Połączcie mnie na początek, kierownikowi, z Polskim Radiem w Warszawie.

Czekali przeszło kwadrans. W tym czasie komisarz wypił szklankę kawy i jego twarz nabrała koloru purpury. Za to w mgnieniu oka zgubił zaśpiew moczymordy z prawego brzegu Wisły i do słuchawki powiedział już, jakby od wczoraj nie pił nic prócz wody sodowej:

– Polskie Radio? Z redakcją dla dzieci poproszę... Nie, nie w sprawie programu. Nazywam się Maciejewski, jestem komisarzem policji i muszę pilnie mówić z redaktorem Trąbiczem.

– Pan redaktor Trąbicz już u nas nie pracuje, proszę pana – powiedział ktoś miłym damskim głosem.

– Gdzie w takim razie mam go szukać?

– Jeżeli istotnie jest pan komisarzem policji, tak jak pan twierdzi – z niepozabawionym mściwością rozbawieniem zaczęła sekretarka – to powinien pan wiedzieć lepiej niż ja. Do usłyszenia. – Rozłączyła się.

– Jeszcze raz, tym razem Łuck. Ten numer. – Podał notes funkcjonariuszowi.

Sam rozsiadł się na środku izby w wiejskiej chałupie, w miejscu gdzie zwykle wiszą święte obrazy, tu ozdobionej państwowym orłem i portretami prezydenta oraz marszałka Rydza-Śmigłego. Zamiast stołu, jak by należało, izbę przedzielała barierka z przylegającym do niej spracowanym biurkiem. Dyżurny posterunkowy, który ustąpił komisarzowi honorowego miejsca, przysiadł na zydłu obok plakatu z chorobami wenerycznymi. Horejuk zajął miejsce na



parapecie, nad którym w lekkim przeciągu z uchylonego lufcika kołysał się lep na muchy.

Chełmski tajniak nie widział w nim większej atrakcji, natomiast Zyga z ciekawością przypatrywał się konaniu opalizującej zielonkawo gnojówki, która nie mogła już oderwać od kleju żadnej kończyny, lecz wciąż furgotała skrzydełkami.

– Halo, Zakrzewski przy aparacie – po kolejnym kwadransie w słuchawce odezwał się głos znajomego poety. – Zyga? W porę zadzwoniłeś, bo siedzę na walizkach.

– Na jakich walizkach, Józek? Znowu coś nabroiłeś i pali ci się pod dupą? – zapytał domyślnie komisarz.

– Jesteś teraz ważny oficer inspekcyjny i nic nie wiesz? – Pytanie zawisło na chwilę na kablach. Komisarz nie spodziewał się, że również Zakrzewski ma jeśli nie stosowny notes, to pojemną pamięć i śledzi postępy tak zwanej kariery policjanta.

– Wojewoda Józewski idzie w odstawkę, a razem z nim wszystkie nasze polsko-ukraińskie szklane domy. Nie będzie ukraińskiego Piemontu w Polsce, nieodwołalnie będzie nasz rodzimy *Kulturkampf*, a ja od przedwczoraj nie jestem już redaktorem naczelnym „Wołynia”. My burzymy im cerkwie, a minie kilka lat, oni *budut’ rizaty Lachiw*. Chciałeś coś ode mnie? – przypomniał sobie, wygłosiwszy to przemówienie.

Maciejewski miał nosa, że chłopak wyjdzie na ludzi, ale że z byłego komunisty w ciągu kilku lat zrobi się bojowiec antymoskiewskiego pojednania polsko-ukraińskiego, to komisarza wciąż dziwiło. Ponieważ Zakrzewski wyjechał z Lublina, nie mieli okazji o tym porozmawiać przy wódce, ale najwyraźniej młodszy kolega z ringu stał się większym piłsudczykiem niż sam nieżyjący Marszałek. Szczęśliwie z notesu wynikało, że wierszy pisać nie zaprzestał, więc wciąż powinien mieć pojęcie, co jest na rzeczy.

– Mam przed sobą najnowszą „Kamenę”, Józek. Nie, nie bierz mnie za wariata, nie przeglądam tego dla przyjemności, tylko dochodzeniowo! Pewien młody poeta „w kręgu blasków znicza tańczył, trzymając dłonie słonecznego Jerzyka Trąbicza”. O co tu chodzi?

– Zimowski? – padło natychmiast z drugiej strony. – Ten

chełmski grafoman, który dałby dupy samej Iłakowiczównie, gdyby oczywiście autorka *Płaczącego ptaka* miała ptaka, żeby go od tyłu wygrzmocić? A o co ten gówniarz jest podejrzany?

– Ten gówniarz nie żyje. Podejrzewam go wyłącznie o to, że ktoś go zabił. Rozumiem, że ta wiadomość nie zepsuje ci popołudnia?

– Nawet mnie przesyłał swoje rzygi liryczne, Zyga, a Trąbicz, znając jego skłonności opiekuńcze, pewnie nie mógł się od szczeniaka opędzić.

– Z Trąbiczem też chciałem porozmawiać, ale najwyraźniej wyrzucili go właśnie z radia...

– Bo i w Łucku, i w Warszawie idzie dobra zmiana, panie komisarzu! – zarechotał Zakrzewski. – Mnie za idee, jego za pedałstwo. Każdego II Rzeczpospolita, macocha nasza, ma za co utrać. Tylko ty awansujesz jako wyjątek od reguły. – Zamilkł na chwilę. – Wracając do twojego Zimowskiego, to był jeden taki jego dziwny tekst, fatalnie napisane opowiadanie, które Trąbiczowi i mnie pokazał kiedyś Jaworski. Jest młody chłopak, który ma swoje pierwsze zawody zapaśnicze, ale w gruncie rzeczy chodzi mu wyłącznie o to, że kiedy ktoś zakłada mu nelsona, to on czuje pytę na swoim tyłku. Chłopak walczy jak lew, tylko czuje się przy tym jak dziewczica, która i by chciała, i się boi. Koniec końców to bohater opowiadania zwycięża zawody, publiczność ryczy, a on płacze.

– I co?

– I nic. Mówiłem ci, że to było kiepskie. Zapytaj Jaworskiego, on niczego nie wyrzuca, nawet słowotoków Miłosza. A w ogóle to jak się masz, Zyga?

– Jak dupa w pokrzywach.

– Ja też jak wieprzek na świniobiciu.

– No to dziękuję ci i serwus! – Maciejewski odłożył słuchawkę. – A wam, posterunkowy, jak mija służba? – Poczęstował policjanta papierosem.

– Melduję, że bez szczególnych wypadków – zaczął urzędowo funkcjonariusz, lecz naraz w twarzy oficera dostrzegł rys Polaka i bliźniego. – Czyli w skrócie telegraficznym stara bida, panie komisarzu.

\*

*Chełm, wtorek 17 maja 1938 roku*

Od wążania kadzidła, jakim przesiąkła od zeszłego stulecia cerkiew Jana Teologa, Maciejewskiemu cholernie chciało się palić. Siedział jednak na twardej ławie przy ścianie cerkwi i słuchał chóru chłopięcego, który ordynował pieśni żałobne na pamiątkę zmarłego nagle kolegi szkolnego. Mimo że był katolikiem. Z taką chrześcijańską miłością bliźniego Zyga nie spotkał się jeszcze, dopiero tu, w Chełmie.

Komisarz już pół godziny wcześniej podejrzliwym wzrokiem taksował czarno ubranych ludzi, cicho zajmujących miejsca. Czy sprawił to przyrodzony cynizm, czy dwanaście lat służby śledczej, Maciejewski najmniej zaufania miał do tych dobrych. W przeciwieństwie do bandytów często go nieprzyjemnie zaskakiwali.

Dubow był jednym z honorowych gości, których posadzono z przodu na miękkich krzesłach przyniesionych pewnie z popówki, ale Zyga mógł całkiem wygodnie obserwować jego reakcje, bo sporo eksponowanych miejsc pozostało pustych. Katolicko-żydowski magistrat oraz rdzennie prorządowe starostwo nie zaszczyliło uroczystości, splendoru dodawali tylko wszyscy trzej kapelani wojskowi: Polak, Żyd i Rusin, zupełnie jak w jakimś dowcipie.

Gdy mocniej wybrzmiewały dyszkanty najmłodszych chłopców, stary zapaśnik miał łzy w oczach i zmieniał pozycję, zupełnie jakby chciał zawołać do tych aniołków, aby usiadły mu na kolanach. Towarzyszący komisarzowi Horejuk zastygł zupełnie niesłużbowo. Maciejewski zaś, nudząc się, w dwójnasób czuł nieuchronną karę bożą za to, jak wrednie potraktował Tomaszewicza. Nadchodzący kac na razie łagodnie odsunął swą ofiarę od zewnętrznych wrażeń, jakby oczyszczał sobie przedpole. Zyga wiedział, że za godzinę lub dwie każdy głośniejszy odgłos stanie się nieznośny, lecz wiedział także, jak korzystać z błogosławieństwa tej chwili rozjaśnienia przed cierpieniem. Starając się ignorować natarczywy kanon żałobny

chóru chłopięcego, myślał o Zimowskim.

Już rozumiał sens jego wierszy, telefon do Zakrzewskiego był wyłącznie kropką nad i. Pederastyczne upodobania chłopaka zmieniały postać rzeczy, niestety tylko operacyjnie. Ani kolega szkolny ofiary, ani Zakrzewski nie dadzą nic na protokół, co do tego komisarz nie miał wątpliwości. Dlatego właśnie siedział w cerkwi niczym głodny drapieżnik i wypatrywał zdobyczy, skoro żadnej nie schwytał na pogrzebie. Wodził wzrokiem po głowach przed sobą, lecz prócz nie zawsze czystych kołnierzyków męskich koszul i nazbyt tłustych karków kobiet nie zauważył nic podejrzanego.

*Wyletiła dusza z tła, na nowij mohyli siła, zaczął chór.* Kanon skończył się już, teraz śmierć w krótkich słowach miała opisać pieśń ludowa. *Wona siła i plakała: De ja budu noczuwała?* rozdzierająco dodały dramatyzmu trzy dziecięce dyszkanty. Maciejewskiemu wydawało się, jakby był na miejscu zdarzenia, gdzie świadek mężczyzna stara się mówić z sensem, lecz po chwili zaczyna histeryzować towarzysząca mu kobieta. Potem w pieśni przyleciał anioł z nieba, a na pysku Zygi wykwitł ironiczny uśmieszek, bo zamiast bożego posłańca wyobraził sobie wiejskiego glinę na rowerze z karabinem przewieszonym przez plecy. *Czoho tobi, dusze, treba?*, zapytał policjant miejscowym językiem, widać znał teren. Dowiedziawszy się, że dusza zmarłego nie potrzebuje niczego prócz zbawienia, wyjął notes służbowy. Czy spowiadała się, czy pokutę odbywała, z rutyną odfajkował rubryki, a potem skierował duszę do nieba niczym do komisariatu. *Tam tobi skazut', szczo treba*, oznajmił, na pewno poprawiając pasek czapki pod brodą. Wypytają, coś ty robiła, żeś tak dużo nagrzeszyła. Dusza ryknęła mu płaczem, że została przecież sierotą, ale niebiański posterunkowy wręczył wezwanie i wsiadł na rower. Do wieczora miał pewnie jeszcze kilka wsi do objechania, dlatego pieśń nie doczekała się wyrazistego zakończenia jak dobrze skrojona powieść kryminalna. Wybrzmiał jedynie dyszkant: *O mij Boże myłostywyj, bud' nado mnoj litostywyj.*

Dubow poderwał się z krzesła z kwiatami. Dał po wiechciu

każdemu z chłopców, a tego, który przed chwilą odgrywał nieszczęsną duszę, podniósł i wycałował po rosyjsku w policzki i usta.

– I co sądzicie o tym melomanie? – Maciejewski nachylił się do Horejuka.

– Ten chłopiec to właśnie mój najmłodszy braciszek, któremu groziła głuchota – odpowiedział tajniak, chociaż na inne, niezadane pytanie.

Zydze przemknęło przez głowę, że chciałby poznać tego wytrwałego jebakę, ojca Horejuka, niemniej jako człowiek kulturalny i z miasta wojewódzkiego powstrzymał się przed podobnym wyznaniem. Tymczasem potężny zapaśnik i mniej umięśniony, jednak równie wysoki i brzuchaty pop ściskali się niczym dwa niedźwiedzie. Bez wątpienia obu czekał jeszcze zakrapiany poczęstunek, na jaki chłopcy z chóru byli zbyt młodzi. Dubow zaś na żadnego z tych podrastających nie rzucił nawet okiem, za to z prawdziwą czcią pocałował w płową główkę najmłodszego Hojeruczka. Publiczność zaczęła opuszczać cerkiew, nieliczni tylko podeszli do ikon, pokłonić się im i nabożnie ucałować drewno. Chudy diak z rzadką kozią brodą zebrał chłopców w gromadkę i razem skierowali się ku drzwiom. Maciejewski tym bardziej nie miał w cerkwi nic więcej do roboty.

Był niedogolonym przyjezdnym gliną, nie brodatym świętym ani gładkolicym aniołem.

\*

Zyga potarł trzeszczący zarost na policzku i na dobry wieczór wypił kieliszek monopolki pod ogórka małosolnego. Dubow tymczasem, już bez marynarki, tylko w białym fartuchu wystającym spod kamizelki, miał huk roboty. Zajęty, odmówił nawet siłowania się na rękę nader zadowolonemu z życia robociarzowi.

– Ale ja Feluk jestem, murarz! – zaprotestował głośno tamten, jakby jego nazwisko „Przegląd Sportowy” co i raz drukował w nagłówkach.

– Niech pan o ręce dba – poradził Dubow. – Przyjdź pan, jak

ochłoniesz.

Obrażony murarz próbował jeszcze targować się z byłym zapaśnikiem, ale knajpiarz był twardy tego wieczoru. Gdy awanturnik wyszedł, Dubow krzątał się już głównie przy „panu inspektorze” z taką zajadłością, jakby komisarz rzeczywiście doszedł do tej szarzy. W ruchach i gestach dawnego atlety nie było jednak nic przypominającego tych miękkich facetów, z których drobnym szantażykiem robiło się informatorów albo dawało na żer obyczajówce. Topornej urody, na pedała nie wyglądał. A szkoda, uznał komisarz, życie byłoby prostsze.

Przesadzić z wódką ani zamierzał, potrzebował tylko paru kropel, żeby głowa rano nie bolała. Dlatego do drugiej monopolki Zyga kazał podać sobie piwa i zrobił nurka. Zgrabny kieliszek powoli utonął w kuflu, puszczając kilka baniek, a mocny alkohol ślicznie zafalował w chmielowym napoju i niczym opadająca chustka panny, rzucona z okna kawalerowi, osiadł na dnie. Mógłby patrzeć na to jak jego dawny tajniak Fałniewicz na swoje rybki w akwarium. Byłe jedno i byłe nie zamieszać, wtedy kac murowany!

Jednakże opróżniwszy kufel pod sławną kaszanę z „Targowicy”, nabrał ochoty na golonkę z chrzanem, którą też trzeba popić, dlatego trzecie jasne z chełmskiej Nowej Bawarii wziął pod żeberka z cebulką. Tymczasem z karty uśmiechał się jeszcze śledzik, ale do tego deseru komisarz nie miał serca znów kazać kieliszкови nurkować w zimnym piwie. Rybki nie lubią, jak jest mętno, Fałniewicz też to powtarzał. Zamówił więc od razu dwie setki, żeby im było raźniej, i otworzył pomięty zeszyt „Kameny”.

– Pan wie, że Zimowski napisał o panu w wierszu? – Dźgnął palcem strofy, kiedy knajpiarz przyszedł z zamówieniem.

Dubow rozejrzał się po prawie pustej sali. Tylko dwóch dorożkarzy przysypiało nad kuflami, chociaż dochodziła dopiero ósma. A komisarz nie mówił głośno, żeby nie budzić ludzi ani demonów.

– „Przed państwem czarna maska i biała bestia łańcuchy rozrywa” – powoli przeczytał dawny zapaśnik. – Ech, było, minęło... Żal.

– Czego żal, panie Dubow?

– Chłopaka żal, tego parszywego świata żal i samego siebie mi żal, panie inspektorze. – Knajpiarz westchnął, zamiatając ścierką stolik. – Do śledzia pan inspektor woli chleb czy bułkę?

– Bułki do śledzia tylko pedały jedzą – rzucił Zyga na przynętę, sądząc, że okaże się spryciarzem nad spryciarzami i wyrwie knajpiarzowi z gardła pierwszorzędne zeznanie o młodym Zimowskim. Niestety, Dubow był albo za głupi, albo dobrze grał.

– Ja czasem jem, nie wiedziałem – odparł, kolistym ruchem ścierki rozsmarowując chlapniętą przypadkowo kroplę oleju na blacie stolika. – Niech Bóg zmiłuje się nad nami grzesznymi!

Maciejewski zaśmiał się serdecznie, lecz pożałował tego, gdy przyszło do zapłaty. Dubow, jak przystało na chrześcijańskiego knajpiarza, nie dał zniżki bezbożnikowi. Na dodatek słowa jurodiwego z Chełma, który zamiast brody do pasa wciąż miał imponujące mięśnie, odbiły się komisarzowi czkawką jeszcze tej nocy. Bo nad Zygą Bóg się nie zlitował.

Najpierw śnił mu się komisariat, a potem obudziły go odgłosy kroków na podwórzu. Najwyraźniej mieszkające po sąsiedzku panny Kugelówny, rejestrowane prostytutki okazjonalne, miały gości. Zamknął okno i to pomogło, dopóki nie zaczął się pocić, a łóżko wirować. Poczul się lepiej, wypalając papierosa przy na powrót otwartym oknie, lecz zamiast ludzi hałasować zaczął ulewny deszcz. Miłosierdzie boskie na krótko odczuł o wpół do szóstej rano, kiedy rozespany jeszcze, poczuł zapach żuru, kwasu z ogórków i jajecznicy na boczku. Zaraz jednak drgnął, bo nachylała się nad nim góra mięśni w podkoszulku wystającym spod niedopiętej koszuli.

– Niech pan inspektor podje – poradził łagodnie Dubow, nim Zyga zdążył wyjąć rewolwer spod poduszki. – Drzwi były otwarte, to ja nie pukał – wyjaśnił, stawiając wiele obiecującą tacę na pościeli. – A na dole na pana inspektora Szczepek Horejuk czeka. Kazał pana obudzić, to ja dał mu czaju z konfiturą, w końcu tutejszy człowiek, bliźni. I ja pomyślał, służba nie drużba, ale żeby wychodzić z domu bez ojczenasza i śniadania, panie inspektorze, grzech!

## Rozdział 10

### – Leżała plugawa padlina na ścieżce żwirem zasianej

*Chełm, środa 18 maja 1938 roku*

Maciejewski mógłby rzec coś o marmurowym Herkulesie leżącym w błocie nad brzegiem cherlawej Uherki na podobieństwo posągów antycznych obalonych przez barbarzyńców. Większość denatów, których dotąd widział w swej policyjnej służbie, nie była atletycznie zbudowana. I większości z nich nie spotkał poprzedniego wieczoru w knajpie, gdzie sam konsumował tłustości ślicznie komponujące się z wódką, a oni mimo znoszonych ubrań czuli się jeszcze większymi królami życia.

– Feluk? – rzucił do Horejuka.

– Nie wiem, panie inspektorze – odparł wywiadowca. – Dokumentów brak. Odciski na dłoniach jak u murarza.

– A gdzie komisarz Hejwowski? – Zyga wyjął papierosa. – Nie zainteresował go kolejny egzemplarz? I dlaczego nie ma fotografa?

– Obu nie zdołałem wytelefonować. Przede wszystkim chciałem powiadomić pana. A doktor Szulc powinien być za chwilę.

Dlaczego Szulc, a nie Fuhrman, Maciejewski nie zapytał. Chełm nie był już dla komisarza miastem tak pełnym zagadek, jak jeszcze kilka dni wcześniej. Skoro poprzedniego trupa badał Żyd, teraz kolej na antysemitę, sprawiedliwie i demokratycznie jak w „Kronice Nadbużańskiej”.

Zyga włożył sobie do ust papierosa i opróżnił pudełko na dłoń, żeby znaleźć niespaloną zapalnicę. Rozejrzał się.

Uherka pełzła wokół Chełma bardziej jak glizda niż gad z prawdziwego zdarzenia, niemniej na brzegu rzeczka osadziła sporo mułu, w którym każdy odcisk buta powinien zaznaczyć



się na długo. Tutaj nie zauważył żadnego, mimo że grunt był mokry po nocnej ulewie. Denat nie stoczył przedśmiertnej walki w miejscu, gdzie upadł, mimo że widać było wyraźnie sińce na jego ramionach niemal rozdzierających podkoszulek. Na niewielkiej skarpie, skąd pewnie go zrzuciono, stało już kilkanaścioro gapiów, a mundurowi postarali się tylko o to, by wypytać ich o personalia. Ślady zadeptywali razem z cywilami.

– Nie zabezpieczyliście miejsca – rzucił komisarz, zaciągając się pierwszym dymkiem nowego dnia, który jak poprzednie zapowiadał wyłącznie trud i znój.

– Patrol był tu ponad pół godziny przede mną. Tyle co zrobił, to nie dał ludziom deptać tutaj w błocie. Poza tym i tak w nocy padało – przypomniał tajniak.

Maciejewski palił, nie podchodząc do ciała. Na przeciwnym brzegu Uherki powoli, z uwagą kroczył czarny kocur. Podszedł do wody, pochylił łeb i zastygł na chwilę, nie zdradzając ruchami ciała, czy za czymś węszy, czy tylko podziwia widoki. Po niespełna minucie z godnością zanurzył się w trawę.

Zyga spojrział w stronę gapiów.

– Każcie mundurowym, Horejuk, wypytać ludzi, czy ktoś tutaj nie chodził, wieczorem nie łowił ryb, a szczególnie czy nie spacerował bez sensu, zwłaszcza w grupie?

– W jakiej grupie? – Tajniak wyjął notes.

– Nie wiem w jakiej – burknął komisarz z bólem, bo mimo leczniczego śniadania poczuł szpilę przeszywającą mu skronie na wylot. – Za trzy lata Chełm ma być już miastem z prawdziwego zdarzenia, Lublin metropolią, a za siedem cała Polska uprzemysłowionym mocarstwem. Policja powinna też doszłusować do prestżu angielskiej i skuteczności niemieckiej, no to i wy, Horejuk, ruszcie głową! Trzy osoby? Zakładając, że chcielibyście zabić takiego byczka, ilu kolegów zawołalibyście do pomocy? A jeżeli załatwiliście go już wcześniej, chyba nawet ze mną byście go nie zatargali? Szosa pięćdziesiąt metrów stąd. – Komisarz wskazał lichą drogę na Zamość i Lwów. – Jeżeli zabiłbym go gdzie indziej, raczej przewiozłbym ciało autem. Czy ktoś nie widział samochodu zatrzymującego się w pobliżu? I tak dalej.

– Tak jest! – Horejuk oddalił się w stronę policjantów z patrolu, chociaż nie miał większej nadziei, że znajdzie odpowiedzi na pytania inspektora. Żółtańce za rzeką, do Pokrówki ponad kilometr, do miasta tak samo... Teraz, rano, inna sprawa, ale w nocy kto miałby tu chodzić i coś widzieć? Knajpy daleko.

Tymczasem kot z naprzeciwka wrócił nad brzeg niczym przestępca na miejsce zbrodni. Pozorując stworzenie przechadzające się bez żadnego celu, zrobił jeszcze dwa kroki i naraz skoczył w chaszczę. Zarośla zachybotały się i zwierzę po chwili wyszło z nich dumnie z niewielkim gryzoniem w pysku.

Maciejewski pstryknął w jego stronę papierosem, lecz ten zgąsł pośrodku nurtu Uherki, zaś udomowiony drapieżnik spojrział na komisarza jak na przygłupa.

Z podobnym wyrazem twarzy godzinę później, gdy denat znalazł się już w prosektorium szpitala miejskiego, patrzył na komisarza doktor Szulc.

– A skąd mógł mieć te sińce? – Zyga wskazał rozległe krwiaki na plecach i pośladkach odwróconego trupa. – I guz z tyłu głowy. Skoro się bił, to powinny być z przodu ciała, a tymczasem jest tylko jeden ślad na policzku.

– Mógł próbować ucieczki i wtedy zostać zaatakowany chociażby kamieniami. – Doktor skrzywił się. – Upadł, pełzał na czworakach, stąd ślady kredy, które tak pana komisarza zaintrygowały – dodał z przekąsem, jednak ponownie pochylił się nad ciałem. – Aczkolwiek niektóre urazy wyglądają na starsze – przyznał z wyraźną niechęcią. – Wczorajsze, zaryzykowałbym hipotezę, ale podkreślam, że wyłącznie roboczo.

– Wczorajsze ślady kamieni... – Maciejewski poskrobał zarost na policzku. – To i ja muszę sprawdzić pewną hipotezę. Pan doktor będzie uprzejmy nie zabierać go jeszcze do chłodni. Wróćę za godzinę.

Asystujący komisarzowi rusiński tajniak ukłonił się lekarzowi. Zyga, zauważywszy swój nietakt, podał doktorowi rękę. Jednakże tuż za drzwiami chwycił tajniaka pod ramię, po czym przyspieszył kroku, dopóki nie wynurzyli się ze szpitalnych

kazamat. W parku przystanął.

– Muszę wam powiedzieć, Horejuk, że nie jesteście idiota. Zwracam honor.

– Ale co pan inspektor ma na myśli? – Tajniak zaniepokoił się.

– Zboczeńca napastującego robotnicę. Pokazaliście mi go w raporcie, a ja zlekceważyłem. Jak jej tam było?

– Magdalena Królik, ale nie rozumiem...

– Dlatego właśnie powiedziałem wam tylko, że nie jesteście idiota – przerwał mu Maciejewski. – Że jesteście geniusz, ani się zająknąłem.

\*

Dwukrotne uderzenie kluczami w drzwi celi natychmiast ustawiło ziewających więźniów w ciasny szereg. Szczęknęła zasuwa i zajrzeli klawisze.

– Panie oddziałowy, melduję celę śledczą numer pięć na apelu. – Petro Jurczyszyn mówił obojętnym tonem do obmacującego podejrzliwym wzrokiem każdy kąt starszego dozorca. – Stan siedmiu, obecnych siedmiu.

– Górna prycza po lewej nierówno zaścielona. – Oddziałowy jak zwykle przyczepił się do Messera. – Za pięć minut ma być *git glanc*, że tak powiem, coby żydokomuna *poniała*. Bo kipisz na celi! Skargi, życzenia są? Skoro nie ma...

– Więzień śledczy Wiktor Leszyna chce złożyć zeznanie na ręce pana naczelnika – przerwał poranną rutynę były zapaśnik.

– Już raz składaliście i gównu wam z tego przyszło. – Postawny podoficer służby więziennej zrobił krok do przodu i spojrzał na aresztanta spode łba. Przy Leszynie był z niego zupełny konus, jednak w mundurze. – Skoro naprawdę tego chcecie, to pan naczelnik wezwie sędziego śledczego, ale wolalbym nie być w waszej skórze, jeżeli znowu nie będziecie mieli nic ważnego do powiedzenia.

– Mam zaufanie tylko do pana naczelnika, a nie do sędziego. Zgłaszam prośbę do protokołu.

Apel jednej celi powinien trwać nie dłużej niż pół minuty, o czym wiedział w chełmskim więzieniu każdy, kto siedział tu chociaż dwa dni. Jeżeli trwał dłużej, nie wróżyło to niczego

dobrego.

– Cela piąta wylewa dziś z kibla do ubikacji czy też ma osobliwe życzenie dusić się we własnym smrodzie?! – warknął oddziałowy, patrząc w oczy kryminaliście, który zakłócił wzorowy porządek poranka. – A jaśniepan więzień Leszyna wciąż życzy sobie przyjmować paczki z wolności czy na dowód solidarności z resztą celi rezygnuje z tego przywileju?

Nawet młodszy strażnik dawał znaki za plecami dozorczy, żeby nie drażnić lwa.

– W piątce skarg i życzeń nie ma – odpowiedział starszy celi Jurczyszyn, rzucając Leszynie wrogie spojrzenie.

Drzwi zamknęły się i rygle z hałasem wskoczyły na swoje miejsca. W raporcie apelowym kopiowym ołówkiem odfajkowano wymagane kratki, rubryki opisowe zostały śmiało przekreślone.

\*

Magda Królik spojrzała na trupa leżącego na nieprzyjemnie błyszczących, metalowych marach z podgumowanymi kółkami i przeżegnała się. Kiedy dwaj policjanci po cywilnemu zabrali ją prosto z budowy i posadzili do taksówki, nie potrafiła wykrztusić słowa i była czerwona na twarzy jak przyłapaną złodziejka. Prawdziwy strach jednak zdjął ją dopiero teraz, w piwnicy szpitala.

– Czy to ten was napastował? – zapytał wyższy i potężniejszy z tajniaków, który przedstawił się jako komisarz, ale drugi, młodszy wywiadowca, mówił do niego „inspektorze”.

– Nie. Znaczy tak! – Zaraz się zaplątała. – On. No jeszcze nie napastował, bo dopiero chciał. Ale to nie ja!

– Jak to nie wy? – Niższy policjant otworzył skórzaną teczkę i wyjął z niej drugą, tekturową, w której miał nierówno wpiętych kilkanaście kartek, część wypełnionych drobnym drukiem maszynowym, ale większość zabazgranych stalówką. – W protokole jest napisane, że „na wołanie o ratunek Magdy Królik robotnice zamieszkujące tymczasowo barak numer dwa wybiegły i rzucając kamieniami, spłoszyły napastnika”.

– Było tak, jak pan władza mówi. Ale to nie ja, to nie my. On,

jak uciekał, to przecież żył!

– O nic się was nie oskarża. – Komisarz wziął ją pod ramię.

Drgnęła, lecz nie miała odwagi strącić jego dłoni. Oficer podprowadził ją bliżej nieboszczyka, tak że mogłaby mu plunąć w gębę, jak sobie zasłużył.

– My tylko musimy wiedzieć na pewno, czy to ten sam człowiek – mówił. – Jeżeli powiecie nam prawdę, bardzo nam pomożecie. Może chcecie wody? A jeżeli wam niedobrze, to tu obok...

Ton policjanta był łagodny, ubranie ciutek wymięte, ale mordę to już miał całkiem bandycką, niedogoloną i z krzywo zrosniętym nosem.

– Mnie jest bardzo dobrze, ino trochę chce się rzygać, proszę pana władzy – powiedziała, niepewna, czy o to właśnie pytał. Skoro jednak kazał mówić prawdę...

Musiał naprawdę być kimś ważnym, bo tylko poruszył głową, a młodszy tajniak w mig zrozumiał rozkaz i zaraz wyprowadził Królikównę do małego ustępu wyłożonego na posadzce czarnymi, a na ścianach aż po sufit bielutkimi płytkami. Zamiast otworu w podłodze stał tam przykryty klapą no dosłownie tron z białej porcelany. Tajniak zostawił ją samą i zamknął za sobą drzwi. Gdyby nie praca na budowie, gdzie sprzątała z innymi kobietami świeżo wykończone miastowe mieszkania, nawet nie miałyby pojęcia, jak korzystać z tych luksusów. Lecz i tak zabrakło jej śmiałości, żeby zwracać do czegoś tak ładnego, czystego. Napila się tylko wody z kranu. Trochę jej przeszło.

– No więc nazywacie się Magda Królikówna i przedwczoraj wieczór pewien mężczyzna chciał was napaść – zaczął na nowo starszy policjant, kiedy wróciła. Wyczuła, że był zniecierpliwiony, chociaż starał się tego nie okazywać. – Czy tak naprawdę było?

– Naprawdę! – Uderzyła się kułakiem w piersi jak w kościele.

– I to był on. Lucjan Feluk, murarz.

– Jesteście pewna? Zeznacie to samo sądowi, jeżeli zajdzie potrzeba? – Komisarz popatrzył na nią z góry. – Przyjrzyjcie mu się dobrze jeszcze raz. To, co powiedzieliście, jest bardzo

ważne.

– Po prawdzie, kiedy on tam stał przed wychodkiem, to było niby ciemno, ale najpierw poznałam go po głosie, a potem już zobaczyłam tę gębę, jak błysnęło się, że strach, no i on skoczył do mnie, bandyta cholerny! I on powiedział, że przeze mnie wyrzucili go z roboty, a tylko jednego wyrzucili z roboty przeze mnie. To znaczy nie przeze mnie, nieprawda, panie władzo! – zaprzeczyła zaraz, przestraszona, że tyle słów wylało się z niej za jednym razem. – Bo on zamiast robić, co majster kazał, to do mnie przygadywał. Tom mu odpysknęła, a majster zobaczył i zrobiła się ta... no... awantura – zakończyła po miastowemu. – Tak było, jak Boga kocham! I on żył, nie myśmy go ukatrupiły.

– Umiecie czytać?

Tego pytania nie spodziewała się, kiwnęła jednak głową. Czytanie szło jej wolno i musiała poruszać ustami, no ale jak co niedługiego, z książeczki do nabożeństwa albo z gazety, to potrafiła. Nie była głupia.

– Nie wróćcie dziś do roboty, ale nie bójcie się. – Oficer położył jej rękę na ramieniu, aż znowu drgnęła, dopiero teraz przestraszona. Wskazał młodszego tajniaka. – Pojedziecie z tym panem na komendę i tam spisze się wasze zeznania. Przeczytacie je i jeżeli będziecie chciała, zaraz się poprawi, rozumiecie?

– Ale, panie władzo, moja dniówka! – jęknęła.

– Przepraszam, ale inaczej nie można. – Komisarz uśmiechnął się nieporadnie, jakby rzadko próbował tej sztuki. Pod Magdą ugięły się nogi. Jeszcze żaden mężczyzna nie usiłował być dla niej tak miły, chyba że ciągnął na siano. – Im szybciej skończycie, tym prędzej was się puści. Nawet odwiezie się was autem, żebyście nie była stratna. A poza tym... – Zmarszczył czoło, jakby się nad czymś namyślał. – A poza tym sam pojedę na budowę i wytłumaczę was przed inżynierem. Jeżeli macie ochotę, z gospody przyniesie się wam coś do zjedzenia. Co byście chciała?

Magda Królikówna po prawdzie nie była bardziej głodna niż zwykle, ale skoro kazał mówić prawdę, miała jedno marzenie.

– Czekolady – postanowiła.

- Słyszeliście, Horejuk?  
– To da się zrobić, panie inspektorze – obiecał tajniak, stając niemal na baczność. – Czarnej czy mlecznej?  
Komisarz spojrział pytająco na dziewczynę.  
– Tej lepszej – zdecydowała, bo drugi raz podobna okazja mogła się nie powtórzyć.

\*

Inżynier Bronisław Herda stał akurat przy dalmierzu na końcu szerokiej alei, wzdłuż której prawie wyrosły już potężne, dwupiętrowe bloki, a przy nich wsadzono w ziemię mizerne młode drzewka. Zapewne według planów kiedyś dadzą miły cień i pocieszającą zielen, na razie jednak ledwie trzymały po kilka liści na cherlawych gałęziach. Maleńcy z tej odległości robotnicy pracowali na dachu imperialnych rozmiarów biurowca. Miał cztery piętra, więc na chełmską miarę prawie sięgał nieba, w dodatku składał się z trzech połączonych ze sobą szerokich budynków. Szczytowy, najbardziej majestatyczny, wyciągał skrzydła ku dworcowi. Z góry przypominałby pewnie tors orła, tylko korony mu brakowało.

Herda, gdy wyprostował się na widok wysiadającego z auta komisarza, sprawił na Maciejewskim wrażenie człowieka akuratnego do projektu. Jakkolwiek niewysoki, z niskim czołem nadającym mu raczej pozór brutalności niż inteligencji, był szeroki w barach podobnie jak jego budynek, ruchy miał szybkie, chociaż nie nerwowe, a spod roboczego fartucha wystawał mu węzeł modnego szerokiego krawata.

– Komisarz Maciejewski – przedstawił się Zyga i wskazał gmach. – Wygląda jak wzorcowe więzienie karne.

– Tymczasem to niestety będzie siedziba wschodniej dyrekcji kolei. – Herda wyjął z kieszeni srebrną papierošnicę i poczęstował policjanta.

Zyga wziął egipskiego głównie po to, by przekonać się, czy zapalniczka inżyniera będzie równie wystawowa. Była. Na jej grawerunku dwóch antycznych dryblasów brało się za bary.

– Pan musi być kibicem. – Komisarz zaciągnął się, spoglądając na Horejuka, ten jednak tylko obserwował,

przyzwyczajony już do roli statysty.

– A pan nie jest przypadkiem tym Maciejewskim, który kilkanaście lat temu wyboksował puchar ligi okręgowej?

Albo Herda przygotował się do spotkania, albo miał w domu wszystkie roczniki „Przeglądu Sportowego” i przeglądał je co najmniej raz na tydzień, uznał Zyga. Nie dał się jednak wziąć pod włos i sięgnął do kieszeni.

– Znał pan inżynier tego człowieka?

Lucjan Feluk na zdjęciu pośmiertnym wyszedł jak żywy. Nawet miał zmrużone oczy, jakby poraziła je lampa błyskowa.

– Nie przypominam sobie. – Herda pokręcił głową.

– Pracował tu u pana na budowie.

– Jak dwa tysiące innych. Rad byłbym pomóc, ale...

Gest rozłożonych bezradnie rąk inżyniera Zyga skwitował uprzejmym uśmiechem.

– Chciałem też wytłumaczyć nieobecność jednej z pańskich robotnic, Królikówny. Zeznaje teraz na komendzie.

– I po to pan się fatygował? – zakpił Herda. – Jeżeli tak, pańska misja zakończona. Dam dyspozycje, żeby jej nie wylano ani nie obcięto dniówki. Odrobi przy okazji.

– Ale skoro już jestem, zechce pan pójść ze mną do kantoru przejrzeć teczkę personalną? – Komisarz przybrał ton dyplomaty, chociaż jego krzywo zrosnięty nos swędział coraz bardziej. Na wódkę albo na awanturę. Albo na jedno i drugie, niekoniecznie w tej kolejności.

– Jak pan widzi, mam huk roboty.

– Po mnie tego tak bardzo nie widać, ja niestety też. Podjedziemy wozem, żeby nie tracić czasu. – Wskazał taksówkę i otworzył drzwi inżynierowi.

Dziesięć minut później Zyga rozglądał się po wnętrzu baraku kierownika budowy. Z zawalonego papierami biurka inżyniera podniósł fotos sławnego polskiego atlety siedzącego w pozie cokolwiek nienaturalnej, jakby pozował rzeźbiarzowi lub do homoerotycznej widokówki.

– Więc mówi pan, Królikówna? – upewnił się Herda, zapisując nazwisko w notesie.

Zyga kiwnął głową. Zapaśnik na zdjęciu, ubrany tylko w slipy,



oparł łokieć na zgiętym kolanie, a brodę podparł dłonią niczym alegoria melancholii. Tyle że na pocztówkach alegorycznych fotografowano przede wszystkim panny, a tutaj główne role grały stalowy biceps, wyprężony zginacz uda i mięśnie piersiowe, na których można by tłuc kotlety. *Panu B. Herdzie – T. Sztekker*. Autograf został złożony kanciastym i męskim, ale wprawnym charakterem pisma i bez wątpienia autentycznym. I musiało to być dawno, bo mistrz Polski nie żył prawie od czterech lat, głośna sprawa! Jeżeli takie skarby inżynier trzymał na biurku w kantorze, strach pomyśleć, jacy sportsmeni wpisali mu się do domowego sztambucha.

– Pan zdaje się wyjątkowo lubić zapasy. Wie pan, że uprawiał je także ten zabity maturzysta, Zimowski?

– Ten szczeniak? – Herda uśmiechnął się ironicznie, zabierając zdjęcie komisarzowi. – Gdyby całe miasteczko nie trąbiło o jego śmierci, nie zorientowałbym się kto zacz, panie komisarzu. Niespełna dwadzieścia lat, oczywiście, szkoda go! Jednakże z doświadczenia wiem, że z chłopcami w tym wieku nie ma o czym i po co rozmawiać. Z dziewczynkami, rzecz jasna, wręcz przeciwnie. – Najpierw mrugnął porozumiewawczo do Maciejewskiego, jakby wyczuł swój swego, a potem zaśmiał się sam do siebie.

– Tak, zapewne... – Komisarz jeszcze raz sięgnął po fotos Sztekera, a Herda znów wyjął mu go z dłoni. Tym razem już nie odstawił, ale nieco bardziej nerwowym ruchem otworzył szufladę. Nim zdjęcie wylądowało na leżących tam papierach, Zyga zdążył rzucić okiem. Zamiast spodziewanych planów budów w nieładzie leżały kupony totalizatora sportowego: konie, piłka, boks, zapasy... – Podoba mi się, że jest pan odważnym człowiekiem. I skoro lubi pan ryzyko, to pewnie i nie boi się prawdy.

– Co pan ma na myśli? – Herda stanął nad biurkiem, podpierając się pięściami o blat.

– Że bez wątpienia zna pan Wiktora Leszynę. I jeżeli nawet całe to obrzydliwe miasteczko jest pewne, że Leszyna, zresztą mój wielki idol z czasów szkolnych, zabił tego gówniarza, to pan nie będzie się na to oglądał, jeżeli sądzi inaczej.

– Zdaje się widziałem go tamtego wieczora w cyrku sportowym. Pewnie to żadne alibi, ale Leszyna nie wygląda na człowieka, który morduje z zimną krwią, a kwadrans później idzie kibicować.

Komisarz pokiwał głową. Z Herdy na budowie musiał być rasowy bydlak, ale po pracy i dla wybranych dobry kompan do wódki. Lubił takich facetów jako podejrzanych, pękali nieprędko, za to z przyjemnym trzaskiem.

– A pan inżynier jakim jest typem człowieka? – rzucił.

– Takim jak pan. Oddanym pracy. – Herda znacząco spojrział na zegarek. – Poświęciłem panu więcej czasu, niż miałem. Pozwoli pan, że w rewanżu wezmę pańską taksówkę?

– Jeżeli pan inżynier się spieszy, proszę bardzo. – Zyga rozłożył ręce. – Chociaż w Chełmie wszędzie kwadrans na piechotę.

Herda uśmiechnął się serdecznie i demonstracyjnie prześliznął wzrokiem po komisarzu, od wymiętej sklepowej marynarki po dawno niepastowane obuwie. Owszem, Zyga mógł spacerować do woli po tutejszych brukach, lecz wiedenki inżyniera, chociaż brązowe, musiały lśnić jak lakiery.

\*

Na Batorego kobiece brygady sprzątały drewno szalunkowe i chociaż żadna z tych niskich, niedojadających robotnic nie miała połowy tej siły co Maciejewski, nigdy nie widział, by ktoś tak przykładał się do równie niewdzięcznej pracy. No cóż, to albo ulica. A w przypadku wielu, poznanych przeżyłą cudem ospą, o topornych twarzach ofiar kiły dziedzicznej, nawet prostytutka nie wchodziłaby w grę. Nie zaczepił żadnej z nich, ominął też pracujących tu mężczyzn, i tak nic nie powiedzą. Na budowę trzeba by posłać znających środowisko wywiadowców, niestety tacy na razie istnieli tylko w jego projekcie raportu pokontrolnego. Ktoś musiał wiedzieć coś o zabitym Feluku, ktoś może miał haka i na Magdę Królik, lecz niedoceniony przez Herdę Maciejewski tutaj znów był *overdressed*.

Zostawiając za sobą gwiazdzone skrzyżowania, place i aleje nowego Chełma, ruszył połykającą buty, nieutwardzoną drogą

ku staremu. Czy i jaką mocarstwową nazwę otrzyma ta ulica, nie zastanawiał się, wołał zapalić. I tu po kilku krokach przystanął, nie tylko dlatego, że musiał poszukać w pudełku zapalki z pełnym łebkiem. Zaciekawiała go martwa wrona.

Elegancka niczym karawaniarz, leżała tuż pod słupem sieci elektrycznej. Na kablach rozpiętych między pachnącymi jeszcze lasem masztami odpoczywało tych ptaków spore stado, lecz żaden nie spoglądał w dół na martwego pobratymcę. Miały szczęście lub nauczyły się już, żeby nie siadać w pobliżu porcelanowych izolatorów, bo wystarczy źle zaczepić pazury, a trząchnie na śmierć.

Zyga trącił martwego ptaka butem, przewracając na grzbiet. Zamiast lśniącej czerni zobaczył brzuch pełen żarłocznych larw, teraz zaniepokojonych ostrym światłem, rozdartych między instynktem żarcia a uciezki. Zaś na resztkach poszarzałych piór wyraźnie odznaczała się kreda, na której spoczywał cały Chełm, tylko wbić głębiej łopatę.

Ubrania denatów były czyste, pomyślał Maciejewski, strzepując popiół między robactwo. Jeden pechowy czerw, na którego spadło nieco żaru, teraz zwił się jak skwarek. Dla reszty było to równie dramatyczne, co dla polskiej opinii publicznej trzęsienie ziemi w Holenderskich Indiach Wschodnich. Zaś Zyga miał przed oczami ślady kredy na łokciach, dłoniach oraz kolanach Zimowskiego i Feluka. Nie odnotowano tego, ale domyślał się, że poprzedni NN musieli mieć podobne. Czyli byli rozebrani, kiedy ich zabito. Rozebrani jak do kąpieli? Do gimnastyki?

Łokcie, dłonie, kolana... Maciejewski zastanowił się. Upuścił niedopałek w padlinę i ruszył szybkim krokiem na Stare Miasto. Wykształcenie w gimnazjum klasycznym podsunęło mu właściwe słowa: to były punkty podparcia właściwe dla zmagania w stylu rzymskim lub miłości greckiej. Słowem, dla amatorów zapasów bądź sodomii.

\*

Przecież już złożyłem zeznania. – Czekaający na korytarzu profesor Jaworski wstał z krzesła na widok sadzącego wielkimi

krokami komisarza Maciejewskiego. – Musiał mnie pan wzywać ze szkoły?! – dodał z wyraźnym wyrzutem.

Faktycznie, poza wyrwaniem z pościeli zgarnięcie kogoś z pracy było najbardziej przykre. Za to robiło należyte wrażenie. Zyga nie wątpił zresztą, że podkomendni Hejwowskiego mimo pośpiechu zadbali o wszelkie formalności. Kierownik tutejszego wydziału śledczego zbyt długo służył, aby przebrać miarę w swych złośliwościach. I tak ledwie komisarz zadzwonił na komendę z resursy przy rynku, nim zdążył kupić papierosy w kiosku i przejść kilka ulic, polonista już został sprowadzony.

Horejuk uwijał się jak w ukropie, lecz już na wstępie zirytował Maciejewskiego, pewnie by ten nie zapomniał, jak jest w Chełmie. Wywiadowca musiał pilnie wiedzieć, co zrobić z prawie całą tabliczką czarnej od Wedla, bo Królikówna jeść jej nie będzie. Dziewucha była dzielna nawet przy trupie, lecz ta jej wymarzona czekolada okazała się zbyt gorzka jak na niewyrobiony smak i robotnica rzygała w policyjnym klozecie dobre dziesięć minut. Zyga miał w głowie tuzin upokarzających tajniaka odpowiedzi, lecz przy Jaworskim wołał podtrzymywać autorytet urzędu i tylko machnął ręką.

– Owszem, zeznawał pan, ale jako świadek. – Zyga otworzył gabinet kluczem i przepuścił nauczyciela przodem. – Tym razem pilnie potrzebuję konsultacji pana profesora jako eksperta.

– Eksperta? Ale od czego? – Jaworski usiadł na wskazanym mu krześle przed biurkiem. Grzywka opadła mu na czoło.

– Od poezji, oczywiście. – Komisarz zajął miejsce naprzeciw, po czym wyjął z szuflady pogniecioną „Kamenę”. – Tutaj, ten długi wiersz, Zapasy z życiem. – Otworzył pismo i podsunął poloniście. – Proszę, aby wyłożył mi pan jak na lekcji, co poeta miał na myśli.

– Kiedy to słaba poezja i tylko przez pamięć o młodym, aspirującym człowieku... – Jaworski nerwowym ruchem poprawił swe sztywne włosy.

– Z tym się zgodzę, bo przeczytałem od deski do deski. – Maciejewski pokręcił głową. – Wątpliwa przysługa dla

tragicznie zmarłego ucznia. Szczególnie że wcześniej chyba pan go nie publikował?

– Trudno być wyrocznią, proszę pana. Jeżeli widzę, że ktoś ma potencjał i rozwinie się, szkoda dawać do numeru jego surową grafomanię. Tym razem przyspieszyłem wydanie, taka tragedia... Chociaż zazwyczaj staram się autora przycisnąć. Mamy na przykład takie powiedzonko, że wiersze Miłósza wrzucamy do kosza.

– A wiersze Zimowskiego do klozetu śliskiego? – zrymował na poczekaniu Zyga. – Tylko Zimowski już się nie rozwinie.

– Skoro odszedł, to była nasza powinność. – Jaworski zerknął na strofy. – Co mam panu powiedzieć? Że walka na arenie to metafora życia, wybijania się na dorosłość, wielkość? Że walczy tu anioł i demon? Że kraina dzieciństwa to prywatna arkadia poety?

– Nie, ale zapiszę sobie, bo ładnie brzmi. – Maciejewski otworzył notes. – Bardziej interesują mnie szczegóły. Na przykład co w tym poemacie znaczy trzymanie się za ręce z Jerzym Trąbiczem?

– Uwielbienie dla jego szkoły poetyckiej, oczywiście – stwierdził z przekonaniem redaktor.

– Tak pan uważa? Bo jak pan pamięta, znam Trąbicza i dobrze wiem, że to pederasta. Z wyraźną inklinacją do wkraczających w życie młodzieńców – dodał Zyga, patrząc poloniście w oczy. – Pana osobiście pewnie nie nagabywał, ale ma pan dość dobre okulary, żeby widzieć, co się na świecie dzieje.

– A pan jest śledczym kryminalnym czy obyczajowym? – Jaworski nie wytrzymał i chlasnął „Kamena” o brzeg biurka. – I w jakim ja tu charakterze...

– Wszystko jedno – przerwał mu komisarz. – Na marginesie, słyszał pan, że Trąbicz niedawno poleciał z Polskiego Radia? Pańska „Kamena” póki co żyje sobie tylko dlatego, że po pierwsze, prywatna, a po drugie, na prowincji.

– Czy pan mi grozi? – Jaworski poprawił okulary. Jego grzywka, ostra jak brzytwa, ponownie opadła na brew.

– Wcale! – Maciejewski serdecznie rozłożył ręce. – Tylko pan

tak ładnie mówi o metaforach i arkadiach, a za nic nie chce zrozumieć moich szczytnych intencji. Panu wydaje się, że jak będzie udawał ślepego i robił dobrą minę do złej gry, to odwali kawał dobrej roboty ku pamięci Wacława Zimowskiego? A pomyślał pan, że za zabójstwo pańskiego pupila posadzą być może niewinnego człowieka? Skąd! To przecież nie pańska sprawa, pan jest humanistą od wierszy i idei! – Zyga oparł łokcie o blat jak pijak w karczmie. Nieprzyjemnym wzrokiem świdrował powiększone przez szkła, spracowane oczy polonisty. Pomyślał, że każdemu przesłuchiwanemu powinno zakładać się grube okulary, wtedy nie umknęłoby śledczemu najmniejsze drgnienie źrenicy.

– Nie było mnie przecież na miejscu morderstwa, więc niby jak mogę panu pomóc?

– Cieszę się, żeśmy się zrozumieli, i chętnie wytłumaczę. – Komisarz znowu zmienił ton. – Z przestępstwami to nie jest do końca tak, że przypadkowy człowiek idzie sobie pierwszą lepszą ulicą i nagle go napadają. To trochę jak z pańską „Kameną”, do której, jak mniemam, przysyła wiersze określony sort grafomanów. Zabójca nie wybierze ofiary, która w jego mniemaniu nie będzie do niego pasować, tak samo jak drapieżnik w przyrodzie. Dlatego chcę poznać jak najgłębiej Zimowskiego. A pan profesor chętnie mi w tym pomoże lub będę zmuszony bardzo rozczarować się w swojej opinii co do pana profesora. – Maciejewski półwstał z krzesła i oparł się pięściami o blat biurka. Ten gest, podpatrzony u inżyniera Herdy, wydał mu się nader wyrazisty i przydatny.

– Poeta niekoniecznie pisze o tym, co przeżył. Poeta kreuje rzeczywistość – wycofał się Jaworski.

– Dobry poeta zapewne, przynajmniej od czasu do czasu. Proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę. Grafoman albo odpisuje od kogoś, tak jak robi z wypracowaniami wielu pańskich uczniów, albo jest skazany na szczerość. Zaś zgodziliśmy się już, że Zimowski nie był na miarę chociażby Trąbicza, prawda?

– Ma pan rację, ale wciąż nie rozumiem, czego pan ode mnie chce.

Zyga lubił tę fałszywą nutę, gdy przesłuchiwał ludzi

wykształconych. Knajak, drobny aferzysta czy bodaj facet zaprawiony w walce o byt pękał od razu dla korzyści lub bo Bozia poskąpiła mu charakteru. Tylko naprawdę nieliczni, jak choćby Leszyna, do końca szli w zaparte. Natomiast inteligenci rzadko potrafili się zdecydować, czy zapalić Panu Bogu świeczkę, czy diabłu ogarek.

– Dlaczego poeta w tym wierszu nie chce nadskakującej mu dziewczyny? – Maciejewski ku uldze polonisty wrócił do tekstu.

– Może to przeszłość, którą odrzuca? Ona okazała się wieśniaczką, on zaś jest teraz Rimbaudem spod Chełma. Może tak naprawdę żadnej dziewczyny nie było i to tylko freudowskie marzenie? Nie dowiemy się już tego. Rimbaudowski zapaśnik, tak pisze w ostatnim wersie.

– Nie zwróciłem uwagi. Czy mogę? – Zyga wyciągnął rękę po „Kamenę”. – Faktycznie, tak napisał. A co to właściwie znaczy, że ktoś jest rimbaudowski?

Jaworski zdjął okulary, jakby mieli się bić. Maciejewski skinął zachęcająco głową.

– Tłumacząc na pański język?

Zyga potaknął. Humanisci też mają prawo do irytacji, dobrze to rozumiał.

– Że pije wódkę, pisze wiersze i że na koniec jest pedałem. Po to pan mnie wezwał?! – Profesor podniósł głos.

– Po to właśnie. – Komisarz z uprzejmym uśmiechem schował do szuflady „Kamenę”, wyjął natomiast formularz przesłuchania świadka. – Wprawdzie nie pan pierwszy mi to mówi, ale pana mam za wiarygodnego.

– Dlaczego mnie? – Jaworski poprawił niepokorną fryzurę.

– Bo czytałem w gazecie, że nauczyciel i policjant to zawody zaufania publicznego. – Zyga odkręcił skuwkę z pióra. – Powinniśmy mówić jednym głosem. Na początek imię, nazwisko, datę urodzenia poproszę...

Po latach kierownik Muzeum Literackiego im. Jerzego Trąbicza wykaże w jednym z artykułów, że podpis redaktora „Kameny” na tym protokole nie był autentyczny, niemniej komisarz Maciejewski włączył kwit do akt.

\*

Posterunkowy Horejuk, wywiadowca Wydziału Śledczego Komendy Powiatowej w Chełmie. Telefonuję na polecenie oficera inspekcyjnego, komisarza Maciejewskiego – zaczął po raz chyba dwudziesty, gdy centrala międzymiastowa połączyła go wreszcie. – Potrzebuję pilnie upewnić się w sprawie znalezionych na naszym terenie niezidentyfikowanych denatów z następujących numerów „Przeglądu Inwigilacyjnego”...

– A ja, panie posterunkowy, od miesiąca potrzebuję pilnie upewnić się co do własnych niezidentyfikowanych. Mam blokować linię i podawać wam rysopisy czy rozłączycie się uprzejmie?

Horejuk odłożył słuchawkę na widelki. Dyżurny z komendy w Kielcach przynajmniej nie zwodził go bez potrzeby. Natomiast koledzy z pokoju tajniaków wybuchli gromkim śmiechem, chociaż odpowiedzi mogli się tylko domyślać. Cóż, mieli rację. Takie rzeczy rozsyła się drogą oficjalną bez nadziei na odpowiedź i dzięki temu wszyscy są kryci, a nikt nie ma żalu.

– Brygada śledcza samego rewizora! – Gruby przodownik Polak klepnął młodszego kolegę w plecy. Zdjął marynarkę i unosząc ręce, zaczął ściągać szelki z kaburą. Plamy potu rozlewały mu się od pach niemal do pasa. – Staraj się, liź buty, a jak on pojedzie, ciebie i tak wyrzucą. Ucz się żegnać w dobrą stronę, Horejuk, to może, jak ubłagasz, tylko przeniosą w Tarnopolskie. Tam cerkwi *mnogo!*

– I psy dupami szcękają – przypochlebił się Polakowi posterunkowy Gnatowski, którego Horejuk swego czasu sam krył, gdy zagubił dowód rzeczowy. – I śwynie chodzą trotuarem.

– To nie zauważę różnicy – burknął rusiński tajniak, mierząc drania wzrokiem.

Polak roześmiał się i znowu klepnął rubasznie Horejuka.

– No, urósł nasz chachłak przy inspektorze! Co, na żartach się nie znasz? – dodał, gdy ten nie poruszył się nawet. – Baba czy w wojsku nie byłeś?

– Po co pan przodownik pyta, skoro jest w moich aktach? – Pomijany przy awansach wywiadowca wcześniej pewnie nie



odważyłby się na podobną odpowiedź, lecz gdy z jednej strony dojadł mu Maciejewski, z drugiej tym bardziej tak zwani koledzy, ileż można trzymać język za zębami?

Dzwonek telefonu odezwał się, gdy Horejuk został już sam. I początkowo poczuł niezdrową ekscytację, niestety tylko dopóki miękki głos nie pozbawił go złudzeń:

– Nie w tej sprawie. Proszę powiedzieć komisarzowi Maciejewskiemu, że Przygoda przy aparacie. W sprawie Miazgarskiego.

Horejuk przełączył.

\*

Pan też był sprawdzany w związku z jego osobą.

Maciejewski przełożył słuchawkę do lewej ręki, bo w tej sytuacji stanowczo potrzebował zaciągnąć się papierosem. Tylko musiał najpierw znaleźć w pudełku niespaloną zapalną.

– Nie przypominam sobie, panie Leonie.

– A jednak! Na początku trzydziestego szóstego.

Rzeczywiście, tamta kontrola z komendy głównej miała nietypowy przebieg. Wcześniej ani później żaden oficer ze stolicy nie oglądał niczego poza komendą wojewódzką, co najwyżej w związku z inspekcją przychodziły z niej nerwowe i nieraz sprzeczne polecenia. Natomiast tamten, nadkomisarz Jamroz, zażyczył sobie obejrzeć również miejski wydział śledczy. Maciejewski odniósł wówczas wrażenie, że chodziło mu głównie o to, aby przynajmniej na koniec inspekcji porozmawiać z kimś inteligentnym. Zachowywał się całkiem przyzwoicie, nie szukał dziury w całym, po prostu chciał poznać organizację pracy i skonfrontować pogląd Zygi na braki kadrowe z tym, co usłyszał oficjalnie. Zupełnie na marginesie padło wtedy pytanie, czy komisarz nie zna kogoś w związku atletycznym, ale ten wyjaśnił, że zapasy przestały mu się podobać, odkąd dorósł. Gdy walka jest czysta, potrafi zanudzić niemal jak szachy, z kolei zapasy zawodowe to cyrk nie sport, tak mniej więcej odpowiedział wtedy Maciejewski. Jamroz zaprosił na kolację i nawet wypili trochę, rozmawiając o dawnych czasach, także szkolnych, lecz nie nie zaniepokoiło

Zygi, chociaż jako wywiadowca powinien w mig się zorientować, że ktoś ciągnie go za język. Myślał, że trafił na sympatycznego kompana, tymczasem miał przed sobą szpicla nad szpiclami.

– Gdyby mi pan nie powiedział – zapalka odnalazła się wreszcie i Maciejewski odetchnął nikotyną – nie zgadłbym, po co nadkomisarz Jamroz ze mną rozmawiał...

– Był pan czysty, dlatego chętnie pomogłem rok później, kiedy kontrwywiad chciał się po panu przejechać. Glina nie ma przyjaciół, tylko podejrzanych, niemniej sumienie gryzło. – Przygoda zaśmiał się do słuchawki. – A właśnie między innymi przez Miazgarskiego nie jestem jeszcze nadkomisarzem. Założyliśmy mu teczkę w związku z gangiem Tasiemki, ale sam pan wie, przez ile lat nie mogliśmy się żadnemu z tamtych dobrać do tyłka. Świadkowie, którzy wycofywali zeznania, to był akurat drobiazg, gorsi byli wysoko postawieni przyjaciele. Słyszał pan, że w zeszłym roku Tasiemka dostał Krzyż Niepodległości?

– Słyszałem, ale jaka w tym rola mojego szkolnego kolegi? – Maciejewski strzepnął popiół z papierosa.

– Oczywiście, haracze, odzyskiwanie długów i wymuszenia to nie była robota w jego guście, jednak czasem potrzebował dla większego efektu towarzystwa kilku zakapiorów. W związku atletycznym zarabiał przeciętnie, za to miał dostęp do plotek o sportsmenach. I płacili mu kolarze pедераści, bokserzy z pociągami do nieletnich, puszczające się tenisistki i tak dalej. Jego szantaże szacujemy na tysiąc złotych miesięcznie.

– Bez dodatków pensja komendanta głównego. – Zyga pokręcił głową z niedowierzaniem. – Faktycznie miałyby czym mnie korumpować.

## Rozdział 11

### – Zaciągnięcie się papierosem przykręca lampę świadomości

*Lublin, rok 1912*

Miazgarski, Maciejewski i Kraft to miał być pluton egzekucyjny. Wymyślili, że we dwóch będą donosiciela trzymać, a mały pierwszorocznik bił, dla większego wstydu. Jednakże chłopaki z klasy postawili weto. To była ich sprawa i sami powinni ją załatwić. Na trzeciego poszedł więc Taturolnik, a według dziennika szkolnego Tadek Rozbicki, nazwany tak przez kolegów na pamiątkę swego pierwszego publicznego wystąpienia w ich szkole. Dyrektor pytał każdego dla porządku na lekcji wstępnej, czym zajmuje się jego ojciec. Zygmus skłamał, że zakłada własny interes w Stanach Zjednoczonych Ameryki, bo że siedzi w więzieniu za socjalizm, to nie mogła być dobra odpowiedź, przynajmniej ciotka bardzo przed nią ostrzegała. Natomiast Rozbicki wyznał, że jego „tatu” rolnik, bez krępacji łącząc śpiewną gwarę biłgorajską z wyczytaną z gazet, nowomodną nazwą zamożnego chłopca i to w pamięci kolegów zostało wryte złotymi zgłoskami. Początkowo bił za przewisko, potem dał spokój, bo nie pomagało.

Teraz zamiast wideł do gnoju w lewej garści ścisnął gruby pęk wierzbowych witek naciętych nad Czechówką, a w prawej dostojnie trzymał dopalającego się, samodzielnie skręconego papierosa, ledwie widocznego między grubymi paluchami. Maciejewski, podobnie jak koledzy już w cywilnym ubraniu zamiast szkolnego munduru, skręcił brzegi jutowego worka i ostrożnie wyjrzał na ulicę. Dolna Panny Marii łagodnym łukiem obejmowała klasztor i gimnazjum dla dziewczyn, przy bernardynach opadając ostro w dół, potem wyrównywała się

i na tym właśnie odcinku pustej, cichej uliczki zaraz powinien pojawić się szpicel.

– Zaduś peta – polecił Zygmusł większemu o głowę Taturolnikowi. Chociaż funkcji nie wyznaczili, czuł się teraz tak jak rodzice zaprawionym pepeesowskim bojowcem. Ciotka nie pochwaliłaby tego, był przekonany, ale stryj na pewno.

– A co, idzie? – Kolega podekscytował się o wiele za głośno i wystawił z bramy cały swój wielki łeb w czapce jak u paryskiego gawrosza. – Nie idzie, no to czegoś straszysz, Zyga? – zapytał, stając jak głupi przed bramą.

Wciągnęli go do środka. Brama była idealna, przylegała do wąskiego wybrukowanego trotuaru, którym klasowy donosiciel iść bezwzględnie musiał. W przeciwieństwie do reszty klasy, która ledwie złapawszy świadectwa, pobiegła do domu przebrać się, on miał przykazane pójść do ojca do urzędu, żeby jego pater mógł pokazać kolegom synalka w mundurku, z dobrą cenzurką i nagrodą od dyrektora.

Cała Dolna Panny Marii pachniała jaśminem z ogrodu urszulanek, lecz ich kryjówka głównie kotami. Ciec z natury był leń i niechluj, a teraz na tyłach posesji, zanurzonej w sady i nadrzeczną łąkę, raczył się przyniesioną przez gimnazjalistów wódką. Wielkie wrota, kryjące chłopców, zawsze były zamknięte, jedynie wąskie drzwi wpuszczały i wypuszczały mieszkańców kamienicy, co też sprzyjało spiskowcom. Nikt z daleka do niej nie zajrzy, cisza i spokój. Gdy szpicel zrówna się z nimi, Maciejewski narzuci mu na głowę worek, Miazgarski go przytrzyma, a Taturolnik wytrzepie różgą jak dywan przed Wielkanocą.

A należało się draniowi! Ich klasowy kolega nie tylko nosił rosyjskie nazwisko Kowalow, miał też moskalski charakter. Trzeciego maja, w rocznicę zaduszonej przez carycę konstytucji, Miazgarski wymyślił, żeby napisać kredą na tablicy przed lekcją rosyjskiego „Hańba zaborcy! Wiwat wolna Polska!”. Oczywiście sam nie mógł się tego podjąć, bo z kaligrafii był dupa wołowa, lecz małego Wrońskiego nie trzeba było długo namawiać.

Zaś kiedy Zygmusł wrócił z klozetu tuż przed dzwonkiem,

mało nie spalił się ze wstydu, że to nie był ani jego pomysł, ani dzieło. Zakazany patriotyczny napis przetrwał całą lekcję za plecami ślepego nauczyciela, po czym został starty gąbką przed geografiami. A jednak na kolejnej przerwie wpadł do klasy dyrektor i wszyscy zostali w kozie prawie do wieczora. Stary wyrwał chłopców po jednym na przesłuchanie i dziesięć płazów linijką na wystawioną dłoń. Miazgarski wrócił tylko z lekko zaczerwienionymi łapami, bo wiadomo, był twardy chłopak, drugoroczny! Maciejewski też postanowił nie skrewić. Odmówił stanowczo zeznań, a wyrok przyjął z zaciśniętymi zębami, odliczając po rosyjsku od jednego do pięciu przy prawej ręce i tak samo później przy lewej. Piekło jak diabli, lecz alibi miał pewne, bo przy wejściu do klozetu widział go pedel. Aż szkoda, że go widział! Zygmus chętnie wzięby „wolną Polskę” na siebie i opowiadał potem o tym z dumą. Wrócił jednak szybko do klasy, lecz jeszcze prędzej wrócił Kowalow, wezwany przez dyra dla pozorów, jak zapewniał później Miazgarski podczas narady bojowej. Jednogłośnie przyznano mu rację, przecież dowód mieli na tacy: Wrońskiego zawieszono do końca roku szkolnego i tylko dzięki protekcji dostał prawo zdawania egzaminów ze wszystkich przedmiotów, ale z warunkiem że wszystkie dzień przed pierwszym dzwonkiem.

Takich egzaminów nikt nie zda, nie ma mocnych, chociażby kuł całe wakacje! Piętnastu nastoletnich spiskowców na dowód hartu ducha wypilo całą ćwiartkę wódki i wypaliło po papierosie skręconym z machorki. Zygmus stracił wprawdzie na chwilę oddech, ale gdy drobny łycezek alkoholu spłynął mu już do żołądka, poczuł się niczym ojciec przed akcją na policmajstra Ulicha albo nawet jak Piłsudski pod Bezdunami.

– Jest! – syknął Włodek, przerywając Maciejewskiemu patriotyczne fantazje.

Zyga też wyjrzał, kładąc się na bruku, tak jak uczył go stryj podczas gry w podchody.

Kowalow szedł powoli trotuarem z czerwono oprawioną książką, którą dostał za sprawowanie. Wystające z niej rogi czwórkowej cenzurki nie były wprawdzie pozłoczone, jak

wcześniej liczyli chłopcy i pewnie pater klasowego zdrajcy, lecz papier gruby. Taturolnik sam sprawdził, urywając róg swojej, że ciężko żre się taki papier. Zaś Kowluk miał zjeść całe świadectwo na ich oczach, taki zapadł wyrok koleżeństwa.

– Gotów! – zameldował Maciejewski z workiem w dłoniach.

– Gotów! – Taturolnik ścisnął różgi, aż mu zbieleły knykcie.

A Kowalow, idący wolnym krokiem, aby jak najmniej powalać lubelskim kurzem swe nowe, moskalskie buty, znalazł się już w połowie drogi do kamienicy przy Górnej. Jak mówił, kiedy jeszcze brali go za kolegę, mimo że kacap, ojciec wynajął mieszkanie właśnie tam, żeby mieć bliżej nad rzekę, bo wierzył w poranną gimnastykę na łonie przyrody. Zygmuśowi to nawet przez chwilę imponowało i namawiał ciotkę, żeby przenieśli się ze śródmieścia do jej letniego domu na Rurach Jezuickich. Teraz wstydził się, że cokolwiek mogło mu się w Kowalowie podobać.

Tymczasem ten był już o dziesięć kroków od zasadzki. Dziewięć kroków jeszcze... Osiem...

Naraz zza muru na wzgórkcu niczym kangur z antypodów z rozpaczliwym gdakaniem wyskoczyła kura. Rozstawiła zapobiegawczo skrzydła, ale i tak gruchnęła w pył nieutwardzonej ulicy. Nad murem pojawił się natomiast czepiec nowicjuszeki urszulanek.

– Kawalerze! – zawołała do Kowalowa. – Czy kawaler byłby uprzejmy podać mi tę kurę?

Trzej chłopcy ukryci w bramie widzieli miłą, rumianą twarz dziewczyny, która mogłaby być ich starszą siostrą. Widzieli też ptaka. Kura, wyraźnie otumaniona upadkiem z wysokości, dopiero zaczynała rozglądać się w nowym, nieznanym jej świecie, ale jej iskrzące się oczka świadczyły niezawodnie, że rozważa ucieczkę w dalsze rejony swej terry incognity, jakby i dla niej rozpoczęły się wakacje, pełne przygód i swawoli.

– Ja potrzynam świadectwo i książkę kawalera! – Młoda zakonnica wystawiła rękę nad murem.

Kowalow zaskoczył jednak zaczajonych na niego kolegów, bo nie tylko że machnął ręką na tę uprzejmość, ale też położył drogocenną nagrodę na trotuarze. Rozstawił ręce i począł gonić

kurę, lecz ta nie była głupia i wysmyknęła się z alarmującym gdakaniem.

– Co za głupek! – Taturolnik zarechotał za głośno z wnętrza bramy. Znał się bez wątplenia na kurach, lecz ani trochę na konspiracji.

W przeciwieństwie do Maciejewskiego, który postanowił wprowadzić wymyślony naprędce plan awaryjny. Sam nałożył sobie na głowę worek, by nie zostać rozpoznany, i widząc raczej kształty niż postacie, skoczył Kowalowski na plecy. Upadli obaj.

– Bij go! – wrzasnął, wciskając twarz zaskoczonego szpicla w pył drogi wysuszonej pierwszym upałem.

– Łobuzy! – krzyknęła fałsetem młoda zakonnica. – Policjanta zawołam!

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – Uchylając czapki, Taturolnik uklonił się urszulance, jak przystało katolikowi, lecz zdrając zaczął biczować wierzbowymi witkami lepiej niż Rzymianie Pana Jezusa.

Maciejewski odchyłał się jak mógł, mimo to razy trafiały częściej jego niż leżącego pod nim Kowalowa. Skupił się głównie na tym, by wciskać mu gębę w piach. Pluton egzekucyjny miał pozostać nierozpoznany, na tym polegała główna część planu. Że kiedy nałoży worek na głowę, zabraknie mu oddechu, nie wziął pod uwagę. Jednakże szpicla trzymał ile sił.

Do Taturolnika najwyraźniej też dotarło, że musi improwizować. Klasowy siłacz odrzucił pęk różeg i nachyliwszy się, uderzył ruskiego wyrodka pięścią w bok, aż zadudniło pod żebrami. Zamachnął się drugi raz, trzeci, potem poprawił kopniakiem. Zakonnica, wołając ratunku, odbiegła w głąb klasztoru.

– Chodu! – zakomenderował Miazgarski.

Wraz z Taturolnikiem dźwignęli osłabłego od bezdechu Zyge i dali dyla w bramę, a potem na łąki i w stronę mostu. Droga ewakuacji w ich planie nie została precyzyjnie rozpisana, lecz zdali się na instynkt. Od Namiestnikowskiej słychać już było policyjne gwizdki, a na ulicę ze swoimi gwizdawkami wybiegli

zaniepokojeni ciecie.

Pierwszy dzień tamtych wakacji Zygmus spędził na nieuważnej lekturze *Konrada Wallenroda*, ile razy zaś dochodził do „i Niemcy są ludzie!”, z irytacją odkładał Mickiewicza, by po chwili znów sięgnąć po złą książkę jak zahipnotyzowany. Gwizdy podwórkowych kompanów ignorował, jakby cierpiał na werterowski *weltschmerz*, a co najmniej na migrenę. Najgorsze przyszło jednak wraz z powrotem ciotki z jej sklepu. Usiadła naprzeciw kanapy, nie zrobiła bury za rozrzucone książki i pestki czereśni walające się na stoliku ani nawet za rozchełstaną koszulę siostrzeńca.

– Państwo Kowalowie to moi klienci i wszystko wiem, mój chłopcze – zaczęła, wysławszy służącą Kapranową po zakupy. – Twój kolega ma dwa żebra złamane, ale powiedział u policmajstra, że napadli go nieznajomi łobuzi. A ja chcę ci tylko powiedzieć, że dziadek pana Kowalowa poszedł na katorgę, bo nie chciał powiedzieć złego słowa przeciw swojemu dowódcy, chociaż był dekabrystą. Ojciec pana Kowalowa został zesłany z Moskwy do Warszawy po złośliwości, bo pomógł pewnemu Polakowi. Zaś sam pan Kowalow, proszę ciebie, znalazł się w Lublinie z takiego to powodu, że po krwawej niedzieli w Petersburgu nie chciał powiedzieć ochranie ani słowa przeciw swoim kolegom z biura.

– Ale ja nic złego nie zrobiłem, proszę cioci! – zaprotestował słabo siostrzeniec.

– Oczywiście, Zygmsiu, przecież nikt cię o nic nie oskarża. – Ciotka zgarnęła pestki ze stolika na talerzyk. – Mówię ci tylko, co usłyszałam. Nic ci przecież nie grozi, skoro syn pana Kowalowa widział nieznajomych łobuzów. Mam jedynie nadzieję, że będzie cię to gryzło tak długo, aż postanowisz pozostać uczciwym człowiekiem. Co tu masz? A, Mickiewicza! Bardzo dobrze, Zygmsiu, czytaj, jak przystało polskiemu dziecku. A tu ci kładę Pismo Święte z zakładką na Ewangelii św. Mateusza. Wieczorem powiesz mi, co zrozumiałeś z kazania na górze.

Wtedy zrozumiał tylko tyle, że jakkolwiek Taturolnik może i przesadził z połamanymi żebrami, to Kowalow w żadnym



razie nie mógł być bratem jego, bo kim w takim wypadku byłby Włodek Miazgarski?

\*

*Chełm, środa 18 maja 1938 roku*

Posterunkowy Horejuk, wywiadowca Wydziału Śledczego Komendy Powiatowej w Chełmie. Telefonuję na polecenie komisarza Maciejewskiego – zaczął tę samą nieużyteczną formułkę, kiedy dodzwonił się tym razem do Mińska Mazowieckiego. – Potrzebuję pilnie upewnić się w sprawie znalezionych na naszym terenie niezidentyfikowanych denatów z następujących numerów „Przeglądu Inwigilacyjnego”...

– Jak dalsieście ich do „Przeglądu”, to po co zawracacie głowę?  
– ofuknął go dyżurny komendy powiatowej podobnie jak wszyscy poprzedni.

– Jeden jest szczególnie charakterystyczny, wysoki, bary zapaśnika i duży tatuaż kotwicy jak u marynarza – nie ustąpił tajniak. – Może macie takiego poszukiwanego?

– Zapaśnika z tatuażem z kotwicą? Do Gdyni telefonujcie.

Policjant chciał się już rozłączyć, ale nagle trzaski oznaczały, że ktoś wyjął jego rozmówcy słuchawkę z dłoni, kołyszając starym kablem.

– Aspirant Wojnarowski, kierownik Śledczego. Metr dziewięćdziesiąt, atletyczny, szatyn, oczy piwne, blizna po wyrostku robaczkowym i tatuaż z kotwicą na pół ramienia? – upewnił się inny głos.

– Tak jest, panie aspirancie – zameldował Horejuk, mimo że akurat blizny po wyrostku nie był pewien. Reszta zgadzała się co do joty.

– I wy dopiero teraz o tym nas zawiadamiacie?!

– Przepraszam, ale nie rozumiem pana aspiranta...

– To myśmy miesiąc temu dali do „Przeglądu”, że jest poszukiwany w związku z aferą biletową podczas objazdu Cyrku Staniewskich, a on tam sobie u was spokojnie pracował na budowie! Franciszek Rybak, z zawodu flaczarz, ostatnio występował w wolnej amerykance jako Bosman z „Albatrosa”.

Dawno by siedział, gdyby nie był kiedyś członkiem milicji PPS. A wy u siebie co na niego macie?

– U nas był tylko denatem NN. Nie wiem, jak mam dziękować panu aspirantowi. – Horejuk notował pospiesznie.

– Nie musicie. Jeżeli chcecie sprawić mi przyjemność, powiedzcie waszemu kierownikowi Maciejewskiemu, że jest kretyn, skoro wcześniej go nie zidentyfikował. Gdyby nie takie nieroby jak wy i on, połowę rozgrzebanych spraw dawno mógłbym zrzucić z biurka.

– Tak jest – obiecał Horejuk, nie prostując roli komisarza w tym śledztwie. – Jak najszybciej pchniemy pismo panu aspirantowi.

– Tylko, na miłość boską, nie przemęczajcie się, bo dostaniecie przepukliny – powiedział z drwiną miński śledczy. Jak uznał tajniak, z Maciejewskim zrozumieliby się w lot. – Czekam do końca miesiąca na kwity, cześć!

Natomiast tajniak nie czekał na nic. Ledwie odłożył słuchawkę, w biegu kończąc notatki, wypadł z pokoju wywiadowców.

– Horejuk, jak do klozetu cię przypiliło, to nie masz co się spieszyć! – zarechotał za nim przodownik Polak, popijający akurat zsiadłym mlekiem pajdę chleba ze słoniną. – Gnatowski ma takie zatwardzenie, że czas operacyjny kwadrans.

\*

Tymczasem Zyga po raz kolejny odłożył zakończony prawie raport pokontrolny. Dotychczas jego inspekcje trwały najwyżej trzy, cztery dni, w Chełmie natomiast spędził już tydzień. Mógł tylko domyślać się, jak bardzo trafiał szlag zastępcę komendanta do spraw administracyjnych, któremu Maciejewski zajął gabinet. Każdy na jego miejscu dawno by się stąd zabrał. Martwi Zimowski oraz Miazgarski, aresztowany Leszyna, kręcący Dubow i Herda to nie była jego sprawa.

Jednakże tkwiła mu w głowie nie tylko dlatego, że nie wierzył w talenta Hejrowskiego ani w doświadczenie Horejuka. Dwaj panowie na H niczym w jakimś skeczu kabaretowym! Bardziej irytowało go, że sam przegapił klucz do rozwiązania sprawy, bo

ten klucz, był pewien, już pojawił się w aktach.

Zapalając pierwszego papierosa, był gotów postawić wszystko na hipotezę z Miazgarskim zabijającym Zimowskiego, ponieważ dowiedział się o jego anonimowym donosie. Może zabójca, podobnie jak taksówkarz, widział przepychankę chłopaka z Leszyną w korytarzu na zapleczu gospody i postanowił z niej skorzystać, przy okazji wrabiając wykidajkę. Tylko dlaczego Leszyna nie bronił się, a Dubow udawał ślepego? Nawet jeżeli wcześniej obawiali się Miazgarskiego, to po jego śmierci nie mieli już powodów. No i nawet jeżeli był motyw, pozostawało pytanie o sposobność. Kiedy Zimowski rozstał się z życiem, Miazgarski jako członek związku atletycznego oglądał zawody w cyrku sportowym.

Zaciągnięcie się kolejnym papierosem zogniskowało natomiast myśl na zupełnie innej hipotezie. A jeżeli Miazgarski nie popełnił samobójstwa, tylko padł ofiarą tego samego mordercy co Zimowski? Niby dlaczego zresztą miałby sam się zabijać?! Zyga był w stanie wyobrazić sobie swojego szkolnego kolegę, który w desperacji ucieka z Chełma, by schronić się pod skrzydłami dobrze zblatowanych protektorów. Owszem, mogło się zdarzyć, że wskakuje do pociągu, ma jednak pecha i noga obsuwa się ze stopnia na tory... Tyle że on szedł prosto na lokomotywę, a w pozostałej z niego rąbance nie stwierdzono przesadnej ilości alkoholu! No i ta wersja tym bardziej wyklucza winę Leszyny, który siedział już w areszcie, więc miał najlepsze alibi na świecie. Nie miał podobnego Dubow, który – jeżeli wierzyć donosowi – powinien był marzyć o wysłaniu Miazgarskiego na tamten świat; tylko biorąc pod uwagę zeznania maszynistów parowozu, jakim sposobem wykończył szantażystę? Hipnozą?!

Zbyt wiele było tych „jeżeli” i „chyba”, dlatego Zyga zapalił trzeciego papierosa, niepotrzebnie odkładając spaloną zapałkę z powrotem do pudełka. Wziął arkusz papieru kancelaryjnego i zaczął rozrysowywać na nim nici powiązań. Zapasy, to był wspólny mianownik wszystkich, którzy przewinęli się w tej sprawie. I ślady kredy, przyjmując roboczo, że miał je na ciele każdy NN. Inżynier Herda – kolejny owal z nazwiskiem,

któremu trudno coś serio zarzucić – kibic... Od Herdy Maciejewski powiódł przerywaną linię do naszkicowanego kilkoma kreskami ptaka z piórami ze śladami kredy. Te trudno było naszkicować, więc Zyga zaczął uzupełniać wykres opisami.

Wtedy wpadł Horejuk z Franciszkiem Rybakiem *vel* Bosmanem z „Albatrosa”.

– Pseudonim ze szlagieru. – Zyga odsunął swój niedokończony schemat. – Siadajcie. Nieźle wam poszło, trafiło się ślepej kurze ziarno – pochwalili.

– Jeżeli niezidentyfikowanych denatów coś łączy, wychodziłoby, że zapasy, panie inspektorze. – Tajniak całkiem inteligentnie wskazał koło na schemacie Zygi, chociaż oglądał go do góry nogami.

– Tacy jesteście bystrzy? – Maciejewski sięgnął po kolejnego papierosa. – Otwórzcie okno, bo zaduch jak w kotłowni. Zastanówmy się, co eliminuje z tej układanki Leszynę.

– A dlaczego mamy go eliminować, panie inspektorze?

– Bo ja tak powiedziałem, Horejuk. – Zyga wstał i wyrzucił zawartość popielniczki za okno. – Roboczo, a potem się przekonamy – dodał, rysując szubienicę w rogu arkusza.

\*

Polski pan nie będzie żryć byle wachy, co? – burknął gardłowo Jurczyszyn, mieszając w misce rzadką zupę. – Za mało ci dali szafranu, Leszyna?

Więzienna kolacja byłego zapaśnika stygła na rogu stołu w celi śledczej numer pięć, a sam zapytany siedział na swojej pryczy i obgryzał udko pieczonego kurczaka.

– Jak żeś głodny, to bierz i jedz na zdrowie, ...urwyszyn – powiedział z pełnymi ustami Leszyna. – Nie agituj.

Czwórka aresztantów gruchnęła śmiechem, czekając draki. Jurczyszyn zacisnęła wściekle zęby, bo nie spodobało mu się ani przekręcenie jego nazwiska, ani przypominanie o paragrafie, pod jakim się tu – niesłusznie! – znalazł. Zakończona mordobiciem kłótnia o to, żeby dzieciaki miały w szkole lekcje ukraińskiego, to nie była żadna agitacja, szło o sprawiedliwość. Nie chciał mieć nic wspólnego z takim choćby Srulem

Messerem, maczającym obok czarny chleb w misce z berbeluchą. Tamten w swojej wsi przed Pierwszym Maja zarzucił na druty elektryczne czerwony transparent z napisem „3 X L. Luksemburg, Liebknecht, Lenin”, i to naprzeciw posterunku policji. Słusznie więc posadzili pachółka żydokomuny i szkoda, że włali mu tylko pałkami, a nie kolbami karabinów, agitatorowi zawszonemu! Jurczyszyn cierpiał niewinnie, bo uwierzył marszałkowi Piłsudskiemu i to powie sądowi, który przecież też...

– Czego rżysz? – warknął na Messera, bo chociaż nie cierpiał Leszyny, to Żydów jeszcze bardziej. I wołał nie iść na ostre z byłym atleatą.

– Bo to śmieszne. – Komunista spojrział mu prosto w oczy i jak stary wyrokowiec wytrzymał złe milczenie. – Z tym szafranem – dodał, a pozostali znów zarechotali.

– Ty się nie kłóć, Messer – powiedział Wołek, wsiowy przygłup z niewinnym uśmiechem. Wzięli go pod śledztwo, bo zarabiał żonę, ale twierdził, że sąd go uwolni. Raz, puszczała się, bladź, a dwa, pijany był i w ogóle nie pamięta, czy brał do ręki siekiere, no to o co się rozchodzi! – Nie masz co robić, to się wysrul – dodał i rozejrzał się, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego cela znów gruchnęła śmiechem. – A ty, Jurczyszyn, nie chcesz zupy, to ja wezmę, głodnym. – Sięgnął po miskę. – Bóg ci zapłać, Leszyna. Chleb też dasz?

Aresztant arystokrata, który codziennie dostawał wikt z knajpy przyjaciela, skinął głową, nie przerywając jedzenia.

– Zara, no ale jak to tak?! – Gruby Maćko przygwoździł wielką łapą dłoń Wołka, która już sięgała po cudze jak po swoje. W więzieniu był bardzo czuły na sprawiedliwość, chociaż zanim go wsadzili, w dni targowe chodził *na potok*. Kradł towary z wozów i upychał za pazuchą, gdzie na włochatej piersi dyndał medalik z wizerunkiem świętego Macieja męczennika. – I zupę, i chleb? Cesarzowi co cesarskie, Bogu co boskie, no nie tak, Leszyna? Chce Wołek zreć zupę, to niech zre, ale chleb nasz powszedni to mi daj, co?

Leszyna wzruszył ramionami. Gówno go obchodziło, kto zeżre jego więzienną zupę i chleb. Ważne, że klawisze nie spełnili

gróźb i paczki dotarły. Objadłszy jedno udko, zastanawiał się właśnie nad tym, czy oderwać kurczakowi drugie, czy schrupać skrzydełko, czy zająć się tłustym kuperkiem. Niezdecydowany, sięgnął głębiej do paczki i wyjął na pryczę jeszcze ćwierć babki drożdżowej, słodką bułkę z owocami, wreszcie pięć młodych cebul. Z drugiej, mniejszej papierowej torby wypadło tyleż dwudziestek papierosów egipskich w eleganckich metalowych pudełkach. „Z pozdrowieniami od przyjaciela ze Zw. Atletycznego. Nic się nie bój!”, znalazł nawet gryps sprytnie ukryty pod banderolą. Z uśmiechem włożył papierosa do ust. Niepotrzebnie wyrwał się rano na apelu z żądaniem rozmowy z naczelnikiem; dobrze wyszło, że nie wpisali tego do protokołu.

– Kolego, poczęstuj! – jęknął na ten widok posadzony do śledztwa koniokrad Wicek Czarko, mizerota czarny jak Cygan. – Ty wiesz, jak mnie brali, to akurat byłem bez grosza... Ja tak lubię palić, a zawsze miałem w życiu pecha.

Jurczyszyn spojrział na niego z politowaniem. Czarko miał nie pecha, lecz farta jak mało który. Gdyby trafił nie na policjantów, ale chłopską obławę, pobożni na co dzień gospodarze połamaliby mu wszystkie kości, zanim zmaltretowanego utopiliby w bagnie i był człowiek, nie ma człowieka. Nad Bugiem można się jakoś wyłgać z uwodzenia cudzych żon albo nawet z napadów rabunkowych, tylko za kradzież konia nie ma zmiłuj, i słusznie!

– Ja też lubię palić i muszę palić, nałóg – powiedział Leszyna, rozglądając się po celi. Spojrział na jedyne aresztanta, który wcześniej ani się zaśmiał, ani odezwał, jakby przebywał w innej rzeczywistości, łyżka za łyżką obojętnie połykając podłą zupeę. – Wędrowycz, chcesz papierosa?

– Zemdli mnie, przywykłem do machorki – pokręcił głową tamten, posadzony za bimbrownictwo jak wielu i za znachorstwo niczym bohater modnego filmu oraz głośnej powieści.

– Gardzisz łaską polskiego pana? – zakpił Jurczyszyn.

– Przywykłem do machorki – powtórzył spokojnym tonem Wędrowycz.

– A wolno to palić pod celą? – Rusin spojrzał wrogo na Leszynę.

– Jednemu wolno, drugiemu nie wolno. – Były zapaśnik leniwym ruchem obciągnął koszulę na stalowych mięśniach. – Zresztą ja się przecież nie zaciągam.

Zdali miski kalifaktorowi i zapadła nieprzyjemna cisza. Leszyna odpalił od peta kolejnego egipskiego tak demonstracyjnie, że było jasne: bardziej niż o ich smak chodziło mu o kwaśną minę Jurczyszyna. A potem zaczął trzeciego, chociaż atlecie wyraźnie zakręciło się od tego w głowie i wbrew regulaminowi musiał położyć się na pryczy. Czarko już nie prosił o papierosa, bo nawet koniokrad rozumiał, że to byłoby frajerstwo. Jedynie głęboko oddychał zapełniającym celę dymem, jakby znajdował się nie pod śledztwem, ale w sanatorium na inhalacjach dla chorych na płuca.

Po powrocie z ustępu, a na dobrą godzinę przed apelem wieczornym Leszyna zapalił jeszcze czwartego papierosa i naraz zaniósł się kaszlem jak nieprzywykły do tytoniu uczeń. Po chwili zaczęło go trząść, wzrok utkwiał w suficie z oblażącą farbą.

– Poszło nie w tę dziurkę polskiemu panu? – zarechotał złośliwie Jurczyszyn, lecz momentalnie i on spowaźniał, bo oczy współwzięcia niemal obróciły się białkami do góry.

– Nawiedzony? – Do Leszyny doskoczył Maćko i ramieniem podtrzymał mu głowę. – Ma chorobę świętego Wita?

– Chorobę to ma, ale nie od świętego Wita! – krzyknął niespodziewanie Wędrowycz. Zrzucił Leszynę z pryczy. – Trzymaj go pod brzuch i naduszaj – polecił grubemu. – Całym ciałem, jakbyś babę grzmocił – objaśnił, widząc niezrozumienie na gębie potokarza.

Sam tracącemu przytomność byłemu zapaśnikowi wsadził do ust niemal całą dłoń. Struga cuchnących, spienionych wymiocin chlusnęła na posadzkę, a znachor, jedną ręką trzymając Leszynę za włosy, drugą sięgnął do żeliwnej kłapy nieużywanego wiosną i latem pieca. Wygarnął garść pyłu węglowego i wepchnął więźniowi do ust.

– Więcej węgla! Wybierać i do gęby mu pchać! – rozkazał. –  
I wołać dozorcę, niech wzywa zaraz lekarza!

Jak znali milczka Wędrowycza od kilku tygodni, nigdy nie powiedział tylu słów naraz.

– Na pomoc! Panie dozorczo! Doktora! Człowiek w piątce umiera! – Kilka pięści zaczęło rytmicznie tłuc w obite blachą drzwi, a sąsiednie cele przyłączyły się niczym chór z greckiej tragedii.



## Rozdział 12

### – Znachor

*Chełm, czwartek 19 maja 1938 roku*

Jakub Wędrowycz? – Maciejewski nieufnie spojrzął na przyprowadzonego więźnia. Inaczej wyobrażał sobie człowieka, który usiłował ratować mu świadka. Spodziewał się twarzy godnej, naznaczonej bólem i niezrozumieniem niczym u Junoszy-Stępowskiego ze *Znachora*, z pewnością nie pociągłej, obojętnej gęby wioskowego stoika. Rzadkie, po więziennemu przystrzyżone włosy sterczały mu jak kolce kaktusa, którego Róża niedawno z dumą przyniosła do domu. Zachwycona tym modnym prezentem od doktora Gilanowicza, na kłującą roślinę chuchała i dmuchała, chociaż skromniejszy, bo najwyżej dwudniowy zarost Zygi przeszkadzał jej jak zwykle.

I to właśnie łączyło komisarza i więźnia: obaj byli niedogoleni, w obu przypadkach niezgodnie z przepisami.

– Administracja więzienna się nie myli, to nie do pomyślenia, panie komisarzu – powiedział aresztant, zajmując miejsce po drugiej stronie stołu. Patrzył czule w okno, gdzie za kratami sroka uczepiła się czubka lipy i krakała na kogoś gorszego. – Skoro życzył sobie pan komisarz przyprowadzić na widzenie Jakuba Wędrowycza, zapewne to muszę być ja.

– Siedzicie w więzieniu za znachorstwo, bimbrownictwo i stawianie oporu władzy – zaczął Maciejewski, lecz Wędrowycz wszedł mu w słowo:

– Nie wiem, co panu napisali. Siedzę niewinnie za egzorcyzmy, walkę z bandyckim Państwowym Monopolem Spirytusowym i za to, że dałem po mordzie przodownikowi z posterunku, gdy policja i strażacy przyszli burzyć cerkiewkę w Wojsławicach. Prawosławni może i żegnają się jak nedorajdy, ale w tego samego Boga wierzą.

– Osobiście zgadzam się z wami i obyście beknęli tylko za bimbrownictwo. – Zyga wyjął papierosy i poczęstował aresztanta.

Wędrowycz wziął jednego, powąchał ostrożnie. Wprawdzie nazywały się sokoły, ale pachniały zdrową machorką, nie perfumami. Komisarz zaczął szukać niespalonej zapalki. Egzorcysta przypatrywał się temu z ciekawością, bo zupełnie nie rozumiał, skąd u takiego faceta głupi nawyk chowania zużytych z powrotem do pudełka. Wymruczał coś pod nosem i Maciejewski jak na zawołanie znalazł drewnienko z ładnym, okrągłym łebkiem.

– Interesuje mnie Leszyna – powiedział.

– Leszyna? – Wędrowycz zaciągnął się. – Nie żyje. To chyba można wracać do domu.

Komisarz zignorował życzliwą radę jak i inne.

– Klawisze najpierw myśleli, że wyście go otruli. – Uśmiechnął się krzywo, otwierając notes. – Lekarz orzekł jednak, że w warunkach więziennych nie mogliście zrobić nic lepszego, żeby go ratować. Skąd wiedzieliście, że papierosy nasączono trucizną?

Aresztowany rozejrzał się po pustej sali widzeń.

– To mnie jest więcej niż jeden? – spytał z obojętną miną.

– Czy musimy grać w kanastę, panie Wędrowycz? – poprawił się Maciejewski. – Ja wyłożę karty: miałem w śledztwie człowieka, o którym dobrze wiedziałem, że jest niewinny. Teraz mogę tylko położyć mu kwiatki na grobie. A pan pierwszy zrozumiał, że Leszyna został otruty. Miał pan powody? Może coś panu powiedział?

– Nic nie powiedział. Głównie milczał, jak każdy niegłupi człowiek pod celą. Wczoraj rano na apelu zameldował życzenie rozmowy z naczelnikiem, potem czekał i czekał, a pod wieczór dostał paczki.

– Chyba codziennie dostawał paczki – zauważył Zyga.

– Tym razem na deser dostał to. – Wędrowycz wyjął z kieszeni metalowe pudełko po egipskich i z brzękiem położył na stole. – Pan komisarz słusznie robi, że nie pali takich papierosów. Cuchną jak łajno wielbłąda.

Policjant zważył opakowanie na dłoni.

– Puste.

– Teraz tak – zgodził się uprzejmie więzień. – Skrzynki pocztowe też się czasem opróżnia. Gryps był pod banderolą – dopowiedział, widząc pytające spojrzenie policjanta. – Krótki, na skrawku bibułki do papierosów. Leszynie odmówiono widzenia z naczelnikiem, cały dzień laził jak kot z pęcherzem. A jak przeczytał gryps, inny człowiek się zrobił, spokojny. Bibułkę utopił w kiblu, no co do papierosów, zamierzał wypalić wszystkie sam. Zdażył tylko cztery...

– Gdzie niedopałki? – warknął Maciejewski. – I niespalone papierosy?

– A kto to może wiedzieć? – Wędrowycz rozłożył ręce. – Śmieci wywozi się u nas z samego rana. A oddziały z klawiszami jeszcze wieczorem wysprzątały nam celę do czysta. Tylko to pudełko uratowałem. Pomyślałem, wypoleruje się, zrobi papierośnicę i sprzeda. Panu jednak oddam darmo. O resztę niech pan pyta oddziałowego.

– Kurwa jego mać! – Śledczy walnął pięścią w stół.

– Może i tak – zgodził się spokojnie aresztowany, gasząc połówkę papierosa o kant stołu i chowając resztę do kieszeni na później. – Ja tego niestety panu komisarzowi nie potwierdzę. Nie chcę, żeby mi prokurator dorzucił obrazę władzy.

\*

Wolałbym uniknąć kłopotów z prokuratorem – powiedział podkomisarz Dłużniewski, zupełnie jakby naczelnik więzienia i chłop z Wojsławic ustalili wcześniej wersję.

– Każdy by wolał – burknął Maciejewski. Z rękami w kieszeniach chodził po gabinecie Dłużniewskiego. Chciałby dorwać tych baranów, przez których zniknęły wszystkie papierosy przysłane Leszynie, wszystkie dowody! Rewizor trzepiący po pyskach ustawionych w równy szereg mundurowych jeszcze nie tak dawno nie byłby w tym mieście postacią obsmarowywaną w „Kronice”! – Ale dlaczego dopiero teraz dowiaduję się, że Leszyna chciał wczoraj z panem rozmawiać? – Zyga zastygł oparty pięściami o blat biurka, za

którym siedział naczelnik.

– Kto panu powiedział?

– Jest pan inteligentnym człowiekiem i ma pan w papierach, kogo przesłuchiwałem. Jednak niech się tylko dowiem, że z tego powodu stała mu się krzywda, to sędzia Szydłowski nie pomoże – wycedził przez zęby komisarz.

Dłużniewski uczynił ruch, jakby chciał rozpiąć niewygodny kołnierz munduru, ale nie, tylko opędził się dłonią od irytującej muchy. Bzycząc, zatoczyła koło nad głową Zygi, po czym poleciała tłuc skrzydłami o szybę.

– Myli się pan co do mnie – powiedział natomiast naczelnik więzienia, zupełnie spokojny. – Nie wezwałem więźnia do siebie, bo wołałem, żeby przesłuchanie Leszyny odbyło się z panem i najlepiej także z panem sędzią śledczym, ale więzień odmówił. Miałem nadzieję, że przez noc zmięknie, zgodzi się na obecność panów, jednak w tej sytuacji...

– W tej sytuacji nie widział pan naczelnik potrzeby zwracać mi głowy zesłorocznym śniegiem, dziękuję – wszedł mu w słowo Maciejewski. – Ani odrywać mnie od kolacji, kiedy Leszyna umierał. Kto jeszcze wiedział, że zapewne chce sypać? – Maciejewski wreszcie usiadł naprzeciw niego.

– Oddziałowy, osadzeni spod celi. Więcej nikt. – Dłużniewski potarł wąsy. – Same problemy z tym pańskim pupilem – spróbował żartu, lecz komisarz tego dnia zupełnie nie miał poczucia humoru.

– Nie moim, tylko sędziego Szydłowskiego i kierownika Hejwowskiego. Gdyby to ode mnie zależało, chodziłby na wolności – burknął Zyga i naraz zmarszczył czoło. – Chociaż skoro miał taką niebezpieczną wiedzę, to może i tak u pana był bezpieczniejszy. Do czasu...

– Paczkę dla niego przyniósł Dubow. – Naczelnik rozłożył ręce. – Kto jak kto, ale on chyba nie trułby przyjaciela.

– Sprawdźmy. – Maciejewski wydłubał z paczki przedostatniego papierosa. – Mogę zapalić?

– A nie boi się pan? – zapytał Dłużniewski, sięgając po zapalniczkę.

Tym razem komisarz docenił ironię, rzecz bardzo akuratăną,

gdy jest się w kropce. Istotnie, to Dubow miał najlepszą sposobność, żeby wykończyć Leszynę, podobnie jak Leszyna, by wysłać na tamten świat Zimowskiego. Niestety w obu zabójstwach brakowało choćby śladu motywu. Z osób, które przewinęły się w śledztwie, Miazgarski miał największy dryg do załatwiania swoich mętnych spraw cudzymi rękami, niestety gdy Leszyna wdychał opary trucizny, Miazgarski już nie żył. Na razie Zyga mógł zrobić jeszcze aferę za zniszczenie dowodów i że dozorca więzienny rewidujący paczkę nie wykrył grypsu... po którym zresztą też nie został ślad.

– A powinienem się bać? – Maciejewski teatralnie obejrzał papierosa, zanim go zapalił. – To przecież tylko sokół po dwa grosze sztuka, a nie egipski przedni za dwadzieścia. I pan też nie ma powodów do obaw – powiedział, kiedy już się zaciągnął i wydmuchał pierwszy dymek. – Nie lubię donosić na kolegów, nawet tych w brzydszych mundurach, chociaż pańscy podkomendni zniszczyli dowody rzeczowe i niestety to pan jest za nich odpowiedzialny. Ale mniejsza! – Komisarz machnął ręką. – Pan wie najlepiej, co z nimi zrobić, a mnie teraz mściwość w niczym nie pomoże. Muszę tylko wiedzieć, czy jest jeszcze coś, czego mi pan dotąd nie powiedział. Na przykład czy to się często u was zdarza, że więzień śledczy, ledwo poszedł pod celę, już dostaje prawo do paczek z wolności.

Dłużniewski nachylił się ku niemu.

– Gdy zezwoli na to prokurator, nie jest zabronione, chociaż ma pan rację, raczej rzadkie. Ale między nami, prokurator czeka tylko na emeryturę i lubi mieć święty spokój. Podobnie sędzia śledczy Szydłowski, który chyba nie ma już większych nadziei na lepszą nominację i czuje się ważny głównie na kolacjach w resursie, gdy może łaskawie coś ułatwić znajomym. Niech pan natomiast uważa na komisarza Hejwowskiego. Pan lepiej wie, ile w tym prawdy, ale podobno od wyniku pańskiej kontroli zależy, czy zostanie przeniesienie bliżej stolicy, czy zostanie w Chełmie do emerytury.

– I tak ma szczęście, niektórzy lądują pod Tarnopolem. – Maciejewski zgasił papierosa i wstał, podając rękę naczelnikowi. – Jeśli chodzi o śmierć Leszyny, moja wersja

będzie taka, że pan nie zawinił. W najgorszym razie pominą pana przy premii, ale z tym da się żyć. Mnie też zwykle pomijali.

– Powiniennem tylko w razie czego najpierw powiadamiać pana? – upewnił się Dłużniewski.

– Jest pan inteligentnym człowiekiem, ale chyba już to mówiłem. – Maciejewski włożył kapelusz na bakier i wyszedł.

O jakie jeszcze „w razie czego” mogło chodzić w chełmskim więzieniu, Zyga nie miał pojęcia. Jego niewinnie podejrzany nie żył.

\*

To niemowa, panie komisarzu, ale umie trochę pisać. Po rosyjsku – dodał doktor Fuhrman. – Widocznie za cara skończył trzy albo cztery klasy.

Zyga nie rozumiał, po co lekarz pokazuje mu to zastrachane dziwadło jak cyrkowy konferansjer. Kiedyś, pamiętał, ciotka wychwalała staromodne cyrki, gdzie oglądało się niemieckie kobiety z brodą, włoskich liliputów albo bliźnięta z Syjamu. Człowiek dowiadywał się czegoś o świecie i naturze ludzkiej, a nie entuzjazmował się niehumanitarnie zwierzęcą przemocą jak u tych atletów, dodawała z nadzieją na zmianę zainteresowań siostrzeńca. Pacjent chełmskiego szpitala wyglądał jednak przeciętnie i nieciekawie, nie miał nawet kilakowatych narośli na czole. Był wątły, niedożywiony i przestraszony, że przybyły właśnie drab w pomiętym czarnym garniturze każe mu zabierać się z wykrochmalonej szpitalnej pościeli. Maciejewski uspokoił go gestem dłoni i jak na siebie, delikatnie poklepał po ramieniu.

Gdy przekroczył progi szpitala, sam czuł się jak nieubezpieczony pragnący zażyć wywczasów w miejskiej lecznicy. Fuhrman początkowo wcale nie chciał z nim rozmawiać, tylko kazał iść do doktora Szulca.

– Doktor Szulc jest idiotą, panie ordynatorze – sprzeciwił się wtedy Zyga. – Niemal musiałem mu mówić, co ma robić podczas sekcji. Obawia się pan, że ktoś nas razem zobaczy i doniesie? Pod jakim niby pretekstem?

– Pod takim na przykład, że znowu ten wredny Żyd wychodzi przed szereg, chociaż nie jest lekarzem sądowym.

– No to uspokoił mnie pan doktor, bo już się bałem, że skoro pana nachodzę, posądzą mnie o pederastię. – Maciejewski zaśmiał się z przymusem i sięgnął do kieszeni. – Proszę oddać mi przysługę i obejrzyć to pudełko. – Podał lekarzowi metalowe opakowanie po egipskich.

Stali na szpitalnym korytarzu niedaleko wejścia. Pielęgniarka zakonna w białym czepcu, w pośpiechu wiążąca fartuch, najwyraźniej spóźniona na dyżur, w biegu złożyła Fuhrmanowi ukłon. Ten odwzajemnił się.

– Szczęść Boże, siostró Tekło – rzucił jeszcze za odchodzącą. – A pan czemu się dziwi? – Spojrzał ostro na Maciejewskiego. – Nie patrzy się na szyld, tylko na sklepikarza, każdy mądry Żyd to panu powie. A co do tego pudełka, to pan sam nie czuje nietypowego zapachu?

– Rzadko palę takie drogie papierosy. – Maciejewski otworzył notes. – Co pan doktor chce przez to powiedzieć?

– Że jak dla mnie czuć je migdałami. Tak samo jak z ust człowieka zatrutego cyjankali. Cyjanek podany w napoju albo pokarmie jest jednak łatwiej rozpoznawalny, a nasączony nim papieros? – Fuhrman rozłożył ręce. – Niestety, nie jesteśmy psami i nasz nos jest nader upośledzonym organem. Nie jesteśmy nawet kobietami, które niezawodnie odróżniają perfumy za pięć złotych od tych za piętnaście. Przykro mi, ale nie dam paru argumentów procesowych.

– Po nie pójde do Szulca. Pan niech mi da operacyjne.

– Skoro tak, to zapraszam. – Fuhrman wyciągnął rękę, wskazując korytarz. – Coś panu pokażę.

Po chwili znaleźli się w pomieszczeniu z małym oknem tuż pod sufitem, przesiąkniętym zapachem karbolu i mytych byle jak spluwaczek. Na wstawionym tu łóżku leżał wątyły mężczyzna, który metrykalnie nie był pewnie wiele starszy od Zygi, lecz siwe włosy i takąż szczecina na policzkach skutecznie go postarzały.

– Bezdomny włóczęga znaleziony w pobliżu torów. Nie mówi, ale słyszy. Po przywiezieniu do szpitala napisał mi, że stracił

przytomność po wypaleniu znalezionej tam niedopałka papierosa. Pomijając odór próchnicy zębowej, czuć było od niego tak samo jak z tej pańskiej paczki po egipskich. – Mówiąc to, lekarz sprawdził najpierw puls na przegubie ręki, potem obmacał szyję i przytknął dłoń do czoła zastrachanego pacjenta. – Nie bójcie się – wyartykułował przesadnie. – Powiedzcie temu panu, jak źeście zachorowali.

Niemota potaknęła i klepnęła kilka razy w rękę Maciejewskiego, upewniając się, że zwrócił na siebie uwagę. Pokazał gestami, jak skrzeszał ogień i zaciągnął się papierosem. Potem pomanipulował blisko siebie palcami obu dłoni, próbując przekazać coś jeszcze. Komisarz wzruszył ramionami.

– Zwijaliście bibułkę?

Pacjent klepnął go znowu po ręce i przytknął dwa palce do ust, jakby zaciągał się papierosem. Wskazał na wybrzuszoną kieszeń marynarki Zygi.

– W szpitalu chcecie palić?

Maciejewskiemu kończyła się cierpliwość. Zupełnie jakby słuchał z Różą audycji Korczaka! Ów doktor nudził o rozumieniu potrzeb dzieci i innych takich. Bzdura, Zyga klęczał na grochu albo z ciężkim żelazkiem i proszę, wyszedł na ludzi!

Bezdomny nerwowo pokręcił głową. Wystawił rękę i by zostać już całkiem dobrze zrozumianym, kilka razy dźgnął palcem kieszeń komisarza.

– Dobrze, dam wam papierosa.

Skwapliwe kiwnięcie głowy nie wyglądało jednak żebraczo, a kolejny ruch dłoni obok ust zdawał się świadczyć, że chce coś powiedzieć, tylko nie jest w stanie.

Sokoły palone przez Zygę nie miały filtra, co na chwilę zdezorientowało niemowę. Szybko jednak znalazł sposób, żeby się wypowiedzieć. Kręcąc palcami, wytrzepał czwartą część tytoniu z bibułki do spluwaczki, urwał kawałek kartki z notesu komisarza i zwinąwszy, wetknął niczym filtr. Zgniół go w dwóch miejscach, jakby to była tekturowa gilza, i chociaż mina Maciejewskiego świadczyła dobitnie, że doskonale już go rozumiał, pacjent na wszelki wypadek włożył, odjął, znów



włożył i znów odjął zagniecionego papierosa od ust, pokazując, jak palił. Następnie jego głowa opadła po aktorsku na poduszkę, lecz przytomne oczy śledziły reakcję rozmówcy.

– Omdleliście?

Najpierw potaknął, a potem pokazał gestami, że zanim całkiem stracił przytomność, zdążył się jeszcze wyrzygać.

– Myślę, że to go uratowało – orzekł doktor Fuhrman.

– Bardzo mi pomogliście – powiedział Maciejewski, patrząc na chorego, leżącego pewnie jak rzadko kiedy w czystej pościeli.

Bezdomny najpierw podziękował ruchem głowy, ale zaraz wymownie potarł o siebie trzy palce, domagając się banknotów, które mógłby w ten sposób przeliczyć.

Zyga wyjął z kieszeni pięćdziesiąt groszy i upuścił na dłoń mężczyzny.

\*

W tym samym czasie starszy posterunkowy Horejuk oparł się łokciami o bar w gospodzie „Targowica” i chociaż nie miał tego w zwyczaju, zamówił duże jasne. Hejwowskiemu by się to nie podobało, ale Maciejewski postąpiłby identycznie.

– Leszyna nie żyje, panie Dubow – powiedział, wyczekawszy, aż kufel będzie pełny i biała pierzynka piany buchnie ponad krawędź szkła.

Piwo polało się po ściankach i zdrowej ręce knajpiarza. Naczynie stuknęło, gdy je postawił, i piana chlapnęła na szynkwas.

– *Wiecznyj pokoj jemu i carstwo niebiesnoje!* – Dawny atleta zbladł i przeżegnał się trzykrotnie. – *Nu kak eto słucziłos’?*

Horejuk sięgnął po kufel i delektował się pierwszymi, niespiesznymi łyżkami. Aż się zdziwił, ile sprawiło mu to przyjemności. Mniejsza o piwo z chełmskiego browaru, za którym nie przepadał, ale był w końcu Rusinem. Gdy tę ziemię trzymała za twarz Moskwa, jego ojciec tyle mógł mieć radości, co z upokorzenia Lacha. Kiedy Lachy dostały wolną Polskę i teraz pomiatały prawosławnymi, tajniak mógł tylko znęcać się, jak nie nad Żydem, to nad rosyjskim imigrantem. Ohydne

to, uznał, przyłapawszy się na zły myśli. Lecz jako glina powinien być ohydny, szczególnie że ostatnio za korepetytora miał komisarza Maciejewskiego.

– Znam rosyjski nie gorzej od pana, panie Dubow – powiedział wolnym tonem – ale rozmawiać będziemy w języku urzędowym, zwłaszcza że jest pan podejrzanym w sprawie.

– Ja? *Pane operatiwnik...*

– Panie wywiadowco – poprawił go Horejuk. – Ja pana po ludzku szanuję, bo jest pan przecież zasłużony człowiek, i tylko dlatego przychodzę bez mundurowych – zablefował – chociaż jak trzeba będzie, w kieszeniach mam i kajdanki, i rewolwer. – Połę marynarki odchylił znacząco, lecz dyskretnie, aby nie zauważyło nic trzech chłopów ubijających zakup konia przy stole pod ścianą. – I dlatego wolałem przyjść, zanim wpadnie na to inspektor. – Zaszarżował już tak, że prawie sam sobie uwierzył. Przede wszystkim jednak dopiero teraz, mając przed sobą szarzejącą twarz Dubowa, zrozumiał lekcję, jaką dał mu Maciejewski w nocy po śmierci Miazgarskiego.

„Widzicie, Horejuk, w trzydziestym roku miałem trudne śledztwo i naprawdę gardłową sprawę. Nikt nic nie wiedział, szczęśliwie napatoczył się postrzelony bandyta. Komuś innemu nie miałbym serca, ale tamtemu poszukałem kuli paluchem i zgadnijcie, w ile minut dowiedziałem się więcej niż przez kilka dni?”, tak powiedział komisarz. Czy rzeczywiście dosłownie tak zrobił, jak się chwalił, mniejsza! Otwartej rany w duszy Dubowa Horejuk nie myślał przegapić.

– Ale jak to możliwe? Kto Wiktora zabił?! Niech pan powie, to pójdę i sam draniowi łeb urwę!

Słyszając podniesiony głos, chłopci spojrzeli z ciekawością w stronę baru. Horejuk pozdrowił ich uniesionym kuflem.

– Niech pan się uspokoi. Tego drania sam wsadzę do aresztu, tylko skąd mam wiedzieć, że to nie pan? Leszyna został otruty papierosami, które właśnie pan przekazał mu w paczce. Za najdalej godzinę będzie wiedział o tym inspektor, za półtorej kierownik wydziału, a za dwie sędzia śledczy... – Urwał. – Co pan? Płacze?!

Takiego obrotu zdarzeń tajniak najmniej się spodziewał.

Maciejewski kazał mu iść przycisnąć podejrzanego, a jak dotąd jedyny podejrzany, który przy nim płakał, to był jeden alkoholik ze Stołpia. Zatlukł brata cepem, ale w kłótni i po pijanemu. Nic dziwnego, że potem na kacu zrobiło mu się przykro.

– A pan wywiadowca miał kiedyś prawdziwego przyjaciela? Takiego na śmierć i życie? – wydusił Dubow cicho, ścierając jednocześnie z blatu rozlane piwo. Dla chłopów ze stolika pod ścianą musieli wyglądać jak dwaj chełmianie narzekający na drożyznę, oplakany stan kanalizacji, ewentualnie na zażydzenie. – Nie miał pan, bo to nie każdemu zdarza się. To coś jak szczęście w miłości. W książkach to się zawsze prędzej czy później źle kończy, bo człowiek jest rab grzeszny, dzień po dniu w swej głupocie bezdusznej wbija nowe kolce w cierniową koronę Chrystusa i na nic dobrego nie zasługuje, panie, tylko na piekło jeszcze tu, na ziemi. Niech pan wywiadowca daje kajdanki, mnie wszystko jedno.

– *Wy soszli s uma?* – Horejuk aż cofnął się od szynkwasu. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że sam przecież nakazał mówić po polsku. – Zwariował pan?

Tymczasem Dubow wyszedł zza szynkwasu, biorąc z półki pół litra wódki i z haka suszoną kiełbasę. Ruszył z tym do chłopów.

– Mnie będą brać zaraz do więzienia, to muszę zamykać lokal – zapowiedział głośno. – Byście, ludzie dobrzy, nie mówili o mnie źle, to dla was. Pieniądzy nie chcę, ale idźcie już sobie.

– No jak to tak do więzienia? – Najstarszy z włościan otarł usta ze smalcu i starannie rozsmarował go po wąsach. – No ale jak władza każe, to trza – dodał, bo na wypadek chłopskiego buntu Horejuk stanął przodem do sali, niedwuznacznie odsłaniając kaburę z rewolwerem. – Bóg z panem, panie Dubow!

– Bóg zapłać! – Knajpiarz zamknął za nimi drzwi i powolnymi krokami zaczął wracać w stronę szynkwasu.

Horejuk zaś drgnął i piwo z tutejszej Nowej Bawarii wydało się mu jeszcze bardziej gorzkie niż zwykle. Uzmysłowił sobie nagle, że atleta właśnie wyrzucił za drzwi świadków i teraz może zadusić glinę jak kurczaka.

– Z tym więzieniem to nie tak od razu. Pan mi powie, jak było i co wie... – Sam nie wiedział, czy mówi w języku urzędowym, miejscowym, czy obcym. – Chodzi tylko o prawdę...

Dubow zerwał fartuch, po czym z wysiłkiem dopiął kamizelkę na okazałym brzuszysku.

– *Odnemu Bogu izwiestno*, kiedy prawda zwycięży nad kłamstwem, a łzęcy ukarani zostaną – mieszając języki, wypowiedział to jednak ze spokojem, zupełnie jakby chodziło o gazetową prognozę pogody. – Muszę iść zaraz do cerkwi zapalić świeczkę przyjacielowi. Pan, jak ma chrześcijańskie sumienie, pozwoli mi na to. A ja po drodze powiem panu, co wiem, *pane operatiwnik*.

By dojść do cerkwi Świętego Jana Teologa, musieli najpierw wznieść się Lwowską ku rynkowi, a potem opaść wraz ze stromą ulicą Kopernika. I dziwna rzecz, przez pierwszą część drogi Dubow dukał, jakby bolało go każde słowo, a potem popłynęły one same.

– Wszystko przez Sieniawę, to kierownik szkoły w Krasnymstawie, na Zakręciu. On niby uczy historii, chociaż więcej uczy chłopaków zapasów, wsiowy trener, ale z papierami. Leszyna mu pozazdrościł, bo przez dawny wyrok wyrzucili go ze związku, a Sieniawa powiadał, że to da załatwić się przez Miazgarskiego, oby się w piekle smażył! Przed śmiercią Miazgarskiego nawet był tutaj z inżynierem Herdą i...

– Dubow urwał pewnie dlatego, że wdepnął w kałużę na nierównym bruku rynku. – Było wtedy dużo ludzi oglądać mój zajazd, bo sam pan wie, co się porobiło, kiedy umarł Wacek, biedaczek...

Jeszcze nie zobaczył popa, a już rozwiązał duszę, pomyślał tajniak.

– Niech pan mówi, panie Dubow – zachęcił, biorąc wzór z własnego spowiednika.

– Nie wiem, o czym mówili, bo w lokalu zastąpiła mnie Lubka Kugelówna, a sam poszedłem do piwnicy.

Horejuk uśmiechnął się jak przystało panu władzy, nieprzyjemnie. Że Kugelówny łowią klientów w „Targowicy”, wiedział cały Chełm, że z Dubowem żyją dobrze po sąsiedzku,

ludzka sprawa, ale żeby kurwy podawały gościom wódkę i zakąskę, to już podchodziło pod przepisy sanitarne!

– Do piwnicy? – Wywiadowca zaczął jednak o ważniejszą sprawę.

– Do tej przekłętej piwnicy! – warknął stary atleta, przystając nad Horejukiem jak góra nad Mahometem. – Musiałem...

– A tamci? – przerwał mu tajniak. – Długo siedzieli?

– Dlaczego pan mi nie daje mówić?! – Dubow złapał go za ramiona i potrząsnął, nie bojąc się ani rewolweru, ani blaszki służbowej. – Oni pojechali razem gdzieś za miasto... – Machnął ręką. – Sieniawa i Miazgarski wzięli tego jęwejskiego taksówkarza, Grossa.

Krocząc po wąskim trotuarze w dół ulicy Kopernika, atleta marszczył czoło i wyraźnie natężał myśl. Horejuk przepisowo powinien prowadzić go za ramię, ale wtedy musiałby zejść na jezdnię i sięgałby knajpiarzowi do piersi. Poza tym nie miał ochoty wdepnąć w rynsztok, którym spływało białawe chełmskie błoto wymieszane z obierkami ziemniaków. Szedł więc za dawnym zapaśnikiem.

– Grossa wzięli – powtórzył z niechęcią Dubow, gdy już byli przy cerkwi. Odwrócił się i spojrział na tajniaka z nagłą sympatią. – Wy rozumiecie mnie, *pane operatiwnik*, wy jesteście tutejszy. Ten jęwey Gross, choćby nie chciał, musiał coś podsłuchać.

Wywiadowca klepnął go w ramię. Dawny zapaśnik wciąż miał taki biceps, jakby uderzało się w stal.

– Dokończymy później – zapowiedział, odwracając się w stronę rynku. Gdy go mijali, widział obie taksówki, żydowską i chrześcijańską.

– To gdzie mam iść potem?! – zawołał za nim Dubow. – Prosto do więzienia czy najpierw do cyrkułu? Znaczy do komendy...

– Do domu! Później!

Wróciwszy na rynek, Horejuk z zadowoleniem stwierdził, że Gross wciąż czekał na pasażerów. Przed jego autem na postoju stał renault z numerem jeden, zaś szofer oparty o maskę dyskutował o czymś z dorożkarzem. Tajniak minął go szybkim

krokiem.

– Pojedzie pan znowu na rachunek komendy? – zapytał, dla porządku pokazując znaczek służbowy, chociaż szofer powinien go pamiętać.

– Jak pan władza rozkaże! – Taksówkarz z zadowoleniem odłożył gazetę.

– No, popatrz pan, policja woli jeździć z Żydami – powiedział głośno do dorożkarza Pliszczycki. – Tylko patrzeć, a będzie ich czuć nie tylko gliną, ale i czosnkiem.

## **Rozdział 13**

### **– Zjedzony był już przez Krasnystaw wraz z mózgiem, sercem i energią**

*Krasnystaw, czwartek 19 maja 1938 roku*

Auto dojechało do przedmieścia Zakręcie i minęło więzienie, wyrastające wśród tonących w zieleni parterowych domów jak solidny biały pryszcz. Widząc w perspektywie szutrowej ulicy cmentarz, Maciejewski przypomniał sobie powiedzonko, jakie usłyszał kiedyś od jednego z przesłuchiwanym: sąsiad groził, że „wyśle go na Zakręcie”, więc facet wolał uprzedzić fakty i poszedł w odwiedziny z siekierą. Tak przynajmniej twierdził, bo do większej winy niż zamiar uszkodzenia ciała ani trochę się nie poczuwał, tylko wredny sędzia śledczy szył mu usiłowanie zabójstwa. A chłop i tak wylądował na Zakręciu, tyle że w pudle murowanym, a nie drewnianym, zaśmiał się pod nosem rozparty na tylnej kanapie Zyga.

Horejuk natomiast z każdym kilometrem coraz gorzej znosił beczynność Maciejewskiego. W Krasnymstawie musiał już zaciskać zęby, żeby nie wybuchnąć, i to mimo że służba pod komisarzem Hejwowskim przyzwyczaiła go do głupoty przełożonych.

Szyja Gross skręcił w Szkolną i taksówka od razu zaczęła podskakiwać na nierównym bruku. Szkoła powszechna numer jeden, niski parterowy budynek, z daleka zwracała jednak uwagę szarym eternitem na dachu, wyjątkowo przygnębiającym z zaciekami po deszczu, jakby ochotnicza straż pożarna ćwiczyła na nim swoje sikawki. Samochód zakręcił przed furtką, spod której między kwitnącymi krzakami bzu zwirowa alejka prowadziła wprost na ciasny ganek. Komisarz kiedyś nie zwróciłby na to uwagi, ale teraz jako oficer inspekcyjny ogromnie był ciekaw, jak cztery klasy naraz

wypadłyby przez te drzwi, gdyby wybuchł pożar. Odrodzona ojczyzna utrzymywała jednak szkoły z dobrego serca, a darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda. Tym bardziej w Krasnymstawie.

– Życzy sobie pan inspektor, żebym zaczekał? – Szofer wykręcił się do tyłu, opierając lewą dłoń na oparciu przedniego siedzenia.

– Życzę sobie. – Zyga niespodziewanie zapiął kajdanki na jego nadgarstku i pociągnął do siebie. – Drażnią mnie tacy kłamliwi świadkowie jak pan – dodał, mocując drugą obręcz do uchwytu nad drzwiami auta. – Tylko niech pan nie uzna tego za brak zaufania albo, nie daj Boże, antysemityzm! Po prostu gnębi mnie, że pan zupełnie nie chce z nami współpracować. Horejuk, usłużycie mi swoim kompletem?

Tajniak z niekłamaną ulgą wyjął z kieszeni kajdanki i podał razem z kluczykiem. Zyga mruknął coś w rodzaju podziękowania i wysiadłszy, drugą rękę szofera przypiął do kierownicy.

– Niech się pan nie martwi, migiem wrócimy – obiecał. – A gdyby zachciało się panu na stronę, niech pan ciśnie klakson.

– Ale ktoś go zobaczy – zauważył cicho wywiadowca, gdy mijali schludny trawnik przed szkołą.

– O to chodzi, żeby zobaczył, Horejuk. – Komisarz nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte, a w sieni wisiał szkolny dzwonek. Maciejewski pociągnął go z lubością raz i drugi. – Was, Horejuk, nigdy w szkole nie korciło, żeby samemu zadzwonić? Zaraz zobaczycie, jak daje się lekcję belfrowi.

\*

Za oknem taksówkarz, przykuty kajdankami do własnego auta, z milczącym wstydem znosił zaciekawione niecodziennym widokiem dzieci. Jeszcze kilka minut wcześniej było ich troje, teraz gapił się na niego przeszło tuzin bachorów. Jednakże Marian Sieniawa, kierownik szkoły powszechnej numer jeden, nie mógł wyjść, by pomóc swoim uczniom zrozumieć, co właśnie zaszło.

– Od pana tylko zależy, kiedy ten cyrk się skończy –



powiedział komisarz Maciejewski, demonstracyjnie unosząc firankę. – No, już tej gromadki jest pół klasy! Mnie nie zależy, żeby narobić panu jeszcze więcej wstydu, chociaż może powinno...

– Mówię panu przecież, chodziło mi o stworzenie tutaj klubu, a inżynier Herda miał wśród robotników sportowców. To przyciągnęłoby tutejszą młodzież, która u ich boku...

– Chyba posiedzimy u pana z godzinę! – przerwał mu Zyga. – Nie ma pan piwa? Może być i chełmskie!

Sieniawa spojrział najpierw na niego, potem na drugiego tajniaka, który nie odzywając się, cały czas pisał w notesie.

– To byłaby sportowa szansa dla kilku powiatów, panie komisarzu. Ci wszyscy ludzie, że tak powiem, wysadzeni z siodła, którzy nagle znaleźli się na chełmskiej budowie, a wśród nich zapaśnicy, bokserzy, piłkarze... Pan wie, jak my stoimy w lidze?

– Leżycie raczej – sprecyzował Maciejewski. – I dlatego wszedł pan w spółkę z bandytami?

– Z Polskim Związkiem Atletycznym. – Sieniawa obruszył się.

– Z Miazgarskim i Herdą. Jeśli działacze to przestępcy, to i związek nie związek, tylko banda. Serdecznie panu radzę nie iść w zaparte, póki nie jest pan o nic oskarżony i ma wszelkie szanse wyjść z tego obronną ręką. Kogo pan znał?

– Herdę, Miazgarskiego i Feluka. Tego akurat podsunął mi Herda. Powiedział, że będę mógł wziąć go do klubu, kiedy się zużyje.

– Bardzo się zużył, wręcz na szmelc. – Komisarz cmoknął nieprzyjemnie. – Wielu tak się zużyło?

– To przecież walki poza klasyfikacją związku, a wypadki zdarzają się nawet na oficjalnych zawodach...

Maciejewski zerknął na Horejuka, czy notuje.

– Zna pan nazwiska tych pechowców?

– Skąd?! – Sieniawa poderwał się zza stołu, lecz komisarz położył mu ciężką rękę na ramieniu. – Przecież nie widziałem żadnej z tych walk! Ostatni pociąg do Krasnegostawu odchodzi przed ósmą wieczór.

Zyga wybuchnął szczerym śmiechem, bo to już było doprawdy

pocieszne. Facet wchodzi w interesy śliskie bardziej niż podłoga w szkolnym kiblu, lecz jak przystało na małomiasteczkowego nauczyciela boi się spóźnić na kolej.

– W takim razie skąd pan wie, że były jakieś nielegalne walki? Że chociażby Herda nie zakpił sobie z pana?

Tylko policjant mógł wykoncypować podobną kalumnię na pana inżyniera, zdawał się mówić w pierwszej chwili wzrok Sieniawy. Nauczyciel szybko przeniósł spojrzenie za okno, gdzie dzieciaki z Zakręcia, początkowo onieśmiałe autem i kajdankami, teraz zaczęły pytać o coś przykutego szofera.

– Nawet sędzia Szydłowski na nich bywał i sam opowiadał! – Sieniawa podniósł głos. – No to jak nielegalne?!

– Kto? – Horejuk wyszedł z roli protokolanta.

– Pan sędzia śledczy Szydłowski – powtórzył Sieniawa. – On i pozostali panowie z resursy obywatelskiej, cała chełmska inteligencja.

Maciejewski pokiwał głową. Skoro inteligencja, to nic dziwnego, że Hejwowski był ślepy i głuchy. Ze swymi czterema klasami przedwojennego gimnazjum przed takim towarzystwem czuł respekt.

– Sam pan komisarz rozumie. – Sieniawa potraktował jego gest jako wyraz aprobaty i odetchnął z ulgą. – Oni wszyscy chodzili je oglądać, hazardowali się. Najbardziej inżynier Herda, chyba potrzebował się odegrać. Inaczej pewnie nie poprosiłby mnie o pomoc przy zachęceniu Feluka. A ja, myśląc o naszym krasnostawskim „Starcie”...

– O pańskim klubie nie chcę więcej słyszeć! – warknął Maciejewski. – Skąd zna pan Herdę?

– Ze związku atletycznego. I bywał w „Targowicy” u Dubowa, to człowiek legenda, tylko ten Leszyna zawsze wydawał nam się podejrzanym typem... – Kierownik szkoły uśmiechnął się, szukając zrozumienia na twarzy Zygi.

– No to jak dla mnie ma pan z nim wiele wspólnego – osadził go jednak komisarz, zapalając papierosa. – Mów pan, jak było z Felukiem!

Było tak, jak Maciejewski nieraz słyszał, tyle że tamte zeznania dotyczyły dziewcząt, uwodzonych i sprzedawanych do

burdeli. Tym razem kant dotyczył młodego mężczyzny, zresztą niezłego byczka, co z uznaniem podniósł wychowawca tutejszej dzieciarni. Nauczyciel nie miał oczywiście pojęcia, dlaczego Feluka wyrzucono z roboty i kwatery w baraku robotniczym, natomiast należało dać mu posmakować bezrobocia i bezdomności. Niech skruszeje, uznał podobno Herda.

– Rozumiem pretensje pana komisarza – powiedział z rezygnacją Sieniawa. – Tak rzeczywiście nie powinno się postępować z zawodnikami, ale jak inaczej miałbym pozyskać doświadczonych zamiejscowych zapaśników do naszego klubu? Skoro panowie tu przyjechali, Feluk musiał odnieść kontuzję. Poczekam, aż wydobrzeje. W Krasnymstawie jest dla niego praca i miejsce w klubie – obiecał nauczyciel.

– Do końca roku szkolnego co prawda przeszło miesiąc, ale radziłbym nie planować wyjazdów wakacyjnych. – Zyga zgasił papierosa. – Może pan zostać jeszcze wezwany przez policję lub organa sądowe.

– Dlaczego?

– Bo miejsce Feluka jest teraz na Zakręciu, jak wy tutaj mówicie. – Komisarz wstał. – Feluk nie żyje i dlatego byliśmy nieuprzejmi pana odwiedzić.

– Ale przecież ja nic... – Sieniawa sięgnął po stojącą na stole karafkę, nalał wody do szklanki i opróżnił ją jednym haustem.

– Pan nic. – Maciejewski pokiwał głową. – Proszę z nami.

Wyszedł pierwszy i czekając, aż nauczyciel zamknie drzwi swego mieszkania, obejrzał gazetkę ścienną. Uczniowie pracowicie ponaklejali ususzone kwiaty i wyrysowali zieleniące się w maju oziminy oraz awansem kwitnący żółto rzepak.

Dzieci na widok kierownika szkoły odsunęły się od taksówki, niechcący tworząc szpaler. Przechodząc, Zyga pogłaskał po włosach siedmio-, może ośmioletnią dziewczynkę. Przestraszona schowała się za koleżanki ze starszej klasy.

– Poznaje pan profesor tego taksówkarza? – zapytał naraz Maciejewski tak uprzejmym tonem, jakiego Horejuk nigdy nie słyszał od wyższego stopniem. – To on pana wiózł trzy dni temu w Chełmie?

– Tak. – Również Sieniawa spojrział zdziwiony na komisarza.

– W takim razie bardzo panu dziękujemy. Daje pan wzorowy przykład uczniom. – Zyga spojrział na niego krótko, lecz aż nazbyt znacząco. – Dzieci, któreś chce zatrąbić?

Mimo że po całym Krasnymstawie jeździły może trzy auta, dla tutejszych gówniarzy wciśnięcie klaksonu najwyraźniej nie było wystarczającą pokusą. Żaden bachor nie ruszył się na krok. Gdy Zyga chciał pokazać, jakie to fajne, i sam zatrąbił, wkładając rękę przez uchylone okno, uciekły jak na komendę.

W tej sytuacji pozostało tylko uwolnić Grossa i jechać z powrotem.

\*

Wcześniej Horejuk nie do końca pojmował plan Maciejewskiego, ale w drodze powrotnej wszystko mu się rozjaśniło, tak jak na niebie wiatr rozgarnął wreszcie chmury. Skuwanie szofera było może i nieregulaminowe, niepowodowane jednak sadyzmem. Gross miał tkwić przy kierownicy jak polny strach na wróble, czy raczej jak strach na Sieniawę. Teraz tajniak zrozumiał, dlaczego nauczyciel pękł, ledwie weszli. Rodzice ani władze nie lubią, kiedy przy szkole dzieją się jakieś awantury czy sensacje, lecz tym razem nie szło tylko o wstyd oraz zaburzony święty spokój. Sieniawa miał w Grossie zobaczyć swoją własną nieubłaganą przyszłość jak pijacy, oglądając plakaty o skutkach alkoholizmu. Szczęśliwie, z lepszym efektem. Dodatkowo zaś nauczyciel miał z miejsca zacząć się zastanawiać, co taksówkarz o nim wie. A skoro nie mógł tego łatwo ocenić, wolał powiedzieć więcej niż mniej.

A to uprzejme pożegnanie przed szkołą to był dosłownie nagły prawy sierpowy w splot słoneczny, tyle że tym razem przeznaczony dla Grossa. Chodziło o to, żeby w głowie szofera nagle załął się niepokój: nie tylko gliniarze podejrzewali go o mataczenie, rozpoznał go jeszcze świadek, i to Polak, katolik, nauczyciel! Taksówkarz nie był głupi, oczywiście, doskonale rozumiał, że owszem, znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Lecz jeżeli ktoś powinien beknąć, to przecież ten kierownik szkoły! To on miał jakieś geszefty z Miazgarskim, co organizował walki w cyrku. Gross jedynie

wyparł się, że go widział, gdy w poniedziałek posterunkowy pokazywał wszystkim dorożkarzom i taksówkarzom zdjęcie tego faceta.

Tymczasem komisarz, który to popisowo przeprowadził, siedział ze znużoną miną na tylnej kanapie i wyglądał przez okno. Horejuk co chwila spoglądał na niego natarczywie. Wolał nie mówić nic bez pozwolenia, skoro przedstawienie jeszcze się nie skończyło.

Wreszcie Zyga poczuł jego wzrok.

– Patrzcie, panowie, jaka piękna ta nasza ojczyzna. Zielone pola, żółte mlecze, jakby dzieci narysowały – wypalił niespodziewanie. Odegrał moment zamyślenia, po czym klepnął kierowcę w ramię. – Zrobi pan dzisiaj dla komendy powiatowej ponad sześćdziesiąt kilometrów i rzetelnie wypłaci się to panu na podstawie rachunku. Potem pójdzie pan do państwowego hotelu przy Kolejowej na czterdzieści osiem godzin, bo ma pan, panie Gross, wyjątkowy talent do spotykania ludzi, którzy za chwilę zostają zamordowani. Przypnę panu podejrzenie o współudział, a sędzia śledczy chętnie przyklepie, to znany antysemita.

– Ale panie władzo... – jęknął taksówkarz i dosłownie ugryzł się w język, bo auto podskoczyło na nierównej szosie.

– Ma pan rację, ten zarzut chyba długo się nie utrzyma, ale wtedy wezwie się pana z wolnej stopy z artykułu sto czterdzieści osiem. Utrudnianie postępowania karnego – dodał komisarz, widząc w lusterku wstecznym niezrozumienie na twarzy szofera. – Bo pan nie tylko zawsze jest w centrum wydarzeń, ale też nie o wszystkim jest uprzejmy donosić. Na rozprawie może pan, oczywiście, podnieść sposób, w jaki pana potraktowałem, tyle że chyba nie ma pan na to świadków poza małoletnimi. Zatrzymamy się w Rejowcu.

– Po co, panie inspektorze? – Horejuk odważył się zaprotestować. Jego zdaniem należało kuć żelazo, póki gorące. No i znowu zbierało się na deszcz...

– Na spóźniony obiad. Nie jesteście głodni? I spójrzcie, pan Gross błąd, jakby nie miał nic w ustach od tygodnia.

Nie było to prawdą, zjadł obfite śniadanie i przegryzł kilka

bajgli w ciągu dnia. Chociaż to oczywiście żadne jedzenie i w innej sytuacji obiadem by nie pogardził. W Rejowcu jednak tylko dłuwał widelcem w talerzu z suchą kaszą, bo w karcie nie było nic tańszego.

– Odbiera panu apetyt widok na cmentarz? Możemy się przesiąść do innego stolika, z drugiej strony są stawy rybne – zaproponował życzliwie Maciejewski. – Aaa, pewnie to, że myjemy flaki wieprzowe, tak pana obrzydza?

– Jeśli chce pan wiedzieć, i mnie się zdarza jadać niekoszernie, nie jestem chasyd! – wybuchnął taksówkarz. – Jak poszedłem zameldować o bójce wykidajły z tym młodym chłopakiem, miałem tylko nieprzyjemności. O, nie takie jak ten ciemny chłop, który spędził noc w areszcie, ale gazety pisały, to wolę trzymać się z dala od policji. I od kłopotów. A jak się nie obrócić, dupa z tyłu! Przyjemnie panu znęcać się nad Żydem?

– Gdyby znał mnie pan lepiej, toby pan wiedział, że jako funkcjonariusz państwowy wszystkich obywateli traktuję zgodnie z konstytucją. Bez względu na wyznanie tak samo źle. A w dodatku od przedwczoraj nad nikim się nie znęcałem i nosi mnie jak jasna cholera, wywiadowca Horejuk świadkiem.

Tajniak zakasłał, jakby zbyt długa nitka świńskich flaków poszła mu nie w tę dziurkę. Maciejewski oparł się łokciami na stole.

– Powie pan, co chcę wiedzieć, i po pracy wróci do domu spokojny, a do tego bogatszy o należność za długi kurs – zapewnił. – Albo spełni się moje poprzednie proroctwo. Pan może wybrać dobre albo złe tak jak tamci państwo w Sodomie i Gomorze.

Obietnica nie przywróciła Grossowi apetytu, mimo że wybrał dobrze i Bóg nie spuścił ognia na Krasnystaw, Rejowiec ani Chełm. Jeszcze przy stole streścił wszystko, co podsłuchał z rozmowy Miazgarskiego, Herdy i Sieniawy.

– Miazgarski groził nauczycielowi, że utraci go z posady, jak nie będzie posłuszny? – upewnił się Zyga.

– Tak to zrozumiałem. I mowa była o jakimś Feluku. „Jak nam skruszał, to czekam go jutro”, tak dosłownie wyraził się inżynier.

Horejuk podnosił niezgrabnie łyżkę lewą ręką, bo prawą skrobał w notesie. Komisarz z przyjemnością dojadł resztę zupy, zagryzając pszennym chlebem. Do flaków zasadniczo należała się wódka, uznał, podnosząc rękę na kelnera.

– I powiem panom do końca. Tam był też sędzia Szydłowski.  
– Gross zebrał się na odwagę.

– Kto? – Horejuk opuścił naraz i łyżkę, i pióro.

– Szydłowski – powtórzył za taksówkarzem Zyga. – Piszcie, co świadek mówi.

– Ostrzegaliśmy tego, co potem zginął na torach, że policja będzie go szukać. To już naprawdę wszystko, ale jak trzeba będzie zeznać w sądzie, to się wyprę. Ja tu mieszkam.

Kiedy podszedł kelner, Maciejewski zamiast wódki zażądał rachunku. Horejuk zerwał się, by pójść do wychodka za Grosse, któremu po szczerzej rozmowie najwyraźniej uczucia się skropiły.

– Nie zwracajcie sobie głowy, wróci. – Zyga powstrzymał go.  
– Jak nie ze względu na nas, to na samochód. Sprawiliście się – pochwalił pierwszy raz. – Lepszy z was tajniak, niż myślicie.

– A gdyby się okazało, panie inspektorze, że Gross jednak nic nie wie? – Wywiadowca schował notes i pióro do kieszeni marynarki. – Mimo tych kajdanek, okazania nauczycielowi i bachorów przy aucie?

– Ośmieszyłem go wprowadzając w obcym mieście, ale macie rację, języki ludzie mają długie... Co bym zrobił? Przeprosił i dał napiwek oczywiście. – Komisarz wzruszył ramionami. – A potem to wam, Horejuk, dałbym popalić. W końcu, żeby jechać taksówką do Krasnegostawu, to był przecież wasz pomysł.

\*

*Lublin, rok 1912*

Ciotka była dobra. Czego by nie mówił albo nie myślał w gniewie, w sercu czuł, że lepsza niż rodzona matka. Dlatego kazanie na górze przeczytał kilkakrotnie przed zaśnięciem, a potem jeszcze rano, ledwie się obudził. Mimo to przy

pierwszym wakacyjnym śniadaniu pocił się jak przed odpytywaniem z łaciny i ulubione jajka na półmiękkę zupełnie mu nie smakowały.

– Ja i tak, proszę cioci, zostanę socjalistą, a nie księdzem! – burknął wreszcie, nie znajdując lepszych argumentów.

– Socjalistą! I pewnie bojowcem! Będziesz jak tatuś strzelał z rewolweru do zdrajców sprawy polskiej i rzucał bomby w carskie cyrkuły?

– Mniej więcej – zgodził się Zygmus, pakując do rozkrojonej bułki słuszną porcję szynki i chrzan. Z chrzaniem wszystko smakuje, to wiedział, nawet gdy apetyt ma się jak on zdolności umysłowe.

Ciotka dystygowanie ukroiła sobie plasterek wędliny tak cienki, że widelec ledwie mógł go uchwycić. Włożyła do ust i wydawać by się mogło, że połknęła jak opłatek. Tej sztuki nie opanował i już myślał, że ów pokaz dobrych manier odbył się dla upokorzenia siostrzeńca, jednak ciotka uśmiechnęła się miło i serdecznie.

– No to powinieneś wiedzieć, mój drogi, jak dociec, kto jest zdrajcą. To śledztwo jak w policji, tyle że w polskiej sprawie. Przypomnij sobie, Zygmusiu, kto namówił klasę, żeby zrobić napis? Miazgarski, prawda? Widzę po twojej minie, że tu nie ma niewiadomej. No to dalej! Kto wykonał napis i został za to ukarany? Wroński, wiemy oboje. Znów w rachunku ani iks, ani igrek, więc znana nam liczba. Wiesz już również, że Kowalow nie wydał kolegów, którzy go pobili. Zatem pozostaje ci tylko odrzucić wcześniejsze założenia i odpowiedzieć logicznie na jedno, wcale nie tak trudne pytanie: kto miał interes w tym, żeby zrobić aferę, donieść na domniemanego winowajcę i najważniejsze, zdać do następnej klasy, chociaż akurat z książką w ręku to nikt go nigdy nie widział?

– Ale jak ciocia może wysnuwać takie insynuacje do mojego przyjaciela?! – oburzył się chłopiec.

– Insynuacji się nie wysnuwa, tylko się je wysuwa. I nie do kogoś, tylko wobec kogoś. – Ciotka wstała od stołu, bo czas już było otwierać sklep. – A ty, Zygmusiu, jeżeli nie potrafisz ani arytmetyki, ani formułować zdań, i tak nie zdasz matury.



Trzeba cię będzie oddać do terminu do szewca, nauczysz się pożytecznego zawodu. Chyba że wolisz do czapnika albo do krawca. Masz całe wakacje, żeby się nad tym zastanowić. Tymczasem idź popróżnować nad rzekę albo na łąki. Kapranowa ukroiła ci chleba z szynką, żebyś nie był głodny. Cały bochenek by ci pokroiła, gdybym jej nie powstrzymała, skąpa ta twoja ciotka! – Czule potargała czuprynę Zygi, jakby nie stało się nic istotnego.

A jednak zatrula mu całe lato. Zygmus z swym mikrym doświadczeniem życiowym nie wiedział jeszcze, że szczególnie kobiety potrafią choćby czułym zdaniem popsuć człowiekowi nie tylko wakacje, ale i rok za rokiem. Że nawet w dobrej sprawie bywają gorsze niż starożytni demagodzy i dwudziestowieczni politycy. Przez tę zagadkę on, król strzelców kochany na wszystkich podwórkach od Gubernatorskiej po Namiestnikowską, doprowadził do tego, że jego drużyna przegrywała nie tylko z chłopakami z Rur Brygidzkowskich, ale nawet paniczki z Ogrodowej strzelili im sześć do jaja. I stryj nie był zadowolony z Zygmunta, który nie potrafił skupić się na splawiku i pozwolił zerwać żyłkę pięknemu, ponaddziesięciokilowemu szczupakowi. „Zakochany albo niedowidzi”, ze złością doniósł na bratanka ciotce.

Jednakże nie chodziło o dziewczynę ani okulary. I kiedy znów w mundurku stawiał się w Gimnazjum Państwowym jako uczeń klasy trzeciej, to chociaż podał rękę Miazgarskiemu, zaraz potem podszedł do Kowalowa i objął go ramieniem. Ten wzdrygnął się nerwowo i skulił na wszelki wypadek, lecz nie wyrzekł słowa protestu.

– To jest od dziś mój kolega. – Tak rozpoczął Maciejewski przy całej klasie swoje oszczędne, choć każdego dnia wakacji obracane w głowie i kreślone w kajecie wystąpienie. – Którzy zamierzają dokuczać Kowalowowi, niech uczciwie powiedzą. Po kolei będę z każdym po lekcjach chodził za szkołę na łąki i będziemy się bili, aż wygram.

Wyzwania nie podjął żaden. Po feriach jakimś cudem Wroński dołączył do dawnej klasy, natomiast Miazgarski przeszedł do szkoły realnej. Matura nie była dla niego. Jak

okazało się po latach, miał o niebo lepsze plany na życie i karierę. Wcześniej jednak wybuchła wojna, najpierw europejska, potem okazała się światową i Kowalów ewakuowano w głąb Rosji. Zaś gdy do Lublina przyszli Austriacy, Węgrzy i Czesi, ciotka przeniosła swego wychowanka do gimnazjum Zamoyskiego, gdzie lekcje odbywały się po polsku, a trzeciego maja wszystkie klasy śpiewały *Witaj, majowa jutrzeńko*. Na Zygę koledzy patrzyli podejrzliwie, bo nie radował się legalnym patriotyzmem. Niestety, przypominał mu on o dwóch dobrych kolegach i o tym, że zniknęli Maciejewskiemu z oczu zbyt szybko, aby zdążył sprawdzić, co do którego się omylił.

\*

*Chełm, czwartek 19 maja 1938 roku*

Komisarz Józef Hejwowski czuł się nieźle. Zdołał upewnić prokuraturę, a zwłaszcza sędziego śledczego Szydłowskiego, że Maciejewski to tylko kometa, która przeleci nad Chełmem, wystraszy co bardziej zabobonnych ludzi, lecz zasadniczo nic się nie zmieni. Niejeden oficer inspekcyjny przecież już tu był, owszem, nigdy tak wyrywny, lecz Hejwowski służy nie od dziś w policji i ma go pod kontrolą. Komendantowi Pawłowskiemu, byłemu żołnierzowi generała Dowbor-Muśnickiego, powtarzał od tygodnia, że Maciejewski to wprawdzie cholerny piłsudczyk, lecz on go zna od nieopierzonego aspiranta i potrafi zrobić tak, żeby raport pokontrolny wypadł należyście. Tylko trzeba mu pozwolić się poszarogęcić, panie komendancie, bo świeżo na stanowisku i go nosi. A Hejwowski nie bez przyczyny dał Maciejewskiemu przecież Horejuka do pomocy; to Ukraińiec, więc sam w strachu o stanowisko i będzie donosił.

Że najzwyczajniej w świecie bał się tego faceta, który na jego oczach awansował z wywiadowcy w Zamościu na zastępcę kierownika wydziału w Lublinie, tego stary policjant nie powiedział nikomu. Tym bardziej że były podwładny wrócił w najgorszej chwili jak wierzyciel albo jak złowieszczą kometa właśnie. A teraz kierownik chełmskiego wydziału śledczego

siedział przed jego biurkiem i patrzył, jak oficer inspekcyjny otwiera nieprzyjemnie zgrubiałą teczkę z aktami dochodzeniowymi.

– Znamy się tyle lat, że chyba mogę się panu przyznać, panie Józefie – zaczął całkiem spokojnie Maciejewski – mnie roboty śledczej tak naprawdę nauczyła ciotka, sklepikarka. W Szkole Głównej Policji przeszedłem tylko kursy doszkalające. – Najpierw podał Hejwowskiemu odbitkę raportu pokontrolnego. – Niech pan tego teraz nie czyta, tam nie ma nic interesującego, no może poza moimi wnioskami o przydzielenie wam więcej funkcjonariuszy i o komisariat na Nowym Mieście. Gorsza jest ta chryja, która zaczęła się od śmierci Zimowskiego. – Wyciągnął w jego kierunku plik kolejnych kwitów.

– Myślałem, że przestanie to pana interesować po śmierci pańskiego kolegi – rzucił przyjacielsko stary glina.

– Ja natomiast miałem nadzieję, że pana zacznie. – Zyga sięgnął po papierosa.

Hejwowski pamiętał czasy, kiedy ten musiał w każdej sprawie prosić o pozwolenie, a teraz sadził się jak panisko... Boże kochany, byle doczekać emerytury!

– Inżynier Herda? Sędzia śledczy Szydłowski?! Pan raczy żartować, panie Zygmuncie... – Kierownikowi wydziału głos podniósł się i załamał.

Horejuk składał mu przecież sprawozdania, ostatnie we wtorek wieczorem. Wynikało z nich, że śledztwo grzęźnie ku umorzeniu. Dla statystyki to może żadna korzyść, ale skoro sam oficer inspekcyjny zebrał wszystkie trupy w jedną sprawę, koniec końców na rozkładzie chełmskiej komendy pozostałoby tylko jedno pudło. Lepiej być nie mogło. Tyle że początkowo Maciejewski trząśł jedynie śliwki robaczywi, a teraz wspiał się po pniu i zatelepał samą górą. Dlaczego tak nagle, u licha?! I czyżby Horejuk zmienił front i przestał donosić prawowitemu zwierzchnikowi?

– Mówię to przecież panu w cztery oczy, operacyjnie, a nie procesowo. – Zyga wygrzebał z pudełka zapalną i potarł o draskę. – Nawet sędziowie śledczy nie stoją ponad prawem,

kierownicy budów tym bardziej. A sam pan widzi, że ci panowie mieli swój udział w aferze – dodał, pokazując swą rozrysowaną na papierze mapę zbrodni i podejrzeń.

Z tego rysunku Hejwowski nic a nic nie rozumiał. I nie chciał rozumieć. Aprobując kiwnął jednak głową. Oficer inspekcyjny wyjedzie, a sprawę się rozgrzebie ku zabagnieniu. O tych kilku niezidentyfikowanych trupach za jakiś czas wszyscy zapomną. Wszystkie powiaty mają swoich NN w statystyce, trudno się mówi.

– Czarno na białym: Zimowski był pederastą, Sieniawa z Miazgarskim i Herdą byli zamieszani w nielegalne walki, Szydłowski na nie chadzał. Wystarczy uczulić wywiadowców i kapusiów, a znajdzie się miejsca, współników i dowody. Ktoś w końcu chłapnie. Z ciekawości, pan kogo by typował na aranżera tych pokątnych zawodów?

– Bóg wie. – Hejwowski wzruszył ramionami.

Chciał jeszcze dodać, że policja nie jest od zgadywanek, tylko od pisania protokołów. Zyga jednak poderwał się gwałtownie, klepnął byłego przełożonego w ramię i wcisnął na głowę kapelusz.

– Nie skończyliśmy, panie Zygmuncie.

– Później! – Maciejewski zawołał już z korytarza. – Pan rozwiązał mi sprawę, panie komisarzu. Bóg wie!

Kierownik chełmskiego Wydziału Śledczego dłuższą chwilę siedział i patrzył na zatrzaśnięte drzwi. Że ten bezczelny gówniarz, który zaczynał pod nim służbę, pociągnie w policji tyle lat, Hejwowski grosza by wtedy nie dał. Omylił się, ludzka rzecz. Że jednak teraz Maciejewski pozwoli sobie na takie kpiny, to było dla starego policjanta aż nadto!

Machinalnie wyrównał stos papierów na biurku. Podszedł do okna, akurat by zobaczyć Zyge szybkim krokiem zmierzającego w stronę rynku, i odruchowo dotknął ziemi w doniczce z zaniechaną ostatnio paprocią. Miała sucho, więc sięgnął po porośniętą nalołem butelkę, lecz w nerwach przesadził z podlewaniem i kałuża wody rozlała się po parapecie.

Nie zaklął, przeciwnie, ściągnięte usta Hejwowskiego rozluźniły się. W Policji Państwowej nie może przecież być, aby

upokorzony zwierzchnik pozwolił całej złości ot tak w niego wsiąknąć.

– Posterunkowy, ze szmatą! – otworzywszy drzwi, rozkazał pierwszemu mundurowemu, który pechowo wszedł mu w drogę.

I absolutnie nie miał zamiaru na tym poprzestać. Porządek musi być!

## Rozdział 14

### – Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją

*Chełm, czwartek 19 maja 1938 roku*

Bóg wie?!

Bóg wie. Ja nie powiem. Zły człowiek.

Dopiero teraz Zyga zrozumiał, co właściwie powiedział mu Dubow, kiedy rozmawiali po raz pierwszy. Zimowskiego zabił zły człowiek, rzecz oczywista, dobrzy ludzie nie mordują. Stwierdzenie niewarte uwagi, filozofia moralna na poziomie imbecyla. Tyle że Hejwowski, którego wszak Maciejewski również nie zaliczał do najwyższego sortu, przy podobnej uwadze wzruszył ramionami, miną i całym ciałem wyrażając jedną wielką wątpliwość. A Dubow? On ramionami poruszyć nie mógł, bo ten naturalny odruch kosztowałby go zbyt wiele bólu. Odczytał się gestów, a Zyga wziął to za dobrą monetę; skupiony na chorej ręce dawnego sportowca, przegapił brak zdziwienia morderstwem. Teraz przypomniał sobie dokładnie, że knajpiarz siedział przed nim nieporuszony niczym figura na cokole.

Naraz w pamięci Maciejewskiego zdania odwróciły kolejność: „Zabił zły człowiek, ale ja nie powiem kto. Pytajcie Pana Boga Wszechwiedzącego”. Dubow jak offerma klasowa, która nie potrafi sprytnie okłamać nauczyciela, nauczył się w pokrętny sposób mówić wyłącznie prawdę.

Wściekły, że dał się tak łatwo podejść, Maciejewski rozchlapał butami kałuże na Pocztowej. Na szereg mniej i bardziej inteligentnych krętactw podejrzanych był uodporniony, nos psa gończego wyczuwał swąd fałszu. Wobec małego sprytu i szczerości przynajmniej tym razem okazał się bezbronny.

Z papierosem w ustach pchnął drzwi „Targowicy”, ale za

szynkwasmem nie knajpiarz, lecz panna Binka Kugelówna wycierała świeżo opłukane kufle. Kilku klientów zerkało na nią i cicho komentowało apetyczny dekolt.

Rzetelny albo złośliwy policjant powinien na początek skontrolować w książeczce sanitarnej, czy prostytutka ma aktualne badania na kiłę. Trafi się wyszczerbiony kufel, ona przejedzie po nim palcem, człowiek weźmie potem do ust i zakażenie murowane! Maciejewski nie miał jednak głowy do walki z chorobami wenerycznymi.

– Gdzie pan Dubow? – Oparty o bar, jednak zerknął na dwie przytulone do siebie piersi pod niedopiętą bluzką.

– Niech pan poczeka. – Uśmiechnęła się zalotnie. – Piwa?

– Nie mam czasu. Gdzie jest? – Zamiast monety położył na szynkwasię swój znaczek służbowy.

– I po co to? – Młodsza Kugelówna wzruszyła ramionami. – Przecież wszyscy wiedzą, kim pan jest. Pan Dubow poszedł do składziku, ale czy pali się?

Maciejewski rozduśił papierosa w mosiężnej popielnicy na barze. Sądząc po dwugłowym carskim orle na stojaku na zapalki, jeszcze ze starych dobrych czasów.

– Już się nie pali – powiedział, wchodząc na zaplecze.

\*

Regał z surowych desek, pełen szlachetnie zakurzonych butelek z kilkunastoma rodzajami piwa, pełnych i na wymianę, komisarz pamiętał z oględzin sprzed kilku dni. Teraz jednak z obluźowanej półki wszystkie butelki zdjęto: puste walały się pod ścianą, pełne Zyga zauważył w kącie. Solidny mebel stał krzywo, a koleiny wyżłobione w kredowym podłożu świadczyły dobitnie, że został odsunięty nie pierwszy raz. Należało tylko wiedzieć, w którym miejscu chwycić, i włożyć w to sporo siły; rzecz w sam raz dla takich atletów jak Leszyna czy Dubow. Obok leżała niewielka przyzma pyłu węglowego zmieszanego z kredą do zamaskowania kolein. Zaś za meblem były drzwi, dla odmiany chodzące już tak cicho i lekko, że i dziecko mogłoby je otworzyć.

Zaduch piwnicznej wilgoci i woń przywodząca na myśl dawno

niepłukaną gąbkę do ścierania tablicy, to poczuł od razu za progiem. Pierwsze stopnie schodów były ceglane, kolejne wycięte w kredowej skale, mokre i lepkie. A wszystkie oświetlone żarówkami zwisającymi z drutów, bez tego Zyga nie dostrzegłby zdeptanego niedopałka pod ścianą. Podniósł go. Filtr miał zgnieciony na krzyż jak gilzę, zwyczajem Miazgarskiego.

Po kilkunastu krokach znalazł się w półkoleście zwieńczonej grocie rozmiarów kabiny klozetowej z mętną kałużą pośrodku. Dotknął ściany. Była śliska i wydawała się niepokojąco miękka, jakby gotowa spłynąć z pierwszym deszczem. Kiedy jednak spróbował ją zadrapać, omal nie złamał sobie paznokcia. Cały Chełm śmiał się z nauczyciela, który własnym sumptem wyremontował kilkaset metrów kopalni kredy w piwnicach pod miastem, licząc na turystów. Tylko jaki turysta będzie chciał marznąć w podziemiach, brudzić sobie buty i ubranie!

Komisarz zajrzał w głąb skręcającego w lewo i schodzącego znów w dół korytarza, wąskiego, ale dość wysokiego, by mógł nim iść, jedynie lekko schylając głowę. Dubow czy Leszyna pewnie nieźle musieli zginać tu karki. Stopni nie było, tylko pochyłe, śliskie podłoże prowadziło do kolejnej, tym razem obszerniejszej sali.

Przeszedł pod ziemią, przecinając ulicę Reformacką, ale czy zbliżał się teraz do komendy, czy raczej do kościoła, na to nie wystarczyło mu orientacji. Kreda zaczynała coraz bardziej wiercić w nosie, jakby wszedł do świeżo pobielonego budynku, zniknęła za to woń wilgoci. Zyga spojrział na swój rękaw. Musiał otrzeć się o ścianę piwnicy, bo jego nowy garnitur zaczął przypominać szkolny mundurek z dawnych czasów, kiedy co gorsze błędy na tablicy szybko ścierało się własnym rękawem.

Przystanął w pomieszczeniu akuratnym na grobowiec, wysokim na dobre cztery metry, szerokim na trzy. Odchodziły z niego dwa korytarze: lewy wąski i wilgotny, a prawy szerszy i suchy. Oba prowadziły głębiej pod ziemię. Komisarz nie musiał jednak rzucać monetą, bo z prawego korytarza dostrzegł dalekie, błędzące po kredowych ścianach odbicie jaskrawego światła elektrycznego.



\*

W tym samym czasie posterunkowy Szczepan Horejuk stał na baczność i pozbywał się złudzeń. Nie był wprawdzie głupi, więcej: wiedział, że jedyne, co w życiu nieuchronne, to zmiany. Urodził się w Chełmie gubernialnym, pełnym cerkwi, dorastał, widząc, jak większość prawosławnych świątyń oddaje się katolikom, służbę w policji zaczynał w mieście zamieszkanym głównie przez Żydów, a teraz wszystko wskazywało na to, że po dokończeniu Nowego Miasta zostanie go tutaj Wielka Polska katolicka.

– Jeżeli myślicie sobie, że osłoni was Virtuti Militari waszego ojca petlurowca, to grubo się mylicie – warknął Hejwowski.

Siedział w gabinecie użyczonym inspektorowi inspekcyjnemu, na tym samym krześle co wcześniej Maciejewski i bez skrzepowania przeglądał jego papiery.

– Chyba nie jesteście takim idiotą, żeby zapomnieć, po co mu was przydzieliłem! – dyszał. – Mielicie patrzeć na ręce i meldować!

– Przecież rozmawiał z panem komisarzem, a ja w tym czasie...

– A wyście w tym czasie pierdzieli sobie w krzesło w pokoju tajniaków! – przerwał mu kierownik. – Wybiegł i nie powiedział dokąd. Wy zaś powinniście już byli poznać go na tyle, żeby się domyślić. I dlaczego dopiero z tych kwitów dowiaduję się, co obaj wyczynialiście przez ostatnie dni, Horejuk?!

Kierownik podniósł się zza biurka. Ostatni kosmyk włosów na jego głowie opadł i przypominał teraz wiszący z ogolonej czaszki kozacki oseledec.

– Sądziłem, że pan inspektor codziennie składał...

– Ja za to sądzę, że inspektor wyjedzie, a co nabrudził, to skrupi się na was. – Hejwowski opadł na krzesło. – Na co czekacie? Znajdźcie go zaraz i asystujcie! Wymyślicie jakiś pretekst.

\*

Ring był schludny.

Maciejewski spodziewał się zobaczyć kredową grootę, powstałą z wydrążonych kiedyś zbyt blisko siebie korytarzy i wspartą na skalnym filarze, z panującym wewnątrz stęchłym zapachem piwnicy. Fakt, wietrzyć jej nie było sposobu, natomiast jaskinia leżała nieco wyżej od prowadzącego do niej chodnika, przez co prawie nie było w niej wilgoci. Sucha, ubita kreda nie lgnęła do butów jak podsychające błoto.

Na lewo od wejścia wbito hak, na którym wisiał sznur prowadzący do filaru, a dalej do kolejnej ściany. Za sznurem stało kilkanaście krzeseł przymocowanych gwoździami do grubych desek, tworząc w ten sposób dwa rzędy niewielkiej widowni. Aleksy Dubow, na kolanach, sapiący i co chwilę ocierający czoło, właśnie rozmontowywał tę chwiejną konstrukcję: dwie pary krzeseł stały już pod ścianą siedzisko do siedziska, pozostałe czekały na swoją kolej. Likwidował interes.

– Piękna kryjówka! – pochwalił Zyga. Fachowo poprowadzone kable koncentrowały się przy dwóch sporych lampach na suficie, osłoniętych matowym szkłem. – Z taką mógł pan zostać paserem, panie Dubow.

– Pan inspektor źle ze mnie żartuje. – Knajpiarz odwrócił się i najspokojniej w świecie odstawił odczepione właśnie krzesło.

– Ja nie przestępca.

– A to wszystko jest pańskim zdaniem legalne?

– To? – Dubow rozejrzał się po swoim podziemnym królestwie. – To było piękne – powiedział z całą powagą.

Zyga uśmiechnął się ironicznie. Przyklękając, dotknął podłoga i spojrzał na swoją dłoń. Zabrudzenie pasowało idealnie do śladów kredy na ciele denatów.

– Nie ma już prawdziwych zapasów, takich jak przed wojną światową – narzekał tymczasem stary atleta. Zmęczony widocznie robotą, usiadł na odczepionym przed chwilą krześle. Jęknęło pod jego ciężarem, lecz wytrzymało. – Pan ma szczęście, że chociaż jako *rebionok* zdążył zobaczyć, jak cały cyrk huczy, jak ludzie cieszą się, jakie mają widowisko. To było jak teatr, a teraz... – Machnął z rezygnacją zdrową ręką. – Ale będzie, jak *Bog Gospod* da. Szkoda, że nie widział pan, jak tu

brali się za bary! – dodał co najmniej ze współczuciem i wrócił do przerwanej roboty.

Był w tym tak naturalny, tak doskonale obojętny, że Maciejewskiemu aż przeszło przez głowę odruchowe pytanie, czy mu nie pomóc.

– I szkoda, że nie widziałem, jak zginął tu Feluk, a wcześniej Bosman z „Abatrosa” i paru innych. Zimowski też? – Komisarz podszedł bliżej. Oparł dłoń na filarze. Ten był wilgotny w dotyku, nie pozostawiał śladów.

Dubow spojrział na glinę bez złości, lecz przerwał swoje zajęcie. Przeżegnał się trzykrotnie.

– Już rozumiem, skąd tak naprawdę bierze się pański dochód – ciągnął tymczasem Maciejewski. – Że urzędza pan nielegalne walki wyłącznie w imię miłości do dawnych zapasów, tę historię proszę zachować dla sądu.

– Sąd też tu przychodził – zauważył atleta. W ustach kogoś innego zabrzmiałoby to pewnie jak pogrożka, lecz ten powiedział to tak, jakby rozmawiali o wczorajszym deszczu. – No ale teraz?... Nie ma Wacka, nie ma Wiktora Leszyny, sam jestem jak palec i będzie, jak Bóg da.

– Niech pan się nie zasłania Bogiem! – warknął Zyga. – Jest pan złym człowiekiem, prawda?

– Oj, prawda! – Dubow pokiwał głową, znowu siadając. Chociaż pod ziemią panował chłód, on był cały spocony.

– Leszyna nie lepszym. Przed wojną donosił ochranie.

– Jaki tam był z niego agent ochrony?! – Rosjanin zaśmiał się ponuro. – On tylko na gwałt potrzebował paszportu i ja panu opowiem, jak było...

Przed dziewięćset piątym Dubow miał innego dyżurnego przeciwnika: niższego o głowę i technicznie równie prymitywnego, za to piekielnie silnego Kazacha. Biała Maska niczym rosyjski niedźwiedź walczył z nim jako mongolskim prawnikiem dzikiego Czyngis-chana, lecz o ile ekscytowało to publiczność w imperium, to już w Przywiślańskim Kraju mało kogo. Zresztą Kazach rozpił się i złamał nogę tuż przed turniejem w Berlinie, a wtedy impresario Dubowa dostrzegł młodego i ambitnego Leszynę. Niestety nie było czasu, aby

czekać miesiąc lub dłużej na wyrobienie paszportu, a sam Leszyna był zbyt biedny na przyspieszenie sprawy łapówkami. Tym bardziej że w dziewięćset piątym po Przywiślańskim Kraju zaczęło krążyć widmo rewolucji (tak właśnie ujął to Dubow, jakby czytał Marksa) i administracja carska patrzyła na Polaków jeszcze bardziej podejrzliwie.

I tak nie byłoby spółki Dubowa z Leszyną, nie byłoby ich przyjaźni, gdyby nie niejaki Wirski, znajomy impresaria od lewych interesów. Orzekł od razu, że nie da się przeprowadzić sprawy w Warszawie, Siedlcach ani w Lublinie, bo to zbyt duże miasta, gubernialne. Natomiast wpadł mu w oko Chełm, uważany za niemal czysto rosyjski, dlatego zresztą później, tuż przed wojną światową, wywyższony do rangi stolicy nowej guberni. Tu można było załatwić więcej. Wirski wziął się do tego i paf!... traf!... wyrobił paszport w ciągu czterech dni. Jedno tylko Leszyna musiał zrobić: podpisać się jako niby to donosiciel ochrony w biurze jakiegoś zapijaczonego tajniaka, który potrzebował choćby na papierze wykazać się nabytkiem przed srogą zwierzchnością.

O tym, że taki papier może kiedyś wypłynąć, nikt wtedy nie myślał, a najmniej polski zawodnik, chcący pokazać się za granicą. Na kogo zresztą miałby donosić, skoro cały jego patriotyzm sprowadzał się do takiego samego czekania na wolną Polskę, jak Żydzi czekają Mesjasza. Żadnych znajomych wśród socjalistów ani innych wywrotowców! Niestety, musiał coś komuś przy wódce powiedzieć albo Wirski, albo ten prowincjonalny agent ochrony i rozniosło się. Jeszcze gorzej, że w osiemnastym roku młodzi peowiacy nie tylko wynieśli z katedry chełmskiej trumny z ciałami prawosławnych biskupów, ale znaleźli też co nieco mniej ważnych papierów w piwnicach carskich urzędów. Te przechwycili oficerowie.

Dlatego w dwudziestym czwartym po jakiejś walce w Warszawie atletę na zakrapianą kolację serdecznie zaprosiło dwóch zamożnych panów, wielkich amatorów walk wolnoamerykańskich. Leszyna wykazał się naiwnością i poszedł z nimi bez Dubowa. Adres prywatnego mieszkania nie wzbudził w nim podejrzeń. Tymczasem ledwie pękła pierwsza

flaszka, jeden z owych panów z cynicznym uśmiechem położył mu na talerzu swoją blaszkę agenta Wydziału IV, a z kredensu wyjął kopię deklaracji współpracy Leszyny ze starszą siostrą polskiej defensywy, tajną policją carską. Teraz od nas będzie pan dostawał zadania, rozumiano?

Leszyna nie chciał zrozumieć. Potem skarżył się przyjacielowi w listach, że chociaż nie jest wcale stary, nagle odsunięto go od walk i musiał podjąć pracę wykidajły w podrzędnym lokalu na Pradze. Jeden z agentów odwiedził go nawet w nowym miejscu pracy, niedwuznacznie sugerując, że w życiu byłego atlety może być jeszcze gorzej. Leszyna wyrzucił go na pysk. Tydzień później patrol policji przyłapał atletę na podwórzu za knajpą nad stygnącym ciałem mężczyzny, któremu dawny zapaśnik sprawdzał właśnie puls.

– Jak ja się dowiedział, to zaraz mundur ubrał, przypiął swoje Virtuti i Krzyż Walecznych, bo polski Krzyż Walecznych też mam za wojnę z tą bolszewicką swołoczą – powiedział Dubow z dumą – i ja pojechał do Warszawy, do sędziego śledczego. Ale co ja mógł zrobić? Tyle że pozwolili na odwiedziny i paczki posyłać. Bo to przeze mnie wszystko, panie inspektorze. Jakby nie moja walka, nie ten przekłety Berlin i Kazach, diabli by go wzięli, Wiktor nie musiałby nic podpisywać ochranie. I ja panu jeszcze jedno powiem, dzisiaj jestem pewny, że to Miazgarski maczał w tym palce.

– Wcześniej nie chciał pan źle mówić o umarłych, panie Dubow – zauważył Maciejewski.

– Nu, to ja byle komu nie mówię, panu tylko. I nie o chrześcijańskiej duszy, tylko o tej swołoczy! Chce pan wiedzieć, jak zginął?

– Dziękuję, z przyjemnością. – Zyga sięgnął do kieszeni. – Wcześniej wolałbym jednak dowiedzieć się o śmierci waszych nielegalnych zawodników. I o Zimowskim przede wszystkim.

– Pan nigdy chyba nikogo nie kochał! – burknął Dubow. – To był piękny młody człowiek, wiersze pisał... jak Puszkina! Wielkie serce.

– I pan go kochał, tak? Za wielkie serce czy wielkie ciało? – Komisarz nie wytrzymał i roześmiał się. – Zgaduję, że nie

chciał pan zrobić mu krzywdy, tylko pokazać swój jednoręczny chwyt. Przycisnął pan za mocno?

– Pan inspektor próbuje usprawiedliwić mnie? – Knajpiarz wstał.

– Ani trochę, tylko zrozumieć. Niech pan poda rękę – poprosił komisarz, wyjmując kajdanki.

Rosjanin wyciągnął je, lecz zanim Maciejewski zdążył zapiąć chociaż jedno ogniwo na nadgarstkach atlety, ten błyskawicznym ruchem chwycił go za prawą dłoń. Zyga, zaskoczony, chciał odpowiedzieć boksem z lewej, lecz ta góra mięsa uchyliła się jakimś cudem. Wnet poprawiła uchwyt na rękę komisarza, niemal łamiąc mu palce. Maciejewski wszedł w zwarcie, próbując podstawić przeciwnikowi nogę, jak uczono go dawno temu na zajęciach samoobrony. Mimo że zawsze wierzył w wyższość boksu.

I to był jego błąd.

\*

Szukam inspektora Maciejewskiego – wysapał Horejuk.

Nie mógł wiedzieć, że oparł się o szynkwias dokładnie tak samo jak Zyga niecałą godzinę wcześniej.

– Nie widziałam – mruknęła niechętnie Luba Kugelówna. Ta w niedopiętej bluzce pochylała się teraz nad jednym ze stolików. Wycierała rozlane piwo, śledzona zaślinionymi spojrzeniami klientów „Targowicy”.

Obie siostry były sympatycznymi istotami, którym uśmiech rzadko zniknął z twarzy, lecz akurat dla Horejuka czyniły wyjątek. Przez niego rok wcześniej zapłaciły grzywnę raptem dlatego, że pieczętka lekarska w ich czarnych książeczkach była od półtora dnia nieważna. Wiedział, drań, że zawsze przestrzegały wszystkich badań i tłumaczyły, że to doktor akurat zachorował, a nie one zlekceważyły termin. Nie mogły wiedzieć, że wywiadowca bynajmniej nie zrobił tego ze złośliwości, tylko Hejwowski akurat w kwestii zdrowia i higieny był wyjątkowo zasadniczy. Tajniak zaś wtedy wołał się nie narażać przełożonemu, a teraz już doprawdy nie pamiętał, czym wzbudził niechęć obu pań Kugielównien.

– A gdzie jest pan Dubow?

Dziewczyzna spojrzała na młodszą siostrę, zbyt jednak zajęta flirtowaniem z klientami.

Ci, wlepiając oczy w jej dekolt, nie zauważyli nawet, że jak zwykle, gdy Kugelówny zastępowały właściciela, kufle były niedolane.

– Bo ja wiem? W cerkwi? – Zaśmiała się perliście.

Horejuk, nie uchylając kapelusza, wybiegł.

I był już na rogu Lubelskiej, kiedy coś go tknęło. Popielniczka na szynkwasio i leżący w niej niedopałek! Miazgarski zgniatał ustniki papierosów na krzyż, zanim zaczynał palić, natomiast tajniak nie znał nikogo poza inspektorem, kto z podobną nienawiścią masakrowałby papierosowe ogarki.

\*

Myśli pan, że to dlatego, że ja boję się więzienia? – dyszał komisarzowi do ucha stary zapaśnik. – O nie, panie inspektor! To kara! Gdyby pan nie mieszał się, nie szukał czego i najść nie chciał, Wiktor żyłby. Ale panu nudziło się w naszym małym Chełmie i zaczął pan robić z muchy słonia.

Rozgryzł go, to nie ulegało wątpliwości. Maciejewski połową twarzy leżał w kredzie, która teraz okazała się twarda jak granit, a mimo to białe drobiny zaczynały zatykać mu nos i zamazywać obraz w oczach. Trzeba było zrobić, co do niego należało, napisać raport i wyjechać, a teraz ma za swoje! Co gorsza, rewolwer, po który nie zdążył sięgnąć, wbijał mu się w zębra i Zyga tylko czekał na ich chrupnięcie, ból i coraz płytszy oddech. Wtedy błyskawicznie straci siły.

Skulił się i zdołał przesunąć cielsko przygniatające mu plecy. Uderzył, jak potrafił najsilniej, w chore ramię atlety. Ten nie spodziewał się równie wrednego ciosu, odwykł od areny.

Zyga zaciągnął się powietrzem jak topielec, walnął drugi raz, trzeci, czwarty. Dubow jednak był już na to przygotowany i teraz to komisarz poczuł promieniujący ból, jakby pięść zderzyła się ze skałą. Dubow oplótł go ramieniem, łydki atlety unieruchomiły mu nogi. Maciejewski zdążył tylko uderzyć w brzuch łokciem i na chwilę wyswobodzić jedno ramię. Bił

rozpaczliwie, na ślepo, tymczasem zwałisty potwór cał po cał wgniatał go w podłozę.

Krew zaczęła dudnić w skroniach tak głośno, jakby ktoś biegł korytarzem. Komisarz czuł zapach kredy w nosie, a na obitej gębie zasychającą skorupę podobną do ałunu, którym zatykał rany przy gołeniu.

– Padnij! – usłyszał nagle, chociaż na granicy przytomności nie był pewien, czy nie bierze marzeń za rzeczywistość.

Strzał był jednak zbyt głośny, aby mógł go sobie tylko wyobrazić. Wybrzmiał echem po ścianach, na moment ogłuszył. Po chwili drugi wystrzał zaatakował bębenki w uszach, a sto dwadzieścia kilo bezwładnego wreszcie cielska stoczyło się z Zygi.

– Żyje pan, panie inspektorze? – zapytała rozmazana postać głosem Horejuka.

– Komisarzu – wysapał Maciejewski. – Wiecie, że zapomnieliście o strzale ostrzegawczym?

– Nie zapomniałem, tylko uznałem za stratę czasu. – Tajniak chwycił Zygę pod ramiona i posadził pod filarem.

– No to strzelcie teraz, żeby się Hejwowski nie przyczepił. – Komisarz, powoli łapiąc oddech, otarł oczy.

Łzawiły, wypłukując kredowy pył.

– Tam będzie dobrze widać. – Wskazał róg podziemnej sali. Teraz dopiero zauważył, że po białej kredzie ślamazarnie ciekły krople wody. – Dlaczego nie strzelacie?

– On żyje, panie komisarzu. – Horejuk, zaskoczony, jeszcze raz dotknął dłonią przegubu Dubowa, potem szyi. – Co za twardy sukinsyn! – po raz pierwszy powiedział coś nieregulaminowego.

Zanim pobiegł po pomoc, wystrzelił dwukrotnie w kredową ścianę.



## **Rozdział 15**

### **– Wysadzony z siodła**

*Wiktor, on chyba nie żyje – szepnęła. – Co ja mam teraz robić?*

*Jasne z Nowej Bawarii przelało się ponad kuflem i pianistą falą spłynęło po dłoni Leszyny. Nie dlatego, że nie miał wprawy. Wykidajło nieraz zastępował Dubowa za barem, gdy ten znikał z gościem lub kilkoma na zapleczu. Podobnie było ostatniej soboty.*

*Spojrzał przeciągle na swojego przyjaciela i chlebodawcę. Znali się tyle lat, że ruski bohater polskiej wojny z bolszewikami mógł wyczytać odpowiedź wypisaną na jego twarzy, tak jak z daleka odróżnia się samoloty swoje i nieprzyjaciela. Gadanie o tym zbędne.*

*– Dwa jasne do stolika pod okno, ci w głębi czekają na kaszanke. – Leszyna rzeczowo przekazał mu obowiązki, starannie wycierając palce w ścierkę wiszącą na haczyku obok beczki z piwem. – Chcą, żeby była po twojemu, bo ja podobno przesmażam skórke.*

*Pomocnik wsunął do kieszeni płaską latarkę i zniknął za drzwiami na zapleczu, a Dubow ze ścierką przewieszoną przez ramię poszedł do gości. Reszty dowiedział się po godzinie, a co nie zostało dopowiedziane, tego wkrótce sam się domyślił.*

*Leszyna wszedł do pakamery i wsunął się za regał z butelkami do oświetlonego piwnicznego korytarza. U szczytu schodów przystanął, bo zawsze drażniło go wilgotne, stęchłe powietrze, dobre dla szczura, jak powtarzał nieraz. Za każdym razem potrzebował chwili, żeby przywyknąć. Powoli zszedł na dół, w podziemia sięgające od knajpy przy Reformackiej aż pod stojący na kredzie kościół.*

Chłopak leżał oparty klatką piersiową o jasne, aż proszące się o krew podłoże, lecz tej nie było ani kropli. Nogi miał ugięte w kolanach i rozwarłe, jakby sprowadzony brzuchem do parteru, spodziewał się odbić i rzucić przeciwnika w bok, a jak da radę, to i na łopatki. Światła opasanych drutami lamp rzucały blask na bladą dupę i modne, szerokie spodnie opuszczone nisko, pętające kostki. Wystarczyło go jednak poruszyć, a bezwładne ciało przewróciło się na bok. Całkiem słuszny, lecz bezwładny kutas maturzysty klasnął o udo.

Wykidajło z obrzydzeniem zaświecił mu latarką w odbytu, ale nie był rozwarły i nie dostrzegł na pośladkach zasychających glutów spermy, których nawet chełmska policja by nie przegapiła. Wyjętą zawczasu chustką otarł tylko własne czoło. Pozostawało Zimowskiego ubrać, wynieść i porzucić gdzieś pod miastem jak ciała tych amatorskich atletów, którzy mieli... wypadek. A co innego? Podczas walk w piwnicy obowiązywała wyłącznie jedna dewiza: wygrać. Zabijać się nikt im nie kazał, sami byli sobie winni, jak to amatorzy.

Tylko tego wieczoru, niestety, Chełm nie zamierzał zasnąć równie szybko co zwykle. Cyrk Sportowy, kibice z okolicznych wioch wraz z ich furami, miejscowi, którzy wpadną jeszcze do knajp na ostatni kieliszeczek, żeby odtajać...

Z drugiej strony... Leszyna zastanowił się. Z drugiej strony, skoro w cyrku zaraz zaczyną się walki, na ulicach ludzi będzie mniej niż zwykle. Zaś pod „Targowicą” stoją furmanki, które można przecież wypożyczyć i odstawić w to samo miejsce, zanim zjawi się właściciel. Sprawdziwszy, czy gówniarz wygląda dość porządnie, wykidajło zawlókł go najpierw do składziku, przysunął z powrotem regał do ściany, zarzucił ciało maturzysty na plecy, a potem tylnym wyjściem wyniósł na podwórko i położył na stojącej najbliższej furmance. Wrócił jeszcze do klozetu, żeby nie jechać z uciskającym pęcherzem. Zbliżał się wprawdzie dopiero do pięćdziesiątki, ale lata biedy i odsiadka w więzieniu mokotowskim zrobiły swoje. Każde większe wzruszenie wychodziło z niego wątlym, bolesnym sikiem.

*Jednego nie przewidział: że chłop wróci do wozu, bo mu się szkapy żal zrobi... Co robić, dalej jak Bog даст, pomyślał, cytując swojego religijnego przyjaciela Dubowa.*

\*

*Chełm, piątek 20 maja 1938 roku*

Gdyby nie pan, toby się udało – wyszeptał ranny.

Maciejewski od ponad sześciu godzin na zmianę wałęsał się po parku okalającym ceglane pawilony szpitala wojskowego, denerwując wartowników, lub łąził korytarzem przed blokiem operacyjnym, dla odmiany ku irytacji pielęgniarzy. Ten szpital polecił lekarz pogotowia, jeżdżącego pamiętającym jeszcze cara Mikołaja konnym ambulansem. Najlepsza chirurgia, powiedział, widząc postrzelonego.

Zyga zdążył wchłonąć wszystkie tutejsze atrakcje: najpierw zachodzące słońce, które zawisając nad Nowym Miastem, oblało budynki zwiastującym chłodny wiatr krwistym blaskiem, potem cieniejący księżyc, który nadał im trupiej bieli. Wypaliwszy ostatniego papierosa z paczki, cisnął zagaszony o mur niedopałek na żwirową alejkę, na co wydreptał z krzaków jeź. Zbliżył nos i fuknął, widocznie niepalący. W świetle latarni Maciejewski spojrzał na zegarek: dochodziła pierwsza w nocy. Poprawił ciasną marynarkę w pepitkę, którą Horejuk niemal przemocą zdarł z Grossa i po żydowsku stargował na siedem złotych, żeby komisarz nie chodził w porozrywanym łachu, w dodatku całym w kredzie. Istotnie, tanio, mimo wszystko zapłacić musiał Zyga już z własnej kieszeni.

O wpół do drugiej ranny ocknął się w sali pooperacyjnej.

– Nie wypada zasmucać chorego, ale nie podzielam pańskiego optymizmu, panie Dubow. – Maciejewski, tak jak pokazał mu pielęgniarz w kaprałskim mundurze, zwilżył szpatułkę z ligniną w szklance wody i przyłożył dawnemu zapaśnikowi do ust. – Może gdyby nie ja, policja przemaglowałaby tego wieśniaka,

może by się nawet przyznał, ale przed sądem to by pękło. I z Lublina tak czy siak przysłaliby śledczego. Za dużo trupów zostawiliście po drodze.

– A jeszcze jeden będzie. – Postrzelony atleta z wysiłkiem uniósł ramię i klepnął się w obandażowany tors. – Tylko co mu napiszą na mogile, panie inspektor?

– Aleksy Dubow, mistrz walk w stylu francuskim – zapewnił Zyga. Że wypadaloby dodać: „oraz amator miłości w stylu greckim”, zatrzymał dla siebie.

– Pan wciąż pamięta, pan to polubił... – Stary sportowiec uśmiechnął się. – I powiem panu jeszcze, że gdybym poznał pana wcześniej... Miazgarski nie zasługiwał na takiego przyjaciela, na żadnego przyjaciela. Ale na swoją śmierć... ech, tak! Chce pan wiedzieć, jak było?

Komisarz nachylił się nad rannym. Z ust kwaśno cuchnęło mu zółcią, z bandażu unosił się słodkawy zapach krwi i ostra woń jodyny.

\*

*Światła latarek odbijały się w mięsistej kredowej bieli. W porzuconym wyrobisku zdążyły wyrosnąć suchotnicze drzewka, ale dwóch mężczyzn późnym niedzielnym wieczorem z zadowoleniem patrzyło na te wyższe, odgradzające nieużytek tak od Nowego Miasta i prowizorycznego osiedla robotniczego, jak i od nieutwardzonej drogi na przedłużeniu ulicy Kolejowej. Z pociągów kursujących między Chełmem a Dorohuskim także nie byłoby nic widać, w końcu nie zamierzali robić tu iluminacji, co najwyżej kilka reflektorów z prądnicą, które będzie się stawiać i zwijać po walce.*

*– Widownia może być na pięćdziesiąt osób, nawet na sto, chociaż odradzam taki tłum. – Inżynier Herda skierował światło latarki na plan, który właśnie rozłożył. – Stosunkowo blisko dworca, a i budowa jeszcze potrwa. Kręcący się tu ludzie nie będą nikogo dziwić. Zaś co do wzrostu zakładów...*

*Przerwał, bo chociaż wcześniej nikt się tu nie kręcił, usłyszeli szelest trawy pod ciężkimi butami. Z mdlą płaską baterijką*

w garści zza drzew wyłonił się Dubow.

– Nasz niezawodny wspólnik! – Miazgarski roześmiał się. – Skąd wiedziałeś?

– Bo ja nie jestem głupi... – atleta podszedł na szczyt zapuszczonego wyrobiska – ...a Chełm mały. Dlaczego mi to robisz?

– Aleksy, toż nic się nie zmieniło. Jesteśmy wciąż wspólnikami. I jeszcze mi podziękujesz. – Miazgarski rozłożył ręce, jakby chciał go uścisnąć. Światło jego latarki biegło po gałęziach, płosząc ptaki. Jakieś większe zwierzę zaszurało pośród pni.

Dubow trwał, gdzie stał, wcale nie gotów paść mu w ramiona. Dopiero po chwili przysunął się bliżej, a jego głos przybrał inne tony.

– Władysław, ja cię proszę jak kolegę z dobrych czasów. – Dawny mistrz opuścił i głowę, i latarkę. – Jak przeniesiecie walki z mojego lokalu tutaj, to przecież zbankrutuję.

– Panie Dubow, zmieni pan zdanie, jak wszystko dobrze policzy. – Herda podszedł ze swoim planem. – Przecież będzie miał pan swój procent i za pół roku, ho, ho!

– A ile z niego zostanie, po tym, com ci niby winien? – Stary zawodnik nie patrzył ani na inżyniera, ani na jego projekty. Postąpił krok ku Miazgarskiemu i ten się cofnął. – Władysław, ja potrzebuję pieniędzy teraz. Jak mam pomóc Leszynie, skoro ja będę stratny? Ja cię proszę! – Sięgnął do kieszeni, ale wbrew obawom dawnego kolegi Zygi wyjął nie rewolwer, tylko papierosy. – Zakurim, pogawarim?

Działacz związku atletycznego zaśmiał się, mając nadzieję, że zabrzmi to życzliwie. Ta chodząca góra mięśni bawiła go jednak z wielu innych, naiwnych powodów. Obcym przez swoją posturę mógł wydawać się silny, kto go poznał lepiej, widział, że był miękki jak każdy pederasta. Teraz chorą ręką niezgrabnie rozrywał banderolę na pudełku egipskich, a zdrową już sięgał po zapalniczkę.

Miazgarski zaciągnął się z satysfakcją. Inżynier pokręcił głową i wyjął własną srebrną papierośnicę. Błysnęła w świetle latarki.

*Nagle Miazgarskiemu pociemniało w oczach. Zakaszłał, po czym rzucił się między drzewa ku torom.*

*Herda spojrzal najpierw na równie zaskoczonego Dubowa, potem na oddalającego się chwiejnym krokiem współnika. Nic nie rozumiał.*

*Tymczasem ma skraju lasu trucht Miazgarskiego stał się powolnym człapaniem, mimo że wkładał weń pewnie więcej wysiłku niż Walasiewiczówna w swój medalowy sprint w Los Angeles. Przed oczami latały mu okrągłe plamy, słyszał przypominający parowóz szum krwi niemal rozsadzającej skronie i coraz głośniejsze gwizdy z płuc jak u astmatyka. Plamy przed oczami rosły i uformowały się w dwa potworne, coraz bliższe ślepia. Miazgarski potknął się na czymś twardym i kanciastym, ale wstał i zaczął biec ku światłu, byle bliżej ratunku. Nie był w stanie myśleć, całym wysiłkiem woli zmuszał się tylko do tego, aby nie położyć się, nie zasnąć. Spoglądając kątem oka w tył, miał wrażenie, że Rosjanin goni go, zbliża się w błyskawicznym tempie, już prawie dogania...*

*A potem poczuł taki cios, do jakiego nawet Dubow nie byłby zdolny.*

\*

Sędzia śledczy Szydłowski na widok intruza cofnął się znad akt, jakby dostał fangę prosto w nos. Właściwie nie powinien być zaskoczony, słyszał przecież awanturę przed drzwiami gabinetu, głosy sekretarki i obu swych aplikantów. Jednakże ten oficer inspekcyjny z oczami czerwonymi od wódki lub niewyspania, z nieogoloną i zmiętą mordą bandyty stał już w progu i nie miał nawet tyle klasy, żeby ubrać się porządnie. Zamienił swój wymięty czarny garnitur na marynarkę w pepitkę, stosowną może na majówkę, ale nie na załatwianie spraw urzędowych. No i była, u licha, dopiero dziewiąta rano!

– Uznałem za właściwe pożegnać się z panem sędzią. Jutro wracam do Lublina.

– Szczęśliwej drogi! – Szydłowski nie wstał zza biurka, za którym nie zdążył się jeszcze tego dnia należycie rozgościć. –

Jak pan widzi, analizuję rozpracowaną przez pana sprawę, więc...

– Więc z przyjemnością zamieni pan ze mną kilka słów. W cztery oczy – dodał Maciejewski, zatraskując aplikantom drzwi przed nosem. Bez zaproszenia przysunął sobie krzesło i rozsiadł się naprzeciw prawnika. – Nie wstyd wam?

– Nie jestem dla was wy, komisarzu! – Sędzia poczerwieniał.

– Nie mówię tylko o panu. – Zyga położył kapelusz na jego biurku. – Nie wstyd profesorowi Sieniawie w dzień uczyć dzieci patriotyzmu i historii ojczystej, a wieczorami, nie owijając w bawełnę, handlować ludźmi?

– Nie wiem, o czym pan mówi, ale Sieniawa od września nie będzie już kierownikiem szkoły w Krasnymstawie. Dostał etat gdzieś pod Tarnopolem.

– No to i tak spadł na cztery łapy. – Maciejewski pokiwał głową. Na blat rzucił otwartą paczkę papierosów, rozsypując tytoń. Zaczął grzebać w pudełku zapalek. – A słyszał pan sędzia, że inżynier Herda podobno też zrezygnował z budowy na chełmskiej Dyrekcji? Dopiero co złożył rezygnację, ale w powiatowym mieście wieści szybko się rozchodzą... Pojedzie powiększać fabrykę amunicji w Kraśniku. Nasza mocarstwowa Polska nie może się przecież doczekać dokończenia Centralnego Okręgu Przemysłowego! – Zyga zapalił i dmuchnął dymem w twarz starszego, dystyngowanego prawnika. – Tyle dobrego, że obaj panowie będą daleko i raczej się łatwo nie spikną.

– Co za słownictwo! – Szydłowski wskazał drzwi. – Nie życzę sobie...

– Knajackie, w sam raz dla pana. – Komisarz rozparł się wygodniej i założył nogę na nogę. – Krótco byłem w Chełmie i pewnie dlatego nie zdążyliśmy się zaprzyjaźnić, ale odwiedzić pana musiałem, bo pewnie nie będzie innej okazji. Wkrótce złoży pan przecież podanie o przeniesienie w stan nieczynny.

– Ja?!

Podobnej impertynencji sędzia śledczy nie słyszał od czasów, gdy był jeszcze aplikantem. Chełmski radca prawny Szubajew na kacu podpisywał z melancholią w oczach wszystko, co mu

się podało. Jeżeli jednak zdołał zgubić swoją śledczą małżonkę i wypić przed pracą, rzucał aktami w urzędników. *A wy, Szydłowski, dumajecie, szto wy dla mienia rab, potamu, szto wy polacziszka? Niet, wy samaja durnaja sobaka i ja potomu was nienawizu.* Istotnie, miał prawo nie lubić Polaków i psów, bo ojciec osierocił go, przecięty niemal na pół kosą w powstaniu sześćdziesiątego trzeciego roku, zaś jego sprytna, młodsza o dwadzieścia lat żona wylegiwała się na sofie z trójką wrednych pekińczyków. Tak przynajmniej powtarzał sobie Szydłowski, ponieważ chciał zrobić karierę.

– Pan ma przecież sześćdziesiątkę na karku, panie sędzio śledczy. – Maciejewski odkleił sobie z dolnej wargi nitkę tytoniu i zwinąwszy w kulkę, strzepnął na podłogę. – Pan już nie ma sił i z troską przedstawię pańskie kłopoty, gdy wrócę do Lublina. No i chyba woli pan taki obrót rzeczy, niż żebym posłał do Warszawy moje podejrzenia co do pańskiej osoby.

Szydłowski odkleił okulary od spoconego nosa i cisnął je na rozłożone akta.

– Pan się zapomina! Pan zachowuje się jak carski rewizor!

– Myli się pan, gorzej. – Maciejewski poszukał wzrokiem popielniczki, a ponieważ jej nie było, strzepnął papierosa pod nogi. – Carski rewizor z reguły brał łapówki.

\*

*Waciuś Zimowski klęczał przed nim w piwnicy już bez spodni i koszuli.*

– *Pokaż mi nareszcie ten sławny chwyt Dubowa. – Nałożył na oczy czarną maskę. – Biała Bestio...*

– *Niech Bóg wybaczy mnie grzesznemu! – Prawą ręką atleta przeżegnał się trzykrotnie, zaś lewa, choć odmawiała posłuszeństwa przy najbliższym wysiłku, teraz na wyścigi rozpiniała guziki rozporka.*

*Chwytając chłopaka w kleszcze, zmusił go do podparcia się lokciami. Czuł przy tym zapach kredowej skały, miękkiej przy pierwszym dotyku, a zaraz twardej do bólu, że łupać oskardem. Dubow nieraz, robiąc tutaj porządki, zagarniał dłonią kredowe błoto po pierwszych roztopach i zdawało mu*



się, że przelewa między palcami męskie nasienie. Czy żeby urządzić tu arenę, skłoniła go bardziej chciwość, czy skrywane pożądanie? Przyspieszał mu oddech, kiedy amatorzy wyszukani przez inżyniera Herdę brali się za bary. Krew łomotała w skroniach, a oni, mocując się na białej skale, krwawili z łokci i kolan, zamiast zapaść się w nią niczym w miękki materac. Myślał, że kreda nie przyjmowała ich, bo nie byli godni. Dlatego nie było mu ich żal.

Zresztą tamtych nie kochał. Tamci to tamci. Tamci to był interes. Wacusz to inna sprawa.

– To nie jest dobre – uprzedził go na wszelki wypadek.

– Biała Bestia łańcuchy rozrywa... – Wpółobracając głowę, chłopak cisnął mu w twarz urywkiem ze swojego wiersza. Dubow nie znalazł się na poezji, ale te strofy kochał, bo był świadkiem ich powstania. Zimowski uciekał na wagary do jego knajpy, aż wreszcie trzeba mu było dać osobny pokój, żeby nie znalazł go nikt wścibski.

Wiadomo, panie inspektor, ja bym nie poszedł na to z byle kim!

Zimowski chciał być jednak poetą i zapaśnikiem. Infibulacja! Dubow pierwszy raz usłyszał o czymś podobnym od niego właśnie, uczonego chłopaka. Dawni Grecy zszywali podobno napletki sportowcom i wielkim poetom, żeby mogli zaspokajać się ręką, lecz nie współżyli z kobietami, bo te odwodziły ich od zamierzeń w metrum i wersyfikacji, w agonach i olimpiadach. Wacusz marzył o czymś podobnym. Dubow nie był chirurgiem, natomiast nieraz własną ręką, tą zdrową, doprowadzał chłopaka do szczytu, żeby się nie męczył z natchnieniem. Lizął później dłoń kilka minut, nim umył ją, bo musiał przecież nalewać piwo chłopom z targowiska i klientom z miasta.

Mnie zaraz uśpią do operacji i może się nie obudzę! Co mnie obchodzi, czy jestem dla pana obrzydliwy?!

Złapał Zimowskiego podchwytem jak na treningu. Jedyna różnica, że zamiast tarcia trykotu o trykot obaj czuli jego męskość napierającą na spiżową bramę.

– Szyja mężczyzny to trójkąt i pasuje do zgięcia ramienia – mówił Dubow. – Nie trzeba mieć do tego czterech rąk jak ci w mitologii, nawet dwóch, wystarczy jedna, byle pewnie chwycić.

Chrupnięcia kości nie usłyszał, bo właśnie grzesznie i przedwcześnie przelał swe nasienie na kredę, krew szumiała mu w skroniach.

Cichy dźwięk wybrzmiał z opóźnieniem i wielokrotnie, jakby z megafonów rozstawionych wzdłuż Ordynackiej, jak to mieli kiedyś w planach bracia Staniewscy, ale zrezygnowali.

Atleta z niedowierzaniem popieścił kark chłopaka, czując krótkie włosy przyjemnie drażniące skórę dłoni. Wacek nie wyprężył się jak kot – stał się naraz ciężki jak mało który z dawnych przeciwników. Chore lewe ramię odmówiło Dubowowi posłuszeństwa. Bezwładne ciało młodzieńca opadło nawet bez jęku, chociaż jeszcze przed sekundą Zimowski twardo podpierał się łokciami i kolanami na wysłizganej kredowej skale. Na jego plecy spadła ostatnia kropla nasienia, potem pierwsza łza.

– Wacusińku... – jęknął cicho siłacz, starannie wycierając obie rękawem. – A nie mówiłem, że to grzech?

\*

Nazywała się „Niespodzianka”, lecz Maciejewski nie znalazł w zupie rybnej włosa ani ości. Zaskoczenia spodziewał się zatem przy płaceniu rachunku. Był jednak zbyt zmordowany, aby zmieniać restaurację na gorszą. Horejuk też wyglądał na wymiętego.

– Hejwowski nie miał wyjścia i zawnioskował dla was o Krzyż Zasługi za Dzielność – powiedział mu Zyga jeszcze w dorożce. – To dodatkowe dwieście złotych.

– Miesięcznie? – Wiadomość rzeczywiście podziałała na tajniaka jak mocna kawa.

– Nie wygłupiajcie się, Horejuk! Aż tacy dzielni nie jesteście. Rocznie.

Wracając ze szpitala wojskowego, skąd tajniak późnym popołudniem zabrał komisarza, minęli najpierw niebywałe dla

Chelma kwartały niedawno wyznaczonych ulic. Krzyżowały się pod kątem prostym jak w Nowym Jorku, nie na lubelskiej prowincji. Potem zaczęły się żydowskie ulice, po deszczu pachnące stęchle przepelnionymi śmietnikami i tanią kuchnią. Herbaciarnie, piwiarnie, jadłodajnie tak samo chętnie przyjęłyby zmęczonych tajniaków, jak ich przeszłych oraz przyszłych klientów. Musieli jednak skończyć papierkową robotę na komendzie, a stamtąd – jeśli nie do „Targowicy” – najbliższej było właśnie do „Niespodzianki”.

– Przyznam się wam, Horejku, że chociaż chciał mnie zabić, nie czuję do niego złości.

– Rozumiem pana inspektora. To nie był zły człowiek, a raczej bezradny kaleka.

Maciejewskiego korciło, żeby pogrozić mu pięścią za inspektora. Już były momenty, kiedy chełmski tajniak zaczął mówić do niego po ludzku, niestety szybko mu przechodziło. Widocznie teraz usztywniła go okazała kamienica Kupferów i ten lokal, gdzie kelnerzy paradowali w czystych białych kołnierzykach.

– Bezradny kaleka! – Zyga zaśmiał się, częstując tajniaka papierosem. – Naprawdę uważacie, że stać mnie na tyle współczucia i miłości bliźniego? – Zaczął szukać w pudełku niespalonej zapalki, a w głowie dobrej puenty.

Nie znalazł ani jednej, ani drugiej. Jak przystało na nieustępliwego glinę, powinien wysypać zawartość pudełka na blat i wygrzebać coś zarówno spomiędzy zapalek, jak i z mózgownicy. Jednakże z otwartą gębą zastygł na widok zjawiska, którego knajpa młodszego Kupfera nigdy nie widziała i nie miała zobaczyć w przyszłości, przynajmniej Zyga na to liczył.

Do lokalu pewnym krokiem weszła nie najmłodsza, bo ponadtrzydziestoletnia kobieta, drobna, lecz kształtna, otulona żakietem z modnym, szeroko wyciętym kołnierzem i z niewinną burzą jasnych loczków wystających spod kapelusza. Ile ich jeszcze szalało na szczycie głowy, a tym bardziej, co szalało w jej głowie, Zyga się domyślał, zaś zaskoczony Horejku nawet nie próbował dociekać.

Miastowa dama strzeliła w łeb popielatą kopertową torebką podchmielonego nieszczęśnika, który ośmielił się na nią zagapić, i śmiało przeszła między stolikami, rozgarniając dym papierosowy.

– Dobry wieczór, kochanie! – Pocałowała Maciejewskiego w usta i przysiadła się. – Więc tu jesteś, pijaku cholerny! Jak pierwsza naiwna poszłam najpierw do komendy, potem do hotelu... Wybacz idiotce! Co to? – Odebrała mu kieliszek i wypila jednym haustem. – Zwykła monopolka? Tu przecież mają w karcie wódkę od Baczewskiego. Stać cię.

– Pozwól, Różyczko... – Zyga niepewnie podniósł się z krzesła. – To pan wywiadowca Horejuk, mój tutejszy współpracownik.

– Marczyńska, Bogu dzięki, nie Maciejewska! – Róża z jadowitym, przeznaczonym dla Zygi uśmiechem pozwoliła ucałować swą dłoń onieśmielonemu Rusinowi. – Gdybyś tu tyle, Zygu, zabawił z jakąś lafiryndą młodszą ode mnie dziesięć lat... nie mniej, pamiętaj!... jeszcze bym to zrozumiała, ale pan Horejuk nie wygląda efektownie. Z całym szacunkiem! – Znów uśmiechnęła się do tajniaka, tym razem tak słodko, jak jego cierpliwa i pracowita Olena nigdy nie potrafiła. – Panowie tu robią jakieś śledztwo czy tylko piją jak na załączonym obrazku?

– Pozwoli szanowna pani zauważyć, mieliśmy trudną sprawę zabójstw, a pan inspektor...

– Inspektor? – Róża zaśmiała się perliście. – Zyga, dostałeś awans na inspektora? Wódki!!! – zażądała na całą salę.

Zanim Maciejewski zdążył przypomnieć sobie, że to on jest tu mężczyzną, na stole zjawiała się butelka i czyste kieliszki.

– Jakąś porządną zakąskę tu macie czy tylko tę galarete, którą ci panowie rozbabrali zamiast zjeść? Nieważne! – Odwróciła wzrok od resztek na talerzach i laskawie poklepała rękaw niemal lśniącą białej kurtki uczynnego kelnera. – Pan da, co tam macie najlepszego. Ten pan płaci. – Niedbałym ruchem zamszowej rękawiczki wskazała Zyge.

– Pan komisarz... tutaj... w zaledwie kilka dni rozwiązał...

– Więc jednak wciąż komisarz? – Róża złożyła usta w ciup. – A taką już miałam nadzieję!...

– Rózyczko, nie rób skandalu – poprosił cicho Maciejewski.

– Nie skamlaj, napij się wódki! – Lubelska dama stuknęła swoim kieliszkiem w dwa oczekujące na podniesienie i sama dała dobry przykład. Erotycznie ubrudziwszy szkło szminką, odstawiała na blat. – Niech się pan nie gniewa, panie Hojeruk! – Posłała mu serdeczny uśmiech. – Miałam zamiar pewnie jeszcze ze trzy razy przekreślić pańskie nazwisko, ale dobrze panu z oczu patrzy. Nawet interesująco po bliższym przyjrzeniu. Ma pan jakoś na imię? Ja jestem Róża.

– Szczepan, bardzo mi przyjemnie. – Znów ucałował jej dłoń, chociaż miał minę jak jego patron, pierwszy męczennik. Maciejewski nie lepszą.

– Jest pan zapewne przyzwoitym człowiekiem, ma dobre intencje i wiele ambicji służbowych – kontynuowała niezrażona Marczyńska. – Szczerze pochwalam! Ale proszę pamiętać, że pański nowy mentor od lat, jak mówi, nie ma przyjaciół, jedynie podejrzanych, a wakacje ostatni raz widział, gdy był jeszcze w szkole. W przyszłym miesiącu wykorzystasz zaległy urlop, Zyga – zawiadomiła twardo. – Jedziemy na lotnisko do Szkodynia nad Bug.

– Dlaczego akurat do Szkodynia? – zaniepokoił się Zyga, bo ta nazwa akurat nie kojarzyła mu się z wypoczynkiem.

– Bo po pierwsze, to niedaleko, nie wykosztujesz się na pociąg. – Róża zalotnie przechyliła się na krześle i wzięła komisarza pod ramię. – A po drugie, bo tak postanowiłam. A pan co sądzi o Szkodyniu, panie Horejuk?

Nie wiedział, co odpowiedzieć, zresztą nie zdążył, bo pojawił się kelner. Postawił przed Różą Marczyńską wpadający w gustowny róż tatar z kontrastowym żółtkiem, białą cebulką i zieloniutkim ogórkiem kiszonym. Pachniało pieprzem i oliwą. I kwiatowymi damskimi perfumami, bo po wypiciu kieliszka wódki fertyczna narzeczona komisarza zaczęła się niebezpiecznie rozgrzewać. Zaraz sama naląła wszystkim po kolejnym.

– Pozwolą państwo, że się pożegnam. – Tajniak wstał, zapinając marynarkę.

– Ależ proszę zostać! – Efektowna blondynka promieniła

buzię kinowym wręcz uśmiechem. – Już dawno nie bawiłam się w innym niż tajniackim towarzystwie, ale pan jest przynajmniej z innego miasta, a to zawsze atrakcja!

Zyga nie zdążył wcześniej zapytać, kiedy przyjechała ani jak go odnalazła. Skoro jednak tak się stało, musiała być albo bardziej złośliwa, niż przypuszczał, albo mocniej tęsknić.

– Jesteście wolni, Horejuk. – Machnął ręką, jakby opędzał się od muchy.

– Jesteś bardzo nieuprzejmy dla pana wywiadowcy – oceniła Róża, podając tajniakowi dłoń do pocałowania. – Nie psuj wieczoru. O, macie tu jazz-band! – Ucieszyła się, widząc żydowski kwartet, który właśnie wszedł na podest i zaczął stroić instrumenty. – Nie śmiem zatrzymywać, ale proszę, niech pan, panie Szczepanie, wychodząc, każe im zagrać coś ładnego specjalnie dla mnie. Niech sami wybiorą. – Poprosiła z takim uśmiechem, że wywiadowca Horejuk gotów byłby zostać, gdyby nie ponura mina komisarza. Jednakże nowa znajoma tajniaka przestała już zwracać na niego uwagę, tylko zatrzepała rzesami w stronę Maciejewskiego. – Lubię niespodzianki, a ty Zyga?

## Rozdział 16

### – Lato leśnych ludzi

*Szkodyń, lato 1938 roku*

Wujku, wujku Zygu, a ten gliździor będzie git?

Renatka, młodsza z siostrzenic doktora Gilanowicza podbiegła z mięsistą, różową rosówką, wszelkimi sposobami usiłującą się wysliznąć i oplatającą rączkę dziewczynki niczym wąż boa. Podniosła robaka jak mogła najwyżej, oparta na dwa razy większej od niej bambusowej wędce.

Maciejewski uśmiechnął się. Nienawidził tej małej. Nie dość, że łąziła za nim jak pies, to jeszcze nie wiedzieć skąd podsłuchiwała, jak w rzadkich na letniku intymnych chwilach mówiła do niego Róża i jak on przy wieczornej wódce z doktorem przytaczał jidysz, opowiadając o dawnej służbie w dzielnicy żydowskiej. Swoją drogą, wspólne wakacje ze starym lekarzem, niby porządnym facetem, lecz wyraźnie zauroczonym Różą, to była kolejna niespodzianka. Dziewczynki jeszcze gorsza.

– Wujku, git gliździor czy do kitu?! – Renatka oczekiwała odpowiedzi.

Nie miał pojęcia, jak ją splawić. Śliczna blondyneczka z warkoczykami miała naturę zadziornego chłopaczyska i ile razy kazał jej robić coś całkiem niedziewczyńskiego, traktowała to jako wyzwanie. Chociażby kopanie robaków. Jakim sposobem złapała dżdżownicę jak złoto?

– Bardzo dobry, to znaczy *ganc git* – pochwalili niechętnie, a mała zgaga uśmiechnęła się rozpromieniona, szczególnie że jej dwa lata starsza siostra miętoliła w rączce ledwie ruchawą, żalonną glizdę na pół palca. – Daj, nadzieję ci gliździora na haczyk.

– Sama nadzieję! – obruszyła się, robiąc wojskowy w tył

zwrot. – Wujek pomoże Aneczce, bo to dziewczynka. – Wskazała wlokącą się z wędką siostrę.

Teraz zobaczył, że całą sukienkę i majtki miała uwalane w błocie, widocznie musiała usiąść i mocno się zaprzeć, by wyciągnąć robaka z ziemi.

– A ty nie jesteś dziewczynką, Renatko? – burknął Zyga, bo uznał, że stanowczo trzeba w tej sytuacji powiedzieć coś wychowawczego.

– Nie, ja jestem panienką i jak wujek nareszcie rzuci ciocię Różę, to się z wujkiem ożenię – obiecała stanowczo.

– A skoro Renatka się z wujkiem ożeni, to ja zostanę wujka kochanką – zadeklarowało starsze dziewczynisko, nie chcąc być gorsze od bardziej rezydentnej siostry.

Obie siostrzenice doktora Gilanowicza były równie podłe i zdeprawowane, uznał Maciejewski. I nie widziały różnicy między ożenkiem a wyjściem za mąż. Do tego prowadziło lewicowe wychowywanie dzieci bez klęczenia na grochu i innych kar cielesnych.

– Przynęta na haczyku? No to zarzucać wędki, dziewczynki, i ani słowa, bo ryby się nam spłoszą – rozkazał, kiedy obie małe kokietki doczłapały nad brzeg Bugu. Po prawej mieli podchodzący pod samą rzekę las, po lewej ostatnie zabudowania wsi. – Renatko, nie siadaj na kamieniu, bo wilka złapiesz. Znaczą, przeziębisz się. Kucnij sobie ładnie! Aneczko, uważaj na sukienkę, bo pobłocisz.

– Wujek nie gada jak baba, bo to wstyd – ofuknęła go młodsza z dziewczynek, więc zamilkł, zawstydzony.

Trwała cisza, a on czuł się coraz bardziej nieswojo. Na złość miał ochotę rzucić to jednej, to drugiej jakąś wychowawczą uwagę, tymczasem siostry przywarowały z wędkami po jego obu stronach i zachowywały się doprawdy wzorowo: wpatrzone w spławiki jak sroka w gnat nie odzywały się słowem. Nie tak wyobrażał sobie małe dziewczynki. Za to też je nienawidził. Wolno mieszając wędziskiem wodę w rzece, zaczął żałować, że wybrał wędkowanie, a nie poziomki ze śmietaną, które pewnie teraz Róża i nieskory do ruchu doktor Gilanowicz zajadali na leżakach. Chętnie by zapalił, lecz wiedział dobrze, że małe zgagi



zaraz zaczną spierać się, jakiego gatunku papierosy same będą kopcić, kiedy dorosną.

Ciszę przerwał im niespodziewany chłopot. Niestety, to nie było branie, jedynie wpadła do wody biegnąca wzdłuż rzeki Nastka, cudnie rozwinięta szesnastoletnia posługaczka ich gospodarza. Jeżeli cokolwiek podobało się Maciejewskiemu na tym irytującym letnisku, to jej biodra i biust. Ten zwłaszcza przykuł teraz jego uwagę, gdy zdyszana, czerwona na twarzy dziewczyna pędziła z rozchełstaną bluzką.

– Niech pan *pumoże!* Pan przecie jest oficer! – wykrzyknęła, ślizgając się w nadrzecznym błocie. Dwie piersi jak dzwony zakolysały się pod jej bluzką. – Cerkiew nam chcą zwalić!

– Jak to zwalić wam cerkiew? – Zyga położył wędkę. Wprawdzie wiedział o planowanej likwidacji zbędnych świątyń prawosławnych, jednak ta w Szkodyniu nie mogła do nich należeć. Rusińskiej ludności było tu trzy czwarte wsi, a do sąsiednich cerkwi mieli ponad dwadzieścia kilometrów.

– Pan *pumoże!* – Znów się pośliznąwszy, wpadła mu wprost w ramiona. Teraz te dwa cerkiewne dzwony spod jej bluzki wyraźnie czuł na swoim brzuchu, nosem wdychał zapach spętanych w dwa warkocze jasnych włosów. Coś było w tym ze świeżego siana i coś z piżma.

Odsunął ją od siebie. Gówniary patrzyły, gotowe donieść.

– Pan jest ludzki letnik, pan mnie nawet w zadek nie klepnoł – pochwaliła go Nastka, nie wiedząc sama, ile razy obmacywał ją w wyobraźni. – Pan musi coś zrobić, po chrześcijańsku!

– Zajmij się dziewczynkami – polecił, oddając jej wędkę. – Idziemy!

Małe zgagi spojrzały na wujka Zyge jak na rycerza ze swoich książeczek. A Nastka, trzecia durna, z wdzięczności objęła go tak, że musiała wyczuć lęgnące się w spodniach mało chrześcijańskie pożądanie.

Gdy szli w stronę wsi i łowił spojrzenia trzech kobietek, czuł się największym kłamcą świata. Większym niż Miazgarski, lecz tamtemu nikt podobnie nie wszedł na ambicję. Zyge blond harpie urządziły gorzej. Szczególnie Renatka, kandydująca mu na małżonkę.

– Nie bój się, Nastka – z głębi serca pocieszyła dziewczynę prowadzącą obie małeletnie za ręce. – Wujek Zyga wszystko potrafi. Jak Staś Tarkowski – dodała. Po cholere streszczał jej w charakterze wieczornej bajki *W pustyni i w puszczy*?!

Na plac, zbierający cztery ulice i szkodyńskie gospodarstwa w jako taką całość, mimo krótkich nóżek dziewczynek doszli po niespełna kwadransie. Zwykle leniwy i senny, teraz zmienił się nie do poznania. Przed drewnianą cerkwią, której kopuły przypominały przyjemnie piersi Nastki, kłębili się chłopcy z ochotniczej straży pożarnej i obsada tutejszego posterunku policji. Ci pierwsi prężyli mięśnie przy linach zaczepionych o dach prawosławnej świątyni, drudzy komenderowali. A jednych i drugich błogosławił sprzed malutkiego neogotyckiego kościółka ksiądz proboszcz z krucyfiksem w dłoni.

– Co tu robicie, posterunkowy, do jasnej cholery? – Zyga złapał za ramię policjanta, który pierwszy mu się nawinął.

– A pan niby kto?! – Tamten odepchnął go, przekręcając zawieszony na plecach karabin z bagnetem.

Maciejewski, szczęśliwie mając ze sobą portfel, na wypadek gdyby dziewczynkom zachciało się lemoniady, wyjął swój metalowy znaczek Służby Śledczej.

– To ja się pytam, kto wy i co robicie?! I baczność, jak z oficerem rozmawiacie, posterunkowy! – wrzasnął i dla posłuchu, i by samemu zapomnieć, jak sam w pumpach i podkoszulku wygląda wobec bydlaka, było nie było, ubranego w mundur.

Policjant zawahał się, lecz Zyga wiedział, że potrzebuje mocniejszego argumentu. Rewolweru? Na pewno nie tych cholernych dziewczynek z wędkami, które stały o krok za nim. Uświadomił sobie, że wystarczy drgnienie emocji, a ci strażacy o wsiowych gębach i prowincjonalni policjanci mogą ruszyć na niego, a on będzie musiał przede wszystkim ochronić dzieci! Cholerny doktor Gilanowicz zrobił z niego wychowawcę!

– Komisarz Maciejewski, oficer inspekcyjny komendy wojewódzkiej w Lublinie. Raportu słucham, do kurwy nędzy, co tu się dzieje!

Zrobił wrażenie, może na kilka minut, i to najwyżej. Policjanci zaniepokoiili się o karierę, lecz miejscowi strażacy, którym z pysków zionęło wódką, mieli ochotę na rozrywkę.

– Czyj rozkaz, na jakiej podstawie, kto dowodzi? – rzucał pytania Maciejewski, rozglądając się za miejscowym popem. Na razie wygłupiał się sam, poza błaganiami Nastki w gruncie rzeczy nie miał żadnej podstawy do interwencji. – I pas sobie dopnijcie, posterunkowy, bo zwisa wam jak smętny kondom! – warknął, by nie wyjść na miękniętego.

Zyskał chwilę, akurat by doczekać procesji, która wynurzyła się z wsiowej uliczki z brzuchatym popem na czele. Niósł on ikonę Bogurodzicy, zastrachani ludzie śpiewali niemrawo. Natomiast znacznie większe wrażenie zrobiła wojskowa ciężarówka, która wjechała na plac od zachodniej strony.

Z kabiny wysiadł oficer z pistoletem w garści, z paki wysypali się piechurzy.

– Panie poruczniku, jestem komisarzem policji na urlopie, ale widząc, co się dzieje... – Maciejewski podszedł śmiało, lecz trzy mierzące weń lufy karabinów z założonymi bagnetami sprawiły, że zatrzymał się o trzy kroki od oficera.

– W dupie mam, kim pan jesteś, i lepiej pan nie przeszkadzaj. – Gówniarz, który podczas wielkiej wojny szczał w pieluchy, a za polsko-bolszewickiej uczył się składać litery, teraz sięgnął do kabury po pistolet. – Ciągnąć, nie mamy całego dnia!

Policjanci postanowili się wykazać i sami odepchnęli Maciejewskiego na bok, w podcienia roztropnie zamkniętej na głucho żydowskiej karczmy. Naprzeciwko ksiądz proboszcz błogosławił katolickim znakiem krzyża żołnierzy, gliny i strażaków. Obok dwie małe siostrzenice doktora Gilanowicza patrzyły zadziwione na świat inny niż w książeczkach z obrazkami. Na szczęście Nastka trzymała je w objęciach.

– I raz, i dwa! – komenderował dowodzący strażakami przysadzisty grubas z podkreślonymi wąsiskami. Cerkiewna wieża ugięła się i zaskrzypiała.

– Pańskie nazwisko i przydział, panie poruczniku! – zażądał Zyga. – Złożę raport.

Nie oczekiwał przeprosin albo wyjaśnień, po prostu zrobił, co

mógł. Nie spodziewał się jednak, że nagle dostanie w pysk, a nadstawione bagnety nie pozwolą mu się odwzajemnić. A tym bardziej nie spodziewał się, że pięcioletnia Renatka wybiegnie naraz przed strażaków.

Gówniara stanęła przed cerkiewką i na oczach wszystkich uklękła w pyle ulicy. Przeżegnała się i cokolwiek tam po dziecinnemu szeptała, strażacy na chwilę puścili zaczepione o dach liny. Nie dziwił im się, sam był pod wrażeniem.

Natomiast szybciej niż on zareagował jeden z policjantów. Maciejewski poznał bydlę, to był ten sam, z którym nie tak dawno gwarzyli sobie na miejscowym posterunku, ale teraz nie poznawał już oficera inspekcyjnego. Podbiegłszy do dziewczynki, mundurowy wymierzył jej trzy szybkie klapsy i odepchnął. Zyga chciał rzucić się w jego stronę, lecz znów zatrzymały go bagnety.

Renatka i Aneczka patrzyły na przyszywanego wujka z wyrzutem, jeszcze zanim wieża cerkwi runęła. Zrobił i tak więcej, niż miał ochotę, ale nie był tak silny, jak sądziły. Nie wątpił, że młodsza z dziewczynek już nie będzie chciała zostać jego żoną, a starsza kochanką. On zresztą też nie miał ochoty dłużej widzieć ani ich, ani letniska w Szkodyniu. Zawsze zresztą powtarzał Róży, że jeżdżenie na wakacje to strata pieniędzy i nerwów.

I jak zwykle miał rację.

Nawet Nastka przez ostatni tydzień urlopu już tak ładnie nie machała przed nim cymbalami.

## Od autora

*Bardzo cię przepraszam za ów występ w Chełmie. Wierz mi, wcale nie jestem taki „pijus”, na jakiego patrzę. Sam nie wiem, co mi się wówczas stało i dlaczego tak głupio wyszło. [...] Na razie ściskam cię serdecznie. I nie gniewaj się, że ci tak obrzygałem płot –* pisał prozaicznie poeta Józef Czechowicz do redaktora Kazimierza Andrzeja Jaworskiego 3 października 1935 roku. Rzecz dotyczyła wieczoru autorskiego i zgodnie z tym, co po trzydziestu latach wyznał Jaworski w monografii *W kręgu „Kameny”*, w sam raz nadawałaby się do Pudelka.pl: *Józio zniknął nagle jak kamfora i znaleźliśmy go po dłuższym poszukiwaniu w jednej z knajp chełmskich (której właścicielem był ex-nauczyciel, kolega Czechowicza) w stanie bardziej niż podochoconym, flirtującego z fordanserką... Zachowywał się przy tym jak dziecko ucieszone ze splatanego figla. Z trudem wyciągnęliśmy go stamtąd i odprowadzili do mojego mieszkania, gdzie skutki libacji nie kazały na siebie długo czekać. Skandal tym większy, że przecież poetę katastrofistę widywano raczej nadskakującego młodzieńcom, czego nie omieszkał wrednie wytknąć mu w *Cyganerii* (1963) inny chełmianin, Waław Mrozowski. Ten protegowany przez Czechowicza debiutant z tzw. *podchorążówki Jaworskiego*, jako autor demaskatorskich wspomnień – miłych autorowi powieści noir – był naprawdę wyśmienity, lecz jako poeta do końca życia co najwyżej dobrze się zapowiadający.*

Będąc studentem zainteresowanym przedwojennym życiem literackim, znałem Chełm jedynie z listów Czechowicza i książek, aż pewnej niedzieli przyjechałem do tego miasta po raz pierwszy. Przyjechałem z Marcinem Prusem, autorem opracowania graficznego do mojej wydanej kilka lat wcześniej pokracznej mikropowieści postmodernistycznej, lecz nie na żaden wieczór autorski, tylko jako młody lubelski nauczyciel do

Macieja Niebrzydowskiego, niedawnego kompana studenckich dyskusji zakrapianych, wówczas już nauczyciela chełmskiego. Było jednak prawie jak sześćdziesiąt lat wcześniej. Bal zaczął się w barze „Na Krzywej” blisko rynku, jak podpowiada mi Maciek, lecz stoły bilardowe, które śnią mi się do dziś, pasowałyby raczej do „Przystani” na Mickiewicza. Dość, że bardzo plastycznie zapamiętałem chmury tytoniowego dymu unoszące się w lokalu jeszcze po sobocie, co po latach wykorzystałem, opisując lubelską „Wykwintną” w *Morderstwie pod cenzurą*. Nie pominęliśmy katedry ani cmentarza, co to, to nie! Chciałem też koniecznie do cerkwi, lecz mi to wyperswadowano z całą bezbożnością. Zakończyliśmy, o ile dobrze pamiętam, w „Misiu” niedaleko dawnej Katowskiej, w tym samym pubie, w którym parę lat później na zlecenie „Chrypy” gangsterzy pomyłkowo zastrzelili dwóch maturzystów. Jakże zatem mógłbym puścić Chełm w niepamięć, kiedy już zostałem zawodowym autorem powieści kryminalnych! Trzy rzeczy chciałbym zaznaczyć wszakże z mocą: szczerę się bardziej wytrzymałym organizmem niż pierwowzór mojej powieściowej postaci Trąbicza (a jakże!), Maciek dostawał pensję nauczycielską właściwą dziewiętej, nie trzeciej dekadzie XX wieku, przez co nie było go stać na domek z ogródkiem oraz płotem (niestety!), i z wycieczki do Chełma nie przypominam sobie żadnej fordanserki (a szkoda!). Niemniej czuję się zobowiązany przeprosić swych dawnych uczniów, którzy następnego dnia zmuszeni byli słuchać moich niemrawych lekcji. Jeśli w życia wędrówce wykoleili się i nie wiedzą dlaczego, podpowiadam psychoanalitycznie, że prawdopodobnie przez ów szewski poniedziałek polonisty.

Później Chełm roztropnie omijałem, jeżdżąc nad Bug, lecz za każdym razem wielkie wrażenie robiła na mnie najpierw tajemnicza wieża w Stołpiu, a zaraz Górka Katedralna wyrastająca z oddali jak przystało na średniowieczną fortecę. Chociaż w II RP w książkach telefonicznych Chełm nazywano Chełmem Lubelskim, to ów magiczny widok z drogi E373 uzmysławia, dlaczego w XIII wieku to raczej Lublin był chełmskim niż na odwrót. Zresztą także w dwudziestoleciu

międzywojennym miasto nad Uherką, zepchnięte do rangi powiatowego, zadziwiało mnie liczbą czasopism w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Pominę jidyszowe, bo gdzież im do „Lubliner Tugblat”, gdzie co kolumna afera, a na każdej stronie krew! „Zwierciadło” i „Kronika Nadbużańska”, które łączyła osoba drukarza i dziennikarza Kazimierza Czernickiego, to dopiero było przedsięwzięcie, na miarę prowincjonalnych *Protokołów Mędrców Syjonu!* Dziś czolowy odżydzacz miasta ma swoją ulicę, a dodatkowo radni PiS bili się o skwer jego imienia. Natomiast poza hotelem o tej samej wdzięcznej nazwie – „Kamena” – niewiele przypomina o mającym swój rodowód w Chełmie jednym z najdłużej wychodzących (1933–1993) pism literackich w Polsce. Założyli je z własnych oszczędności K.A. Jaworski i Zenon Wiśniewski, tutejsi nauczyciele, lecz oprócz grafomanów (których strofami inspirowałem się, tworząc na potrzeby powieści zapaśniczy poemat Zimowskiego), publikowano tu m.in. Brunona Schulza i niekiedy młodego Czesława Miłosza („wiersze Miłosza wrzucamy do kosza”, mawiał Jaworski), a wiele lat później np. młodego gniewnego Edwarda Stachurę. Do niedawna pismo wegetowało jako strona www, dziś nie ma i tego. Może dobrze, wszystko musi kiedyś umrzeć.

Szkoda natomiast, aby obumierał Chełm – miasto położone przepięknie, a dla turystów ceniących sobie naturalny urok bez wysztafiowania i dobrą gęsinę wprost wymarzone – chociaż fakt faktem: gdy byłem tam podczas prac dokumentacyjnych do powieści i zadzwoniłem do Maćka Niebrzydowskiego, aby w wersji minimum odwzorować pijacką procesję sprzed dwudziestu lat, spotkała mnie przykra niespodzianka. Po pierwsze, Maciek ustatkował się jeszcze bardziej niż ja, po drugie, chełmskie śródmieście zasypiało tak samo jak przed wojną, wraz z zamknięciem sklepów i urzędów. Na rynku nie było nawet luftmenschów, tylko w promieniach zachodzącego słońca dwóch młodych ludzi wyklócało się o dług honorowy. Przy Pocztovej przed restauracją kelnerki paliły papierosy.

– A są tu jeszcze dobre knajpy? – zapytał mnie przez telefon Maciek, chociaż z nas dwóch to on był miejscowy.

– Knajpy są, tylko ludzi nie ma – odpowiedziałem.

Miłe kelnerki, które mijiałem akurat, zaśmiały się perliście.

Ja zaś poszedłem w Hrubieszowską ku dawnej bramie Szpitala Miejskiego, w którym później w powieści Zyga Maciejewski i doktor Fuhrman rozmawiali jak sępy nad trupem. Dziś jest tam hotel, w którym zamieszkałem, bo jako pisarz lubię chodzić tymi samymi ścieżkami, co moi bohaterowie.

*Czas Herkulesów* nie jest jednak książką krajoznawczą, jak zapewne oczekiwałyby zwłaszcza część chełmian. Jeśli tego Państwo się spodziewają, polecam raczej „Rocznik Chełmski”, *Spacerkiem po Chełmie* Zbigniewa Lubaszewskiego, *Encyklopedię Chełma*, *Dzieje więzienia w Chełmie* Jacka Pomiankiewicza i inne pozycje prawdziwych regionalistów. Ostatecznie nawet w powieści historycznej, której kryminał retro jest nieślubnym synem, nie o prawdę nam chodzi, tylko o obraz epoki. Widział kto na oczy portret Wołodyjowskiego albo Kmicica? Widział kto polichromie z polskimi krzyżowcami opisanymi przez Zofię Kossak-Szczucką? Obawiam się, że nawet w Pradze nie zobaczą Państwo wizerunków Reynevana z *Trylogii husyckiej* Andrzeja Sapkowskiego, a w Norwegii nie ma śladu po bohaterach *Północnej drogi* Elżbiety Cherezińskiej.

Chociaż to także nie tak, jak w *Celinie* pióra Stanisława Staszewskiego z cudownej, inteligentnie knajackiej płyty Kultu, że „tylko dla zwykłej draki, w ogóle prawdy nie ma w tym”. Nie ma smacznej kanapki bez odrobiny tłuszczu, podobnie bez podkładu prawdy nie ma rzetelnego kłamstwa, wiedzą o tym słynni aferzyści i przyzwoici pisarze. Mnie ponadto mało co nudzi tak, jak powieści dziejące się w niedoopisanych nibylandiach, dla niepoznaki tylko przewzanych Londynem albo Łądkiem-Zdrój. I mało co tak drażni jak literatura kryminalna, w której jest wprawdzie trup i detektyw, jest *story*, lecz literatury najwyżej dwa deka, chudej i bez kości. Omijam, wystrzegam się, *vade retro Satana!* To może nie zaraz *kwestja krwi* z jednego z wcześniejszych kryminałów o komisarzu Maciejewskim, z pewnością jednak *kwestia szacunku* wobec



Czytelników (których nie mam za idiotów), własnej pracy (stolarz dba o drewno, pisarz dba o słowo) i samego siebie (lubię, wybaczcie Państwo, gdy mnie bierzecie za większego inteligenta, niż jestem w rzeczywistości).

Dlatego w swoim cyklu o komisarzu Maciejewskim starałem się dbać tak o *powieść*, jak i *kryminalną*, a także wystrzegać się pisania za każdym razem tej samej książki, zmieniając jedynie rekwizyty i panoramki z tyłu sceny jak w teatrzyku szkolnym. Recenzenci i Czytelnicy zwracali mi uwagę, że w tej czy owej powieści czegoś nie dowążyłem lub przeciwnie, nasypałem z górką. Cieszyłem się z tego, wszystkie opinie gromadziłem skrzętnie i każdą obróciłem w głowie chociażby po to, aby właśnie *Czas Herkulesów* – ostatnia powieść kryminalna z Zygą Maciejewskim – był godnym pożegnaniem komisarza. Wprawdzie przez dziesięć lat życia z tym niechlujnym gliną wiele swoich pisarskich założeń poddałem gruntownej rewizji, lecz dwie nie zmieniły się na jotę. Po pierwsze, nie ma powieści noir bez bohatera, któremu chcą Państwo kibicować, bo Czytelnik prędzej wybaczy autorowi błędy w samej zagadce kryminalnej niż detektywa bez ikry. I po drugie, szczególnie kryminał retro jest ogromnie czuły na detale, które składają się na świat przestępców, glin oraz zwykłych gapiów. Dlatego za każdym razem musiałem je pracowicie gromadzić, a w tym nie poradziłbym sobie bez pomocy życzliwych osób. Również *Czas Herkulesów* nie jest wyłącznie moim dziełem.

Szczególne słowa podziękowania winien jestem Tomaszowi Moskalowi z Chełmskiej Biblioteki Publicznej im. Marii Pauliny Orsetti oraz jej dyrektorowi, Robertowi Chełmickiemu. Obaj panowie ugościli mnie w Chełmie i zadbali o wszelkie wygody w czasie pracy nad dokumentacją powieści. Zaś pan Tomasz dodatkowo wziął na siebie trud asystenta i aranżera, dzięki któremu natychmiast otrzymywałem wszystkie potrzebne mi informacje.

Wielką pomoc okazali mi dwaj nieocenieni historycy, Zbigniew Lubaszewski oraz Andrzej Rybak. Rozmowy z Panami, teksty Waszego autorstwa, wreszcie Wasza uważna lektura brudnopisu *Czasu Herkulesów* bardzo pomogły mi

odtworzyć miasto nad Uherką z końca lat trzydziestych XX wieku i wymieszać w odpowiednich proporcjach fikcję kryminalną z historycznym obrazem.

Trudno byłoby mi także wiarygodnie opisać krótki pobyt Zygi Maciejewskiego w nieodległym Krasnymstawie, gdyby nie życzliwość Jana Henryka Cichosza, poety i miejscowego regionalisty. Dziękuję, panie Janie, za treściwą rozmowę i stare zdjęcia! Krasnymstaw nie był mi wprawdzie obcy, lecz jak większość oddrewnionych i zablokowanych miasteczek Lubelszczyzny zmienił się nie do poznania.

Dziękuję także wszystkim moim Czytelnikom, którzy zaczęli mnie na chełmskich ulicach i wspierali w moich planach, jak również tym, którzy pisali do mnie listy. Proszę wybaczyć, że nie jestem w stanie wymienić wszystkich z Państwa, muszę jednak powiedzieć dwa słowa o ks. Piotrze Siwickim, diakonie greckokatolickiej cerkwi Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Lublinie i historyku, który niezmiernie mi pomógł w ukraińskich sprawach językowych. Ksiądz Piotr słusznie mnie zawstydził za moją brudnopisową mieszaninę dialektów, które brałem za ukraiński z okolic Chełma. Pozwoliłem sobie jednak w jednym z dialogów odejść od słusznych rad tylko z tego powodu, aby język był bardziej zrozumiały dla czytelnika. Kolejną bardzo cenną inspirację zawdzięczam rodzinie śp. pani Krystyny Gągały, której matka Nastka Klimiuk pracowała w brygadzie kobiecej przy budowie chełmskiej Dyrekcji. Gdyby nie Państwo, nie zwróciłbym uwagi na ten ciekawy epizod z największego polskiego placu budowy lat trzydziestych i nie byłoby w powieści postaci Magdy Królikówny, postaci epizodycznej, lecz jakże przydatnej kryminalnie!

Skoro zaś mowa o policyjnej robocie, chciałbym po męsku i serdecznie ucisnąć dłoń podkomisarzowi Pawłowi Leśniewskiemu z Zakładu Służby Kryminalnej Szkoły Policji w Pile, który – samemu będąc człowiekiem łagodnym i bez nałogów – wie, jak skrócić kark jedną ręką oraz jak otruć kogoś papierosem z cyjankali. Jestem Ci, Pawle, wdzięczny szczególnie za to, że nie po raz pierwszy mogłem się do Ciebie

zwrócić, a Ty po raz kolejny potraktowałeś natręta jak źródło śledczej ekscytacji.

Moim Czytelnikom dziękuję zaś za rzecz nieocenioną: że kibicują komisarzowi Maciejewskiemu od dziesięciu lat! Mam nadzieję, że sięgniecie Państwo także po ostatnią pozycję z cyklu, zbiór opowiadań kryminalnych, nad którymi z myślą o Was właśnie pracuję.

*Lublin, 31 stycznia 2017 roku*

# SŁABY PUNKT HERKULESA. CZYLI OSTATNIA POWIEŚĆ O KOMISARZU MACIEJEWSKIM

Chełm, koniec lat trzydziestych XX wieku. Prowincjonalne miasto – zmienione w największy plac budowy ówczesnej Polski – staje się areną zbrodni.

Nie każdy awans cieszy. Oficer inspekcyjny Zyga Maciejewski nagle znajduje się po drugiej stronie biurokratycznej maszyny. Do tej pory babrał się w śledztwach, bronił swoich podwładnych, a teraz w schludnym garniturze, niczym carski rewizor, grzęźnie w papierkowej robocie.

W Chełmie dochodzi do zabójstwa młodego sportowca. Główny podejrzany to idol komisarza z dzieciństwa – gwiazda polskich zapasów. Maciejewski, choć zajęty kontrolą pracy miejscowej policji, angażuje się w tę sprawę. Jego dochodzenie irytuje przełożonych, drażni śmietankę chełmskich kibiców, a nawet samego sędziego śledczego. W dodatku gdy Zyga zbliża się do rozwiązania zagadki, zaczynają ginąć świadkowie.

*Czas Herkulesów* to dziewiąta powieść z cyklu kryminałów retro o Zygmuncie Maciejewskim. Inna niż poprzednie, lecz wciąż z tym samym klimatem noir.

**w**  
**ab**  
wydawnictwo  
antykwalifikacji

[www.gwfoksai.pl](http://www.gwfoksai.pl)

ISBN 978-83-280-4343-5



9 788328 043435

cena sugerowana

39,99 zł

KSIĄZKA DOSTĘPNA RÓWNIEŻ JAKO E-BOOK